

KUKIZ W MOCNYM WYWIADZIE

Odchodzą ode mnie nie prawicowcy,
lecz spółkowcy Skarbu Państwa



Semka: Gra o głowę
Antoniego Macierewicza

TYGODNIK LISICKIEGO

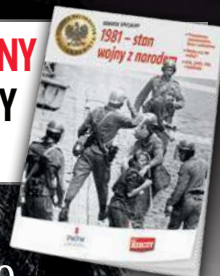


DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 48/250 27 LISTOPADA-3 GRUDNIA 2017

DODATEK SPECJALNY
1981 – STAN WOJNY
Z NARODEM



Przypadek
ks. Bonieckiego
– według Terlikowskiego



BŁAZENADA

Celebryci w oparach antypisu

Adam Sztolc



SWISS MATIC SWINGING HEART AUTOMATIC SAPPHIRE ANTI-REFLECTION CRYSTAL SWISS MADE SINCE 1888

eprasa.pl ecac273c15

ROAMER

OF SWITZERLAND





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Lepszy i gorszy rasizm

Poszukiwanie proporcji może być i bywa czynnością chybioną, czasem jednak trzeba spróbować.

Po 11 listopada, kiedy to na Marszu Niepodległości niewielka grupka radykałów przyniosła rasistowskie bannery, ich postawę potępił najważniejszy polscy politycy. Jeśli chodzi o rząd, to najszybciej zareagował chyba wicepremier Piotr Gliński, ostro brzmiały też słowa prezydenta Andrzeja Dudy. W czasie demonstracji w Warszawie hasła antysemitów nie było słychać. Małutka grupka skandowała: „Sieg heil” i „Ku Klux Klan”. Jednak jeden z demonstrantów w odpowiedzi na pytanie TVP Info powiedział, że „maszeruje, by odsunąć żydostwo od władzy”. W podobnym duchu wypowiadał się w czasie demonstracji we Wrocławiu Piotr Rybak, obecnie najbardziej rozpoznawalny polski antysemita, człowiek skazany wcześniej przez sąd za podpalenie kukły Żyda we Wrocławiu. Ta obecność niewielkiej grupki ekstremistów sprawiła, że u Jarosława Kaczyńskiego pojawił się naczelny rabin Polski, Michael Schudrich. Po spotkaniu ponoć lider PiS był „zszokowany”. Praktycznie cała polska klasa po-

lityczna jednoznacznie potępiła ekscesy. Zrobili to nawet sami organizatorzy marszu, reprezentanci środowisk narodowych.

Czy to znaczy, że w Polsce w ogóle antysemitów nie ma? Jak pokazuje przykład pana Rybaka, a wcześniej niejakiego Leszka Bubla czy Bolesława Tejkowskiego, zdarzają się. Jednak niezależnie od tego, jak bardzo by nas nie odpychali i jak bardzo nie zasługiwali na potępienie, ich pozycja społeczna jest po prostu żadna. Poza wąską grupką podobnych im osobników nie mogą liczyć na żadne szersze poparcie. To, że są znani, zawdzięczają często liberalnym mediom, które pławią się wręcz w cytowaniu ich bredni, po to, by z satysfakcją posługiwać się zbitką „prawicowy antysemityzm” lub nieco uczciwiej: „skrajnie prawicowy antysemityzm”. Potwierdza to zresztą moją opinię, że osobnicy ci są albo pożytecznymi idiotami, albo prowokatorami. Nie stoi za nimi żadna siła polityczna. Nie publikują ich wynurzeń istotne gazety czy tygodniki. Nie są punktem odniesienia dla dyskusji politycznej. To, że są, potwierdza jedynie znaną prawidłowość statystyczną: w każdym społeczeństwie musi pojawić się margines radykałów.

A teraz drugi przykład. W tym samym czasie, kiedy to kolejni politycy polskiego rządu potępiali rasizm i antysemityzm, w amerykańskim „New York Timesie”, a więc najważniejszej gazecie USA, ukazał się artykuł Jana Tomasza Grossa pt. „Polacy znowu tęsknią za »czystą krwią«”. Już sam tytuł jest w oczywisty sposób rasistowski – autor rzekomo tęsknotę za „czystą krwią” przypisuje po prostu Polakom.

Tekst jest zapisem nieskrywanej nienawiści, autor nie próbuje nawet odróżniać grup faktycznych rasistów od wszystkich ma-

szerujących. „Większość Polaków nie mogłaby odróżnić muzułmiana od buddysty lub od Jezusa. Ich zapach, który nadaje polskiemu nacjonalizmowi tak bardzo agresywną i ksenofobiczną artykulację, wypływa pierwotnie z głębokich pokładów etnicznej i religijnej nienawiści, która jest organicznie polska [ang. indigenous to Poland] i była historycznie wymierzona w Żydów”. Okazuje się zatem, że zdaniem publicysty „New York Timesa” „etniczna i religijna nienawiść” jest po prostu zakodowana w polskości. Sąd czysto rasistowski. I w każdym tego słowa znaczeniu naganny. To przecież pogarda i nienawiść do Polaków doprowadziła do tego, że niemiecka okupacja w Polsce miała tak okrutny charakter i pociągnęła za sobą setki tysięcy, miliony polskich ofiar.

O ile jednak antysemita nienawiść pana Rybaka jest w Polsce powszechnie potępiona, o tyle antypolski rasizm Grossa kwitnie w USA w najlepsze. Dobrze, że po jego tekście zaprotestował polski ambasador. Jednak czym to jest w porównaniu z reakcją na antysemitę ekscesy Rybaka w Polsce? Tutaj głos zabrali polscy politycy, tam żaden amerykański polityk nie wyrzekł choćby słowa! Tutaj rabin Schudricha przyjął Jarosław Kaczyński, tam obrzydliwym przypadkiem antypolonizmu nie przejął się nikt, a już najmniej sama redakcja „New York Timesa”. Tutaj pan Rybak poszedł ostatecznie za swe wyczyny do więzienia, tam Jan Tomasz Gross bryluje na salonach i w Princeton, gdzie spokojnie sączy antypolski rasizm kolejnym pokoleniom młodych Amerykanów. Tak jak są lepsze i gorsze ofiary, tak najwyraźniej są rasizmy lepsze oraz gorsze. ©©

RYSUNEK TYGODNIA





BOSS
HUGO BOSS

watches

butiki **SWISS**

swiss.com.pl     

eprasa.pl ecac273c15



TEMAT TYGODNIA

18 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
MACIEJ OD KRYTYKOWANIA
Polityczna krucjata Stuhra

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
LITOŚĆ I TRWOGA SALONU

KRAJ

24 PIOTR SEMKA
GRA O GŁOWĘ ANTONIEGO M.
Czy prezes zostanie premierem?

27 ROZMOWA Z PAWŁEM KUKIZEM
MAM PRETENSJE DO TUSKA

32 WOJCIECH WYBRANOWSKI
MŁODZI, GNIEWNI, BRUNATNI

36 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
PRZYPADEK KS. BONIECKIEGO

40 WOJCIECH WYBRANOWSKI
BOLESNOŚĆ ODDAWANIA

42 RADOŚLAŃ WÓJTAS
DŻAGA W TARAPATACH

KULTURA

44 ANDRZEJ HORUBAŁA
LUPA – GENIUSZ I GRAFOMAN
Premiera sezonu: „Proces”

48 ROZMOWA
Z CARLOSEM MARRODÁNEM CASASEM
FENOMEN ZAFÓNA

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

76 PIOTR GOCIEK
**ANALFABET
DOBREJ ZMIANY**
Półmetek rządu Beaty Szydło

80 ŁUKASZ WARZECHA
OPCJE TUSKA

82 ROBERT BOGDAŃSKI
KATOLIKOM MNIEJ WOLNO?

HISTORIA

86 WALDEMAR ŁYSIAK
**BALANSOWANIE WATYKANU
NA GRANICY APOSTAZJI**
Recenzja nowej książki Pawła Lisickiego

ŚWIAT

94 JACEK PRZYBYLSKI
KONIEC WIELKIEJ MERKEL
Chaos w Niemczech

97 JACEK PRZYBYLSKI
DYKTATOR ZIMBABWE OBALONY

98 PIOTR WŁOCZYK
PRZERAŻAŁ I FASCYNOWAŁ

EKONOMIA

102 ŁUKASZ ZBORALSKI
BIZNES PO POLSKU
Gala konkursu „100% Polski Produkt”

106 STEFAN SĘKOWSKI
PIS-IE, LUBISZ MIŚ-E?

SPORT

112 ROZMOWA Z APOLONIUSZEM TAJNEREM
DRUŻYNA NA OLIMPIJSKI MEDAL
Kadra skoczków przed olimpiadą



Droży Czytelniczy,

Zostrą reakcją naszych Czytelników spotkał się temat okładowy numeru 46/2017.

„Molestowanie – nowa obsesja”

Co to za retoryka na Waszej okładce („Do Rzeczy” 46/2017) – lewactwo, amok, obsesja?! I to w kontekście takiego tematu jak molestowanie. Ja oczywiście nie jestem feministką, ale uważam, że ta pozornie głupia akcja ujawniła, iż na prawicy naprawdę nie ma wrażliwości na takie tematy. [...]

„Samiec – twój wróg”

Wiele lat temu pomagałam starszej kobiecie, jeżdżąc w tym celu na drugi koniec miasta. W piękny letni dzień w Międzyzlesiu z autobusu wysiadła za mną rodzina – mężczyzna, kobieta i dziecko. Gdy stanęłam, by sprawdzić w telefonie godzinę, poczułam uścisk na pośladkach, któremu towarzyszył głośny rechot rodziny.

Kiedy zbulwersowana i nieco roztrzęsiona dotarłam do domu starszej pani i na „dzień dobry” podzieliłam się z nią tym przeżyciem, odpowiedziało mi wzruszenie ramion i stwierdzenie, że „przecież nic się nie stało”.

Czy używam hashtagu #metoo? Nie. Czy porównuję się do ofiary gwałtu? W żadnym razie. Czy wpłynęło to znacząco na moje życie? Również nie.

W niczym nie zmienia to jednak faktu, że wstrętne zachowanie tego mężczyzny (jak również przyklaskującej mu kobiety), obłąkanie dziewcząt przez wujków na weselach, jak również mizoginistyczne traktowanie kobiet [...] to również są grzechy śmiertelne, dla naszych przodków powód, aby ryzykować życie w obronie godności kobiety, a dla każdego porządnego mężczyzny powód do „dania w mordę”.

W Waszym artykule pobrzmiewa natomiast znajoma nutka, że choć nieładne to, to „przecież nic się nie stało”. Nie wiem, czy tego oczekiwałabym od konserwatywnej i chrześcijańskiej gazety.

Pozdrawiam
Katarzyna Nałęcz

Szanowna Redakcjo,

zdaniem Łukasza Warzechy akcja #metoo może doprowadzić jedynie do zakłócenia „działania naturalnych mechanizmów”

życia społecznego oraz „wykończenia” relacji męsko-damskich. [...] Jest na świecie wiele kobiet, którym umizgi tzw. konserwatystów będą się podobać, dla których niewybredne komentarze będą tylko chamskim wybrykiem do zniesienia, ewentualnie „naturalnym mechanizmem” relacji międzypłciowych, nie zaś zachowaniem obscenicznym lub przestępczym mającym kontekst seksualny; miłych dziewczyn, które z pokorą będą znosić komentarze na temat swojego wyglądu albo miejsca w hierarchii społecznej, ponieważ wmówiono im, że tak chce natura. Chociaż bardzo chciałabym wierzyć, że to nieprawda.

Z poważaniem

M.D. (imię i nazwisko do wiadomości redakcji)

OD AUTORA

W akcji #metoo brakuje zdrowego rozsądku. Brakuje go zresztą w ogóle w dzisiejszych czasach. To zdrowy rozsądek pozwala odróżnić zachowanie ewidentnie nieakceptowalne (łapanie obcej kobiety za pośladki) od zachowania karalnego (gwałt) lub zachowania chamskiego czy grubiańskiego, ale leżącego poza sferą, w którą powinno wkraczać prawo (pieprzne żarty czy gwizdy na ulicy), to wszystko zaś od zachowania będącego naturalną częścią męsko-damskich relacji (komplementy, flirt, próba zbliżenia). W swoim tekście na to właśnie zachowanie da się i powinno się regulować prawnie, ponieważ może to prowadzić do paraliżu i zaniku międzyludzkich stosunków, którymi nigdy nie kierował reżim prawny. Nie chcielibyśmy chyba żyć w takim świecie.

Łukasz Warzecha

„Eurowyrób historiopodobny” – uzupełnienie

W moim reportażu „Eurowyrób historiopodobny” („Do Rzeczy” 46/2017) zabrakło informacji, że autor zwiedzał Dom Historii Europejskiej w Brukseli wraz z Piotrem Cywińskim, współgospodarzem „Magazynu Międzynarodowego”, audycji Polskiego Radia Szczecin, które umożliwiło wyjazd do brukselskiego muzeum. Dźwiękowej relacji z Domu Historii Europejskiej można wysłuchać na stronie: www.radioszczecin.pl/342,88,magazyn-miedzynarodowy-dom-historii-europejskiej.

Piotr Semka



ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: Paweł Lisicki
I zastępca redaktora naczelnego: Piotr Gabryel
Zastępca redaktora naczelnego: Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz
ZESPÓŁEM:
Sekretariat redakcji: Jacek Przybylski (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak,
Krzysztof Masłowski, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojanczyk,
Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenciekiewicz, Wiesław Chelminiak,
Dominika Cioś (Bruksela), Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Jakub Kowalski, Tomasz Lenczowski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Małowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches,
Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska,
Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński,
Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torąński,
Matthew Tymand, Paweł Wawrzyński, Szezech Weiss, Piotr Włoczek,
Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski
DoRzeczy.pl redaguje Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: Zofia Magdziak (zastępca), Anna M. Piotrowska,
Małgorzata Puzyr, Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), Damian Cygan,
Karol Gac, Mateusz Maranowski (także Polskie Radio), Jan Fiedorczuk
Współpracownicy: Miłosz A. Łodowski
Studio graficzne: Mariusz Daruk-Skarbek (szef studia),
Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący),
Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wojtowicz, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska,
Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska
Rysownicy: Andrzej Krauze, Cezary Krzyszto, Mirosław Owczarek
Okładka: Marcin Obara/PAP

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: Michał M. Lisicki
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: Michał Staszewski (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl
tel.: +48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: Anna Pawłowska-Pojawa
(PR manager), pr@mpmg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpmg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 102 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż
cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi
odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za
zgoda wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych
na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Dwie twarze opozycji

Dwa obrazy z zeszłego tygodnia pokazują różne twarze opozycji w Polsce. Pierwszą twarz pokazali posłowie Platformy Obywatelskiej w Sejmie w trakcie debaty nad ustawą o reformie sądów. Poseł Michał Szczerba postanowił powtórzyć swój show sprzed roku i w teatralnym geście rozrzucał tekst projektu prezydenckiego. Kartki poleciały w powietrze i ugodziły w głowę Bogu ducha winne protokolantki. Na ten lekceważący gest stanowczo zareagowała prowadząca obrady Małgorzata Kidawa-Błońska, która ostrym głosem nakazała pozbierać posłowi dokumenty z ziemi.

Dzień wcześniej inny poseł PO, Sławomir Nitras, kompromitował się, wypytując, co oznacza pojawienie się pod Sejmem „samochodu z nadleśnictwa Kaczory”.

Czy ktoś w głównej partii opozycyjnej nad takimi występami panuje? A może uważane są za wspólny sposób dotarcia do wyborców?

Jakby tego wszystkiego było mało, w trakcie wieczornej demonstracji pod Sejmem 22 listopada też działy się zadziwiające rzeczy. Hi-tem Internetu stało się przemówie-

nie bojowej demonstrantki, która opowiadała, jak jej ojciec był sędzią w PRL i codziennie płakał na myśl pójścia do pracy. I właśnie dlatego – jak tłumaczyła – ona ma obowiązek demonstrowania, aby powstrzymać polityzację sądów.

Być może to tylko pierwsze, dość groteskowe reakcje. Być może kolejne demonstracje będą liczniejsze i lepiej zorganizowane. Jednak wrażenie skakania między niezdarnością, wygłupem i improwizacją na razie jest dojmujące.

Jednak opozycja zaskoczyła – tym razem niemiłe – PiS także innym krokiem. Oto Paweł Rabiej, kandydat Nowoczesnej na prezydenta Warszawy, ogłosił, że rezygnuje z rywalizacji z Rafałem Trzaskowskim. Rabiej będzie wspierał kandydata PO i w razie wygranej ma zostać wiceprezydentem stolicy. To porozumienie zaskoczyło rządzącą partię, która miała nadzieję na wyniszczający, bratobójczy konflikt w obozie rywali. Jeśli Trzaskowskiemu uda się teraz włączyć do swego teamu działaczy warszawskiej lewicy i ruchów miejskich, to PiS trudno będzie umieścić go w roli następcy tronu Hanny Gronkiewicz-Waltz.

Cała sprawa ma oczywiście ukryty aspekt. Ryszard Petru na tydzień przed wyborami w swojej partii podjął decyzję o pierwszorzędnym znaczeniu dla tego ugrupowania. Zapewne za jakieś atrakcyjne polityczne frukty. Jak chłodny biznesmen uznał zapewne, że Nowoczesna nie ma pieniędzy na kampanię, i zgął kark przed Platformą. Czy to początek rozpuszczania Nowoczesnej w ugrupowaniu Grzegorza Schetyny?

A PiS nadal nie wie, kogo wystawić. Czy postawić na młodego i dynamicznego, ale też nieco nieprzewidywalnego Patryka Jakiego, czy lansować szacownego Stanisława Karczewskiego? Na zastanawianie się nie ma zbyt wiele czasu, bo Trzaskowski zdobywa już punkty.

Dwa przykłady ruchów opozycji. Pierwsze hałaśliwe, ale mało skuteczne. Drugie – wzmacniające i przemyślane. A co robi obóz dobrej zmiany? Negocjacje nad ustawami o sądach na linii Pałac Prezydencki – Nowogrodzka trwały dwa miesiące. A na horyzoncie spór o władzę nad wojskiem. Gdy prawica zajęta jest sobą, opozycja mimo błędów jakoś się przegrupowuje. © ©

LIST OTWARTY

DO POLITYKÓW, KTÓRZY DZIŚ RZĄDZĄ POLSKĄ Z WOLI WYBORCÓW

Padają w ostatnim czasie coraz gwałtowniejsze słowa. Prezydent Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, posiadający mandat wyborczy blisko 9 mln obywateli, bywa łajany przez ludzi ze swojego obozu politycznego, przy wtórze publicystycznej nagonki, w której pojawiają się nieuczciwe sugestie i pomówienia pod Jego adresem. Podobne ataki spotkały doradczającą Panu Prezydentowi Zofię Romaszewską, osobę wyjątkową, której zasługi w służbie Rzeczypospolitej i wolności obywateli w Polsce trudno przecenić.

Pan Prezydent, zapewne pod ciśnieniem tej fali agresji, rzucił ostatnio nieopatrzone – i także niesprawiedliwe – słowa pod adresem Ministra Antoniego Macierewicza. Zarzut „ubeckich metod” jest straszny. Po pierwsze dlatego, że nadużywa i banalizuje pojęcie, którego istotne znaczenie jest jedno: mordowanie i fizyczne torturowanie tysięcy polskich patriotów. To były rzeczywiste ubeckie metody. Te z lat 1944–1956. Po drugie dlatego, że zarzut ten skierowany został pod adresem jednego z najbardziej zasłużonych – współtwórcy dobrych

zmian w Polsce: co najmniej od KOR po obecną służbę w MON. I chodzi tu o człowieka, który sam doświadczył wielokrotnie metod ubeckich, a potem esbeckich – od śmierci swego Ojca poczynawszy poprzez liczne aresztowania, zatrzymania, inwigilacje, prześladowanie rodziny.

Apelujemy – do polityków, których wybraliśmy, aby naprawili Rzeczpospolitą – o zatrzymanie spirali wzajemnych pomówień.

Niczyja godność osobista nie może być poniewierana. Jest też w Rzeczypospolitej hierarchia

godności politycznej: tę najwyższą reprezentuje Prezydent – i to także jest największe zobowiązanie. Dla tych, którzy się do niego zwracają – i dla samego Prezydenta.

W rozpoczętym właśnie roku obchodów wielkiego jubileuszu odzyskanej Niepodległości, wspominając doświadczenia II Rzeczypospolitej, prosimy o wsparcie tego apelu przez wszystkich, którzy chcą tworzyć Rzeczpospolitą kolejnego stulecia.

Bohdan Cywiński
Andrzej Nowak
Bronisław Wildstein



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Łzy Kijowskiego

Mateusz Kijowski, jakże szybko zapomniany „nowy Wałęsa” sprzed zaledwie dwóch lat, udzielił rozziewającego wywiadu portalowi naTemat.pl. Już samo to, że z mediów Tomasza Lisa zainteresował się nim tylko marnejący portal, a nie, jak kiedyś, sam „Newsweek”, pokazuje, jak niewiele dziś Kijowski znaczy.

może podjąć, bo: „Wyobraź sobie, że ktoś by mi coś zaproponował, powiedzmy skoszenie trawnika – skąd mam wiedzieć, czy nie jest podstawiony, żeby wyprodukować na mnie kolejne dowody?”. Jest stale tropiony i szykanowany, nie tylko za niepłacone alimenty (ale przecież, jak zauważa, wielu Polaków ich nie płaci), lecz także, na przykład, za jazdę motocyklem po chodniku. Jak dalej będzie tak źle, będzie musiał wyemigrować.

Dlaczego człowiek mający w ręku dość popłatny fach informatyka miałby kosić trawę zamiast pracować w swoim zawodzie (prawda – prześladowania polityczne), skąd ma na benzynę do motocykla, skoro nie ma na jedzenie – nie będę pytać; podobnie jak pominę wątek, że wyjazdem na emigrację straszyl nas już całe mnóstwo celebrytów anty-PiS-u, od córki premier Kopacz i biznesmena Mazgaja począwszy, i nic.

Zwrócić chcę uwagę na jedno: to, że bohater pamiętnego koweru „Wyborczej” „Marsz, marsz Kijowski” dzisiaj bierze nas na litość, jest częścią ogólniejszej tendencji. Przez wiele lat przedstawiciele umownej „tamtej strony” epatowali nas tym, jak sobie świetnie radzą – i zawstydzali „starszych, gorzej wykształconych, z mniejszych ośrodków”, że skoro „nie poradzi sobie w transformacji”, to coś z nimi nie tak. Najczęściej stosowaną wobec przeciwników obelgą było „frustrat”. Skoro nie dostał żadnej synekury ani grantu, nie jeździ po Europie, nie rozpoznaje smaków win z Toskanii, to widać nieudacznik. Mógł wziąć kredyt, zmienić pracę...

A teraz to samo towarzystwo rozsmakowało się w opowiadaniu, jak straszliwie ich obecny rząd uderzył po kieszeni, jak są prześladowani i jak zeszli na dziady.

I to jest naprawdę dobra zmiana. ©©

Przez wiele lat przedstawiciele umownej „tamtej strony” epatowali nas tym, jak sobie świetnie radzą

Jeszcze lepiej pokazuje to treść rozmowy – nad wyraz płaczliwa. Były lider KOD żyje w takiej biedzie, że nie ma nawet na jedzenie i korzysta z pomocy znajomych, którzy zrobią mu czasem zakupy albo zaproszą na obiad. Pracy nie



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Wielbiciele demokracji

Wprzedsiedniu istotnych zdarzeń politycznych warto poświęcić kilkanaście minut na przegląd mediów społecznościowych. Ubaw po pachy gwarantowany. W domowym zaciszu spóźnieni kochankowie demokracji, co to w latach szczęśliwie minionego PRL palcem nie kiwnęli, by wesprzeć walczących o wolność, doznają internetowych wzmożeń, wcielając się w role zbuntowanych rewolucjonistów. Ot, weźmy choćby takiego Tomasza Lisa. „Protestujemy, do cholery. Jak nie ocalimy sądów, to przynajmniej twarz i honor” – zagrzmiał na TT, nawołując do demonstracji pod Sejmem.

Z tą twarzą to, co prawda, cytując posła Szczerbę „bujda na resorach”, ale szef „Newsweeka” nie wzywa przynajmniej już do Majdanu. Dobra zmiana. Cóż, frekwencja na marszach totalnych i spadające słupki poparcia uświadomiły kieszonkowym Che Guevarom, że opinia publiczna ich marzenia o ulicznej rewolucji zabiła. Śmiechem.

Śmiechu jest co niemiara, gdy spojrzysz się na sejmowych bojowników o „wolność i demokrację”. – Chodźcie do przodu, bo TVN dzwonił, że nas nie widać – wzywał jeden z posłów Nowoczesnej swoich kolegów, gdy ci krzyczeli, zakłócając obrady parlamentu.

Jasna sprawa, jak już wdziwając kostiumy demokratów i pajacować w Sejmie, to nie za frajer; zwłaszcza że dietę można stracić. Publiczność się przyda, wybory idą.

Blisko stracenia diety był inny „bojownik o wolność naszą i waszą” – poseł PO Michał Szczërba, przez złośliwych nazywany niekiedy szalejącym posłem; efekt występu w Krynicy, kiedy to bez kolejki wpełznął się do toalety i odgrażał burzonym. Przydomkiem może do Szczërby przylgnąć na stałe; poziom, jaki zaprezentował w śróde w Sejmie, rozrzucając po sali dokumenty opatrzone polskim godłem, jest zaiste kloaczny. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Kompromis według PiS

PiS ma ewidentny problem z zakazem handlu w niedzielę – dziurawym i z gruntu nielogicznym oraz ewidentnie wkraczającym w sferę wolności. Są w partii rządzącej politycy, którzy zdają sobie sprawę z wielkiego ryzyka, jakie ten przepis ze sobą niesie. Od PiS odwrócić się może nie tylko ta część wyborców, dla których niedzielne zakupy są ulubionym rytuałem, ale i ci pracownicy sklepów, którzy w związku z zakazem dostaną wypowiedzenie. A że takich będą tysiące – to pewne. Z drugiej strony naciska ważny polityczny sojusznik – Solidarność, a i Kościół wywiera presję.

Kompromis ma polegać na tym, że w 2018 r. obetnie się z miesiąca dwie handlowe niedziele, w 2019 – trzecią, a od 2020 r. zakaz będzie całkowity

I oto w sprawie nastąpił zwrot: poseł PiS Janusz Śniadek – kiedyś przewodniczący Solidarności – ogłosił „kompromis”. Kompromis ma polegać na tym, że w 2018 r. obetnie się z miesiąca dwie handlowe niedziele, w 2019 – trzecią, a od 2020 r. zakaz będzie całkowity.

Zaiste jest to znakomity układ. Mniej więcej taki, jakby ludożercy oznajmili przerażonemu, uwięzionemu podróżnikowi, że nie zjedzą go od razu w całości, ale najpierw tylko

ręce, potem nogi, a dopiero na końcu resztę. To przecież także świetny kompromis.

Niemniej rok 2020 jako ostateczna data wejścia w życie zakazu daje nadzieję. Wybory parlamentarne są rok wcześniej, PiS ma widoki na wygraną, ale być może w drugiej kadencji nie będzie rządzić samodzielnie. Przy okazji kolejnych ograniczeń wolności, wprowadzanych przez partię Jarosława Kaczyńskiego, widać bowiem, jak źle się stało, że PiS nie ma koalicjanta, hamującego antywolnościowe i etatystyczne tendencje. Jeżeli taki koalicjant będzie koniecznością po kolejnych wyborach, być może całkowity zakaz niedzielnego handlu nie tylko nie wejdzie w życie, ale przeciwnie – zostanie skasowany. Jest też możliwość, że sprawy potoczą się jak na Węgrzech, gdzie Viktor Orbán pod wpływem presji społecznej i protestów zrezygnował z zakazu po roku. Tej lekcji PiS najwyraźniej nie odrobił.

Możliwe jednak, że politycy partii rządzącej sądzą, iż z wyborcami da się zadziałać jak z koniem w opowieści o chłopie, który chciał zaoszczędzić na owsie, codziennie dawał więc koniowi mniejsze porcje. Ostatecznie prawie udało mu się odzwyczaić zwierzę od jedzenia, ale – co za pech – u progu sukcesu koń zdechł. Wyborcy – już prawie od handlowych niedziel odzwyczajeni – mogą zaś wierzyć i podziękować przy urnach. ©



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Zamordyzm aż strach

Niedziela 19 listopada była to dziwna niedziela, w której rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski oraz nadzwyczajne zdarzenia. Donald Tusk biciem na alarm na Twitterze postawił na nogi pół rządu i chyba całą opozycję. Ta z nadzieją przywitała polityczny coming out upragnionego lidera, który powiedzie lud na barykady.

Niektórym podniosła atmosfera udzieliła się tak bardzo, że ze swadą pana Wołodyjowskiego podnieśli rzuconą z Brukseli rękawicę. „Jeszcze wczoraj by mi to na myśl nie przyszło, ale jeśli ta postać poważy się ubiegać o urząd Prezydenta RP, zgłaszam gotowość stanięcia w szranki, w obronie honoru Najjaśniejszej” – zadeklarował Jacek Saryusz-Wolski herbu Jelita.

Z kolei Tomasz Lis, chyba nie wierząc w talkie-nowski powrót króla, stwierdził, że Tusk generalnie nie myli się co do swojej oceny. Jednak co on może zrobić sam, z daleka? „Gdy nadchodzi zamordyzm, radykalizmem staje się nawet tabliczka mnożenia. Szczególnie $2 + 2 = 4$ ” – skonstatował. Taki zamordyzm, że nawet matematykę ocenizowali.

Dalej posępny Tomasz Lis, już po pierwszym czytaniu prezydenckiego projektu reformy wymiaru sprawiedliwości. „Zdrzca Duda, sądy deptane, pierwsza prezes się kompromituje, PiS nawet nie przychodzi na debatę, ludzie śpią. Taki kraj na obrzeżach cywilizacji!” Tylko jeden redaktor zawsze czujny. Zawsze na posterunku. I to się nigdy nie zmieni jak (licząc sposobem Lisa) $2 + 2 \times 2 = 8$.

Wszystko wskazuje na to, że w Nowoczesnej zwalnia się miejsce po Ryszardzie Petru.

Kamila Gasiuk-Pihowicz tweetnęła list otwarty, w którym swoje poparcie przekazała Katarzynie Lubnauer. „Nowoczesna musi wrócić do swoich korzeni, odnaleźć świeżość i energię” – zaapelowała. Ciekawy przypadek, że partia, która istnieje ponad dwa lata, już traci termin przydatności do spożycia.

Z rzeczy drobnych niesamowicie ujęła mnie troska Dominiki Wielowieyskiej et consortes o dobro Kościoła. Ksiądz Boniecki dostał zakaz wypowiedzi za zdjęcie z bannerem LGBT, ale przecież „Jezus też rozmawiał z celnikami”. I te pełne wsparcia lajki o. Krzysztofa Mądla, Borysa Budki, Wojciecha Czuchnowskiego. ©



TWOJE DZIECKO MOŻE BYĆ NARAŻONE NA CHOROBY POWODOWANE PRZEZ PNEUMOKOKI¹

INFEKcje POWODOWANE PRZEZ BAKTERIE
ZWANE *STREPTOCOCCUS PNEUMONIAE* MOGĄ
PROWADZIĆ DO:



ZAPALENIA OPON MÓZGOWO-RDZENIOWYCH



POSOCZNICY (SEPSY)



ZAPALENIA PŁUC



ZAPALENIA UCHA ŚRODKOWEGO

Choroby te mogą powodować poważne komplikacje
i problemy zdrowotne, ale można im zapobiegać¹.

W POLSCE DZIECI URODZONE PO 31 GRUDNIA 2016 R. PODLEGAJĄ
OBOWIĄZKOWYM - BEZPŁATNYM SZCZEPIENIOM PRZECIW
INWAZYJNYM ZAKAŻENIOM *STREPTOCOCCUS PNEUMONIAE*
W RAMACH PROGRAMU SZCZEPIEŃ OCHRONNYCH²⁻⁴



POROZMAWIAJ Z LEKARZEM O TYM, JAK MOŻESZ CHRONIĆ SWOJE DZIECKO

Referencje:

1. Centers for Disease Control and Prevention. Pneumococcal Disease, <https://www.cdc.gov/pneumococcal/about/index.html> (dostęp z dn. 26.07.2017).
2. Rozporządzenie Ministra Zdrowia z dn. 3.11.2016r. zmieniające rozporządzenie w sprawie obowiązkowych szczepień ochronnych, <http://www.dziennikustaw.gov.pl/du/2016/1815/1> (dostęp z dn. 26.07.2017).
3. Program Szczepień Ochronnych na rok 2017. Komunikat Głównego Inspektora Sanitarnego z dn. 4.01.2017r., https://gis.gov.pl/images/ep/so/pso_2017_-_nowelizacja.pdf (dostęp z dn. 26.07.2017).
4. Art. 17 ust. 11 ustawy z dnia 5 grudnia 2008 r. o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi (Dz. U. z 2016 r. poz. 1866, 2003 i 2173).

Treści zamieszczone w materiale mają charakter wyłącznie informacyjny, nie mogą być traktowane jako forma porady medycznej i nie mogą zastąpić konsultacji z lekarzem, do którego należy ostateczna decyzja o sposobie i zakresie stosowanego leczenia.

Szczepienie, podobnie jak podanie leku, może wiązać się z wystąpieniem działań niepożądanych. Wszystkie działania niepożądane należy zgłaszać do Departamentu Monitorowania Niepożądanych Działań Produktów Leczniczych Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych, Al. Jerozolimskie 181C, 02 - 222 Warszawa, tel. (22) 492 13 01, fax (22) 492 13 09, zgodnie z zasadami monitorowania bezpieczeństwa produktów leczniczych. Formularz zgłoszenia niepożądanego działania produktu leczniczego dostępny jest na stronie Urzędu <http://www.urpl.gov.pl> lub Podmiotu Odpowiedzialnego za produkt, którego zgłoszenie dotyczy.

GSK Commercial Sp. z o. o. ul. Rzymowskiego 53, 02 - 697 Warszawa, tel. (22) 576 90 00, fax: (22) 576 90 01, <http://www.pl.gsk.com>.

PL/SYN/0038/17 Data przygotowania materiału: sierpień 2017



Artur Szeremeta ze Złotą Rybą FOT. DO RZECZY



Łukasz Warzecha z nagrodą Atlasa FOT. DO RZECZY

NAGRODY DLA PUBLICYSTÓW „DO RZECZY”

Przez pięć lat jego nazwisko było tajemnicą dla czytelników i sporej części środowiska dziennikarskiego. W ubiegłym tygodniu autor głośnej rubryki „Młodzi Wykształceni i z Wielkich Ośrodków” w „Do Rzeczy”, kpiącej z poprawnych politycznie mieszkańców dużych miast – **Artur Szeremeta** – się ujawnił. Powód? Nasz publicysta został laureatem nagrody Złota Ryba przyznawanej co roku od ośmiu lat najlepszemu felietoniście młodego

pokolenia. Nagroda została ufundowana dla uczczenia pamięci Macieja Rybińskiego.

Kilka dni przed tym wydarzeniem **Łukasz Warzecha**, publicysta „Do Rzeczy”, podczas Weekendu Kapitalizmu został uhonorowany nagrodą Atlasa, wyróżnieniem dla osób „pchających świat do przodu”. Drugim laureatem nagrody był Piotr Litwiński. (ww) ©

Nominowani do Nagrody im. Przemysława Gintrowskiego

**PATRONAT
DO
RZECZY**

W ubiegłym tygodniu kapituła Nagrody Za Wolność w Kulturze im. Przemysława Gintrowskiego przyznawanej osobom, które swoimi działaniami najlepiej wpisują się w przesłanie Gintrowskiego: „A jednak coś po nas zostanie”, wybrała pięcioro artystów nominowanych do nagrody.

Zostali nimi: **Ewa Błaszczyk** – aktorka teatralna i filmowa, założycielka Fundacji „Akogo?” i twórczyni Kliniki Neurorehabilitacyjnej „Budzik”, **Adam Nowak**



– lider i twórca większości przebojów zespołu Raz Dwa Trzy, **Zygmunt Staszczuk** – wokalista i założyciel zespołu T.Love, **Adam Strug** – muzyk, poeta, rekonstruktor polskiej muzyki dawnej – oraz **Tadeusz Woźniak** – muzyk, kompozytor i wokalista. Laureata drugiej edycji Nagrody Za Wolność w Kulturze poznamy podczas wielkiego koncertu „Gintrowski – a jednak coś po nas zostanie”, który odbędzie się 11 grudnia 2017 r. w Teatrze Polskim w Warszawie. (ww) ©

WARTO ZOBACZYĆ

Trwa polskie tournée zespołu **Royal Moscow Ballet** – jednej z najlepszych komercyjnych grup baletowych na świecie. 27 listopada tancerze z Rosji zaprezentują „Jezioro łabędzie” widzom w Poznaniu, następnie odwiedzą Zabrze i Kraków, by 30 listopada pojawić się na warszawskim Torwarze.

Dzień później, 1 grudnia, fani innych baletów będą mogli spotkać się w hali Ergo Arena (Gdańsk/Sopot) na koncercie grupy **Scorpions**, która – jak czytamy w materiałach organizatora – „po sukcesie trasy z okazji 50. rocznicy po raz kolejny wyruszyła na koncerty, które zaplanowano po obu stronach Atlantyku”. (a) ©



FOT. DONAT SPOKONINTASS/FOTUM

PROBLEMY PIERWSZEGO ŚWIATA

Znów jest konflikt między czołowymi ponoć szafiarkami, inaczej zwanymi też blogerkami modowymi. Przyjaźń Maffashion i Jessiki Mercedes została już raz wystawiona na próbę. Okazało się, że dziewczyny w tym samym czasie udały się do fryzjera, by podciąć sobie końcówki, a potem awanturowały się w Internecie, która od której ściągnęła ten jakże oryginalny pomysł. Teraz poszło o to, kto zdobył zdjęcie z modelką Adrianą Limą z pokazu Victoria's Secret. Udało się to Jessice, a Maffashion nie. I o to właśnie poszło. – Wiem, że pisaliście mi, że życzenie powodzenia z Adrianą. No nie udało się, mój czas został skrócony na rzecz kogoś innego. Nie udało mi się złapać Adriany, była pierwszą osobą, której wypatrywałam – poskarżyła się Maffashion. Na odpowiedź drugiej strony nie trzeba było długo czekać. – Julka nagrała snapy, gdzie mówi, że przeze mnie nie ma zdjęcia z Limą, ale je usunęła – wytknęła Jessica. – Ja



FOT. ADAM JANOWSKI/REPORTER



FOT. OLGA ZANKA/EAST NEWS

odpowiadam wszystkim, że każdy miał swój czas i każda z nas mogła zrobić, co chciała – dodała. Nielekko mają te blogerki-celebrytki. Dramat goni dramat. Jeśli nie podcięte końcówki, to fotka z modelką. Przecież tak się nie da żyć!

MILCZENIE JANDY

Tydzień bez narzekania jakiejś gwiazdy polskiego aktorstwa na okropny PiS i Kaczora byłby tygodniem straconym, tak więc dziś w roli umęczonej kaczyzmem gwiazdy wystąpi Janda Krystyna. W najnowszym wywiadzie przyznaje, że momentami ma poczucie winy za to, co się w kraju dzieje. Za to, że PiS doszedł do władzy. – Że może, nie wiem, czego wszyscy razem nie dopilnowaliśmy, że się stało tak, jak się stało. Że ludzie myślą tak, jak myślą. Że czuli się gorsi, odrzuceni i teraz gryzą, bo wolno – zastanawia



FOT. RANIEL CROMADA

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

się. – Nie chcę używać wielkich słów, ale wydaje mi się, że dużo zrobiłam dla kraju, ponieważ tak się składa, że mój zawód jest zawodem społecznym. No w każdym razie obudziłam się dwa lata temu i trwam w oniemiaeniu. Ciągłe wydaje mi się, że śnię, że to nie może być prawda. Nie mój kraj, nie moi rodacy, nie moja telewizja – dodaje. Mówi też, że w obecnej sytuacji politycznej „emigracja wewnętrzna jest grzechem”. – Wielu moich znajomych w nią ucieka, ale nie można w tej chwili milczeć – mówi. Na szczęście Janda ani myśli milczeć i udawać się na jakąkolwiek emigrację. Czyli w PiS mogą spać spokojnie.

ZŁOTE RADY ILONY

Ilona Felicjańska, która ostatnimi czasy próbowała swoich sił jako pisarka i autorka thrillerów erotycznych oraz rozmaitej maści poradników, teraz zapragnęła się przebrzmować. Postanowiła zostać coachem. Będzie udzielać rad i motywować innych do działania. W dodatku swój pierwszy wykład ma wygłosić za granicą. „Z ogromną przyjemnością i radością zapraszam na wyjątkową konferencję w Bristolu w Anglii z moim udziałem” – reklamuje Ilona. A organizatorzy zachęcają, że Ilona jako „autorka książek, mówca i motywator podzieli się z Tobą swoją życiową historią”. „Dostaniesz na tacy wiedzę i narzędzia, które pomogą Ci budować: pozycję lidera, autentyczność, lojalność klientów i zwiększać Twoje zyski, pracować mądrze zamiast ciężko, współpracę korzystną dla całego otoczenia, przekuwać relacje, które już posiadasz, na pieniądze” – czytamy na facebookowym profilu wydarzenia. Jakież to niesprawiedliwe, że Ilona, mając tę całą unikalną wiedzę, musi dorabiać do pensji takimi chałturami! @@



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, zauważyliśmy w ostatnim czasie, iż celebryci, którzy chcą wbić ostrą szpilę w nadęte poślądki partii rządzącej lub wąsatego janusza z podkarpacia, zarzucają często, iż są oni „spoceni”. Takim sposobem osoba spocona kojarzy się automatycznie z wąsami, cebulą, „500+” i obciachem.

Tymczasem uprawiając dzisiaj nordic walking wokół bloku, z przerażeniem odkryliśmy, iż jesteśmy nieco spoceni. Prędko dotknęliśmy twarzy pod nosem – na szczęście nie było tam wąsów, nie poczuliśmy też ochoty na kebasa i harnasia. Tym razem się udało.



co za ty kryjeto pod blogpublic 2.0...

To całe szczęście, iż udało nam się z tego całkiem bezboleśnie wybrnąć, iż gdyby fakt „spocenia” zaobserwowała u nas np. Manuela Gretkowska, bardzo stracilibyśmy w jej oczach i nie tylko. Nie można być bowiem jednocześnie osobą młodą, postępową i euro-

pejską i się przy tym pocić. Celebryci się nie pocą, podejrzewamy, iż nie pocą się także przedstawiciele opozycji. A kto spocony, ten janusz i bierze „500+”.

Posłowie w Sejmie się kłócą nad ustawami o sądach i KRS, a naszym zdaniem sprawa jest arcyboleśnie prosta. Zaznaczmy tylko, iż nie czytaliśmy tych projektów, of kors, ale mamy na ich temat swoje wyrobione zdanie.

Otóż: tu nie ma co dyskutować, tu trzeba zdecydowanie powiedzieć NIEDLA!!! Naszym zdaniem i naszych frendów z kolektywu również są to projekty złe dla Polski, złe dla społeczeństwa, które tylko wzmacniają Dudę i Kaczafiego.

A nasz jeden frend, który je przeczytał, ale co prawda nie zrozumiał, to twierdzi, iż w ogóle projekty są do zaorania, wyrzucenia, a sam fakt ich zaistnienia, biorąc też pod uwagę przyczyny pozamerytoryczne, to hańba dla polskiego parlamentaryzmu!!!1 xD

(No może nie do końca tak powiedział, po prostu stwierdził, iż projekty są do kitu i jest to siara w chooy xD).

Dyskutowaliśmy parę dni temu na korpостоłównie podczas kryptowegeśniada-

Plan jest następujący... obrazujemy ich tak długo, aż na nas zagro słońce...



ce za ty kryjeto pod blogpublic 2.0...

nia (parówki z topinamburu, iżby Nowy się nie zczaił) o ostatnich doniesieniach medialnych, według których rząd pisu pobił rekord i istnieje w nim już 100 wiceministrów. To o trzy więcej niż za PO.

Nowy of kors cieszy się z tego i tłumaczy, iż to pokazuje, iż rząd nie daje się zmarnować żadnemu talentowi i każdy fachowiec może znaleźć w nim miejsce. Potem wygłosił płomienną mowę, w której dowodził istnienia przynajmniej kilku kolejnych resortów (choćby Ministerstwa Placów Zabaw czy Ministerstwa Ustawicznej Dobrej Zmiany), a potem poszedł kontemplować przed świętym obrazkiem z Kaczafim.

Z kolei naszym zdaniem jest to ewidentny skandal. Za PO podobno było 97, a nawet według naszej dyskalkulii 100 to wyraźnie więcej niż 97!!! ©©

REKLAMA

Nagroda IDENTITAS



Szczegóły na Identitas.pl

Fundacja Identitas ma przyjemność poinformować, że nominacje do tegorocznej Nagrody Identitas dla najlepszej polskiej książki roku otrzymali:

Elżbieta Cherezińska | Wojciech Chmielewski | Krzysztof Koehler
Agnieszka Kołakowska | Paweł Rojek

Wręczenie nagrody w tym roku odbędzie się 8 grudnia, w Sali Kameralnej NOSPR w Katowicach.



Honorowy Patronat Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy

Darczyńca nagrody głównej:



Partnerzy Gali:



Trwa najdłuższa rekonstrukcja nowoczesnej Europy. Zwana też – jak pamiętacie – rekonstrukcją, bo zmiany w rządzie mają mieć charakter strukturalny. Phi, też nam wielkie zmiany – likwidacja resortu cyfryzacji i skasowanie resortu środowiska przez przyklejenie go do resortu energetyki.

Czas wszystko na spokojnie wyjaśnić. Opisane wyżej skasowanie dwóch resortów i dwóch ministrów (Anka Streżyńska plus nadszyszkownik Szyszko) to wersja mini, za którą opowiada się premier Bełata. Okrutny Kaczor-Dyktator naciska jednak, by wprowadzić zmianę midi – to znaczy pyknąć jeszcze dwójkę: Andrzeja Adamczyka oraz Witka Waszczykowski zwanego Srebrnym Lisem Dyplomacji. Stąd anonsowana przez nas tydzień temu cyfra cztery – święty patron rekonstrukturyzacji.

Cały czas na stole leży jeszcze wersja maxi, w której Kaczor-Dyktator zostaje Premierem Dyktatorem i następuje głębokie przeoranie wszystkiego. Bardzo głębokie. Tak głębokie, że usłyszeliśmy nawet opinię, iż Achim Brudziński byłby dobrym ministrem obrony. No i wiadomo, że do rządu Premiera Dyktatora prezydent Andrzej Sebastian puściłby Krzyśka Szczerskiego.

Wyaśniamy też, jak to jest z tymi legendarnymi badaniami lekarskimi, które Kaczor-Dyktator przechodzi, by dowiedzieć się, czy podoła. Otóż miał już iść na takie badania na przełomie października i listopada. Niestety, nie poszedł, bo wcześniej, jak to ładnie ujęły nagłówki tabloidów, „paskudny

wirus zaatakował prezesa PiS”. No i wszystko się poprzesuwało. Także przesuwanie w rządzie.

Wracając do cyfry cztery. Jest ważna. W Prokuraturze Krajowej kończy się pisanie wniosków do Sejmu o uchylenie czterech imunitetów członkom partii minionego reżimu. Dlaczego trwało to tak długo? Bo szefowie prokuratury kazali tak napisać wnioski i akty oskarżenia, żeby skład orzekający – choćby nawet byli w nim Łączewski z Tuleją oraz Gersdorf – nie miał żadnych wątpliwości: skazać! Popcorn już kupiliśmy.

Pamiętacie opowieści świadka koronnego Masy o interesach z lat 90.?

Wychodzi na to, że Petru jest jak Masa. Obaj wysługiwali się Rabejem

Wwiewiórki odszczekują zaś wiadomość, jakoby Marek Zagórski z PoGo (Porozumienie Gowina) miał iść na ministra środowiska. Nie może iść, bo resortu nie będzie. A czy pójdzie na wiceministra do połączonego ministerstwa energetyki i środowiska? Nie, bo nie chce już być wiceministrem. Pytanie: „kim chce być” na razie pozostaje bez odpowiedzi.

Tymczasem w Eine Total Opposition. Było tak: kiedy Kaśka Lubnauer ogłosiła, że wystartuje przeciw Petru na szefa Nowoczesnej Kropki, ten kontratakował. I namówił Myszkę-Agresorkę do kandydowania. Niestety, Myszka zdradziła i zrezygnowała, gdyż uwiódł ją ser. Serem, który Kaśka Lubnauer przygotowała w zamian za poparcie, było stanowisko szefa klubu parlamentarnego. Przyznacie, że to najmniejszy ser w dziejach nabiątu.

Paryż wart był mszy, a stanowisko szefa Nowoczesnej Kropki miało być warte poświęcenia Pawła Rabejia, który niespodziewanie z kandydata na nową HGW stał się podkandydatem u Rafcia Trzaskalskiego, wspólnego już kandydata Kropki i PeŁo. Pamiętacie opowieści świadka koronnego Masy o interesach z lat 90.? Wychodzi na to, że Petru jest jak Masa. Obaj wysługiwali się Rabejem.

dwaj panowie **g**



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI



Bardzo podobała nam się ostatnia przedwyborcza akcja Ryśka Petru „PiSancjum. Bo oni wszyscy mają kolegów”. Interpretujemy ją jednak inaczej niż ogół. To nie atak na PiS, to krzyk rozpaczliwego człowieka, który jest samotny, zazdrości innym, bo sam nie ma żadnych kolegów. Ewentualnie koleżanki, ale po ostatnich wydarzeniach sami wiecie jakie.

Naszym zdaniem tak czy inaczej formuła Nowoczesnej Kropki się wyczerpała. I Ryśk powinien porzucić niewdzięczną Kaśkę Lubnauer i założyć nową partię. Najlepiej by było, gdyby znaleźli się w niej Leszek Balcerowicz oraz... nie, właściwie nie. Leszek Balcerowicz wystarczy.

Ważna wiadomość dla miłośników premier Bełaty. Na prezydenta Warszawy będzie kandydować dopiero wtedy, jak wróci z Radomia. Kiedy wybiera się do Radomia? Nie wybiera się.

Wracając do prokuratury, ale nie krajowej, tylko okręgowej, w Warszawie. „Wyborcza” zawyje, ale bardziej niejaki Czuchnowski. W tym tygodniu będzie bowiem prowadzone śledztwo ws. publikacji na temat małżeństwa Przyłębskich. Czuchno ma niestety pod górę, bo w tekście znalazły się kłamstwa, które łatwo mógł zweryfikować. Na przykład że teczka Przyłębskiego przez przypadek została odtajniona i wyjęta ze zbioru zastrzeżonego. Niestety, ta infor-

macja nie przechodziła nawet w pobliżu prawdy. Współczujemy Wojtkowi, ale to było banalnie proste do sprawdzenia. Podpowiadamy: teczki wyciągnięte z zetki mają na okładce starą sygnaturę zaczynającą się – jakżeby inaczej – od litery „zet”. Innymi słowy teczka Przyłębskiego nigdy w zetce nie była.

Apropos gazet. Listopadowy chmurny czwartek, samolotem Lufthansy z Frankfurtu do Warszawy leci popularny Kwiatek. Czyli prezes NIK Krzysiek Kwiatkowski. Skromnie, bo w klasie ekonomicznej. Całą drogę czyta „Wyborczą” i „Politykę”, ale to normalka. Bardziej zdziwiło nas, dlaczego nieustannie po tej „Wyborczej” smarował długopisem. Podkreślał najlepsze kawałki?

Jest i wstydliwsza część tej podróży. Krzysiek z NIK podczytywał też książkę. I wiemy jaką. David Deida „Droga prawdziwego mężczyzny”. Bardzo ciekawa pozycja. „Niewiele jest książek, które zamiast o letniej seksualności, rozmytej przez mizerną duchowość, mówią o autentycznej męskiej seksualności i sile w kontekście mocnej duchowości” – przeczytaliśmy na jej temat. No i teraz próbujemy dopasować to do Kwiatka. © ©

Zapraszamy

Premiera książki Piotra Goćka „Analfabet III RP” odbędzie się w środę, 29 listopada, o godz. 18.00 w Warszawie, BookBook Księgarnia Hoża, ul. Hoża 29/31 (róg Marszałkowskiej).

REKLAMA



Kto jest mężem stanu, a kto tylko mężem swojej żony?

Czym się różnią lemingi od moherów?

Jak bardzo media zepsuły Polskę?

Po co premierom obiady czwartkowe?

Gdzie jest palarnia u prezydenta?

Dlaczego pijaków szanują w Brukseli?

Kto ma dostęp do ucha prezesa?

ZYSK I SKA
WYDAWNICTWO

PATRONAT MEDIALNY





Agnieszka Niewińska

Maciej Stuhur wyrósł na lidera artystów krytykujących rząd. Tylko czy każdy zdolny aktor jest też kompetentnym analitykiem rzeczywistości politycznej i społecznej?

Maciej od krytykowania



Fani świątecznej komedii „Listy do M.” w tym roku mogli się czuć zawiedzeni. W „Listach do M. 3” zabrakło Macieja Stuhura, który we wcześniejszych częściach wcielał się w rolę radiowca Mikołaja Koniecznego. – Zamienia się to powoli w serial, z którego się troszkę wymiksowałem, bo brakuje mi tej odwagi. Ileż lat mam jeszcze siedzieć w tym studiu i mówić: Oto przychodzą święta – tak w programie Karoliny Korwin-Piotrowskiej „DKF” aktor tłumaczył rezygnację z projektu. – Popatrzmy na brytyjskie komedie

romantyczne, one są nieprawdopodobnie odważne. Jedna scena z „Love Actually”, gdzie jeden z bohaterów – za prośbieniem – posuwa inną bohaterkę, kręcąc film porno. Właściwie widzimy ich całkiem nago i toczy się między nimi przeuroczy dialog. Takich scen w „Listach do M. 3” nie zobaczymy, ponieważ się boimy, boimy się wszystkiego – skwitował.

Jednak na nieobecność Macieja Stuhura w przestrzeni publicznej nie można narzekać. I nie chodzi jedynie o to, że właśnie trwa emisja drugiego sezonu serialu „Belfer”, w którym wciela się w głównego

bohatera, i zbliża się premiera „Wujaszka Wani” w Teatrze Polskim w Warszawie, gdzie Stuhur zagra Michała Astrowa.

„ŻARTY WOBEC SKURWYSYNSTWA”

Coraz częściej Macieja Stuhura widzimy w roli komentatora polityki, surowego recenzenta poczynąń partii Jarosława Kaczyńskiego, uczestnika antyrządowych manifestacji – od grudniowego obłędzenia Sejmu pod hasłem „Wolne media” po letnie protesty przeciwko forsowanej przez PiS reformie sądownictwa. W wywiadach



FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

podkreśla, że ostry słowny fechtunek przećwiczył po premierze „Pokłosa” Władysława Pasikowskiego. Wokół filmu, który wszedł na ekrany w 2012 r., rozgorzała dyskusja między tymi, którzy uznali obraz za antypolski, a w Stuhrze widzieli „polakożercę”, a tymi, dla których było to ważne dzieło o trudnych polsko-żydowskich relacjach.

Dzisiaj jakoś mniej jest Stuhra, który z humorem i swadą opowiada o swoich zawodowych wyborach, współczesnym kinie, kulisach planu filmowego, na który koniecznie trzeba zabrać naładowany tele-

fon, by grać w „Monopol” czy w „Pociągi”. Ci spragnieni jego wspomnień z dzieciństwa w inteligenckim krakowskim domu, gdzie bywały takie postacie, jak Krzysztof Kieślowski, Jerzy Trela czy Feliks Falk, częściej mogą przeczytać o „zamachu stanu” oraz „hatakumbie, o jakiej nam się nie śniło”, jak nas „wypierniczają z Unii”.

– Nie jest dla nikogo tajemnicą, że czuję się zaniepokojony – mówi „Do Rzeczy” Maciej Stuhra. Mimo wahań zdecydował się na rozmowę z nami, bo, jak mówi, nie chce się odwracać plecami do osób o odmiennych poglądach. – Wydaje mi się, że nie idzie-

my w dobrą stronę, boję się, że możemy się obudzić w kraju, w którym nie będzie się nam najlepiej żyło na bardzo różnych płaszczyznach – chodzi na przykład o przyrodę, teatr, sądy, ustrój państwa. Oczywiście na wielu z tych rzeczy się za bardzo nie znam, mam pewne przeczucia i autorytety, którym ufam. Jak one alarmują, to ja wierzę, że nie alarmują bez powodu. Cokolwiek byśmy jednak mówili o naszych różnicach, to ci, którzy dzisiaj wypowiadają się o naszej ojczyźnie, chcą dla niej dobrze. Problem w tym, że mamy różne wizje tego, co to znaczy dobrze. Jeśli już mamy znaleźć jakiś pozytyw obecnej sytuacji, to widzę go właśnie w tym, że bardzo wielu Polakom zależy na Polsce, na tym, żeby była jakaś.

Swoją wizję Polski Stuhra chętnie dzieli się na facebookowym profilu, którego siła dotarcia jest większa niż ta, którą mogą się pochwalić czołowe gazety i magazyny w Polsce (aktora śledzi na tym portalu 900 tys. internautów). W ostatnim czasie przewagę mają tam jego wpisy polityczne. Po zakazie wypowiedzi medialnych dla ks. Adama Bonieckiego opublikował grafikę z hasłem „Ksiądz Boniecki ma głos (w moim domu)” i proponował zakaz wypowiedzi dla metropolity krakowskiego: „Czy odpowiednie siły nie mogłyby wydać zakazu wypowiadania się abp. Jędraszewskiemu? Mam wrażenie, że byłoby to z wielkim pożytkiem dla Kościoła katolickiego i nauki Ewangelii” – napisał. Chociaż potem wpis zniknął.

Stuhra na Facebooku mobilizuje manifestantów, wystosowuje odezwy do wyborców PiS, widzów TVP i dziennikarzy tego medium, którzy co jakiś czas przypominają jego żart o Tupolewie na gali rozdania Orłów 2016. Występ ten zresztą utwierdził prawą stronę ideologiczno-politycznego sporu w niechęci do Stuhra. Z tamtych – jak podkreśla – 80 sekund aktor próbuje się zresztą czytelnikom wytłumaczyć: „Czy naprawdę myślicie Państwo, że stroiłem sobie żarty z ofiar katastrofy? Otóż muszę Was rozczarować: NIE! Chylę nad nimi głowę i modłę się za nich do Pana Boga. Mój żart został wymierzony w tych wszystkich, z ministrem Macierewiczem i posłem Kaczyńskim na czele, którzy od siedmiu lat, niemal codziennie, gwałcą pamięć tych ofiar, opowiadając o sztucznej mgie, ofiarach, które przeżyły katastrofę, strzałach, trotylu, płonących samolotach w locie czy wybuchach termobarycznych. Tupolew – Smoleńsk, Smoleńsk – Tupolew, i tak w kółko, byle tylko zbijać polityczny kapitał. To Was

nie bulwersuje, tylko żarty. Czymże są żarty wobec tego skurwysynstwa?”

Na newsy nierzadko reaguje na bieżąco puszczeniem oka do czytelnika. „Jak tam Mordeczki moje kochane, zdradzieckie? I jak się macie w naszej Ojczyźnie?” – pytał swoich fanów po tym, jak media obieżył sejmowy wybuch Jarosława Kaczyńskiego. Na transfer Małgorzaty Sadurskiej z kancelarii Sejmu do jednej ze spółek Skarbu Państwa zareagował propozycją dla byłej minister: „My tu we Wrocławiu »Belfra« kręcimy. Może by tak panią Sadurską do nas do obsady wrzucić...? Podobno jest miła, lojalna, to i show-biznesu się szybko nauczy. Nigdy nie jest za późno!”

W licznych wywiadach, których ostatnio udzielił, nawet jeśli rozmowa zaczyna się od zawodowej aktywności aktora, to polityka zajmuje w nich poczesne miejsce. Zamieszanie wywołała jego rozmowa dla magazynu dla panów „Esquire”. Przewidywał w nim, że PiS „zaorze” Państwowy Instytut Sztuki Filmowej, a filmy, w których on będzie miał wystąpić, będą miały dużo mniejsze szanse na wsparcie. „Dziś polityka po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat chce zaplanować, jak ma wyglądać sztuka” – mówił magazynowi. I dodawał: „Władza

uboczny i przeciwskuteczny. Daje mi to mnóstwo do myślenia – podkreśla aktor i przekonuje, że mówiąc o „Grażynie i Januszu”, nie ma na celu umniejszania zwykłego Polaka. – Sukces „dobrej zmiany” moim zdaniem wynika z tego, że rządzący dali odczuć pani X i panu Y, że są dobrymi Polakami, że rząd ich będzie wspierał i że to oni mają rację, a nie pan Stuhr i pani Ostaszewska. I wydaje mi się, że dla pani X i pana Y to jest bardzo miła myśl, więc każda wypowiedź pana Stuhra i pani Ostaszewskiej działa jak płachta na byka. Przy całym szacunku do pani X i pana Y – elity są nam potrzebne. Bez elit naród sobie gorzej poradzi. Nie mówię, że elity są niewinne i bez grzechu, ale musimy mieć kogoś, komu pewne sprawy powierzymy. Jedna osoba jest dobra w takiej dziedzinie, druga w innej, a trzecia jest w czymś mistrzem.

– Nie boi się pan, że przestrzeli w tych facebookowych czy też prasowych opiniach? – pytamy.

– Za każdym razem się boję, że przestrzelę z jakąś opinią. Niestety albo na szczęście nie mam zbyt mocnych mechanizmów asekuracyjnych. Moja żona często mnie namawia, żebym siedem razy

– od „Gazety Wyborczej” po „Do Rzeczy”. To łatwość przebicia się znanych osób w mediach sprawia, że chcą to wykorzystać także w sprawach politycznych. Dzisiaj chyba każdy artysta w Polsce prezentuje poglądy, nawet jeśli nie ma na to ochoty, musi położyć jakieś deklaracje, bo koledzy mogą uznać, że skoro nie podziela ich opinii, to może sympatyzuje z drugą stroną politycznego sporu – mówi Sikorski. I dodaje, że poglądów nie muszą demonstrować już tylko tacy celebryci jak Doda, bo nikt tego od nich nie oczekuje, albo osoby, których pola aktywności są uniwersalne. – Od Anny i Roberta Lewandowskich czy Ewy Chodakowskiej nie oczekujemy wsparcia tej czy innej opcji politycznej, bo piłka nożna, fitness czy dietetyczne batony to coś, co nas interesuje zawsze i niezależnie od poglądów. Tymczasem kultura żyje z zaangażowania, więc angażują się i twórcy.

Czy artysta z tym zaangażowaniem może przesadzić? – Oczywiście, i w Polsce mamy z tym do czynienia. Nie chodzi o liczbę udzielonych przez artystów wywiadów czy internetowych wpisów na temat polityki, ale na przykład o wszelkie porównania obecnych rządów do dyktatury, faszyzmu, zestawienia z Hitlerem czy Stalinem. To właśnie ta przesada. Nie wiem, czy można pójść jeszcze dalej – mówi specjalista z agencji Publicon.

Krytyk filmowy Wiesław Kot jest zdania, że zawsze gdy zaostroża się konflikt polityczny – a w Polsce jest on w tej chwili bardzo wyraźny – artyści decydują się na opowiedzenie się po którejś ze stron. – Maciej Stuhr jest sprawnym aktorem, dobrym parodystą. Publiczności w pamięci zapadły jego występy kabaretowe – choćby parodia Gustawa Holoubka. Kino się z nim dobrze obeszło. I Maciej Stuhr nie może narzekać na to, że nie ma dla niego dobrych ról, i kino nie musi sobie wyrzucać, że nie wykorzystuje go do stateczności. Ostatnio jednak rzeczywiście wybrał drogę kontestatora rządzących i wydaje się, że w tej chwili jest bardziej znany jako obywatel i krytyk władzy niż jako aktor – ocenia Wiesław Kot.

Maciej Stuhr: – Myśli pani, że mimo 50 filmów jestem bardziej znany jako komentator polityki? Jakoś się tak do końca nie martwię. „Belfer”, który leci w telewizji, bije kolejne rekordy oglądalności. Za chwilę zaczynamy zdjęcia do drugiej części „Planety singli”, której pierwsza odsłona osiągnęła rekordowe wyniki w kinie.

Doktor Jerzy Bukowski, filozof i publicysta, zwraca uwagę, że Maciej Stuhr to tylko

Dla Stuhra nieprzekraczalną granicą w zaangażowaniu politycznym byłoby poparcie konkretnego kandydata, stanięcie na czele ruchu

myśli, że to się jej uda, choć żadnej władzy nie wyszło. Nawet Stalinowi czy Hitlerowi”. Wielu czytelników odebrało te słowa jako porównanie PiS do Stalina i Hitlera, a aktor tłumaczył, że ci, którzy tak to interpretują, nie potrafią czytać ze zrozumieniem. „Jest to błąd logiczny lub nadużycie i nadinterpretacja moich słów” – komentował na Facebooku.

Pod koniec września w okładkowym wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” przywołał postacie ze świata wyobrażeń o zwoleńnikach PiS. „Rozumiem, że największym błędem ostatniego dwudziestopięciolecia było niepochylenie się nad panem Januszem i panią Grażyną, ale to nie znaczy, że pan Janusz ma nam powiedzieć, jak żyć i jak ten kraj urządzić”.

PODGRZEWANIE ATMOSFERY

Czy tego typu wypowiedzi nie antagonizują artystów ze społeczeństwem?

– Mam poczucie, że udział artystów podgrzewa atmosferę – to jest taki skutek

przemyślał post, nie pchał się na pierwszą stronę gazet, dał spokój, ale mnie często ponosi. Jak coś mi przyjdzie do głowy, to puszcza, ale oczywiście mam pełną świadomość, że część z moich widzów myśli inaczej niż ja. Myślę jednak, że osoby, które śledzą mnie na Facebooku, nie są męczennikami i sprawia im to jakąś satysfakcję. Ja jeśli kogoś nie cierpię, to go nie czytam. Nie trawię np. postaci wielkiego podróżnika Wojciecha Cejrowskiego, więc go nie słucham i nie zaglądam na jego Facebooka. Można się od tego odciąć. Polecam wszystkim, którzy mnie nie cierpią, żeby mnie odhaczyli na Facebooku. Mogę mieć 890 tys., a nie 900 tys. fanów.

– Aktorzy żyją z tego, że są obecni publicznie – mówi Szymon Sikorski, specjalista w dziedzinie PR z agencji Publicon i zwraca uwagę, że w epoce mediów społecznościowych zaistnienie jest bardzo proste. – Wystarczy, że aktor napisze na własnym profilu coś o złym Kaczorze, a zaraz pojawia się to we wszystkich mediach

jedna z wielu postaci świata kultury, które ostatnio weszły na polityczne barykady, pojawiając się na manifestacjach o charakterze politycznym czy udzielając wywiadów, w których kreują się na autorytety Polaków. – Mam ogromny szacunek do artystów, którzy osiągnęli mistrzostwo w swoim zawodzie, ale wołałbym, żeby czarowali nas cudzymi tekstami z najwyższej literackiej półki, a nie wymyślonymi ad hoc politycznymi tezami. Nie każdy, kto zna na pamięć wiele mądrych kwestii, potrafi odnaleźć się w opisywaniu oraz ocenianiu rzeczywistości, która ma wprowadzić w sobie sporo z teatru, ale przecież nim nie jest – mówi dr Bukowski. I dodaje, że artyści wykorzystują to, iż publiczność utożsamia ich z postaciami, choćby mężów stanu, które odgrywali w kinie czy teatrze. – Tyle że grać męża stanu, a odgrywać jego rolę to dwie różne sprawy. Dzisiaj niemal wszyscy uważają, że wybornie znają się na polityce, skoro śledzą na bieżąco to, co się w niej dzieje, korzystając z nowoczesnych środków przekazu. Nie każdego prosi się jednak o opinie, bo żeby zasłużyć sobie na to, trzeba być celebrytą. To tzw. znaną twarz stawia się przed mikrofonem bądź kamerą i pozwala się, by plotła banialuki

z miną wskazującą na głębokie zatroskanie losami ojczyzny oraz świata – ocenia filozof. Jest zdania, że komentowaniem życia politycznego, społecznego czy gospodarczego w mediach powinni zająć się specjaliści, naukowcy, którzy swoje tezy mogą poprzeć konkretną wiedzą czy badaniami.

EGO WIELKOŚCI DZIURY BUDŻETOWEJ

We wstępie do wydanej w 2015 r. książki „Stuhrmówka, czyli gen wewnętrznej wolności” – w rozmowie, którą z Maciejem Stuhrem przeprowadziła Beata Nowicka – aktor z humorem tłumaczy, dlaczego to aktorzy, a nie lekarze czy inżynierowie są przepytывani na wszelkie możliwe tematy. „Dlaczego tak się mądrzymy zawsze i wszędzie? Ponieważ nas pytają – to po pierwsze, i ponieważ nasze ego jest wielkości dziury budżetowej mocno skorumpowanego państwa – to po drugie”.

W kwestii zaangażowania się w politykę Stuhr zaznacza, że granicą, której by nie przekroczył, jest poparcie konkretnego kandydata, nie stanąłby na czele żadnego ruchu. Odpowiada mu pozycja obserwatora. – Świętej pamięci pan Gustaw

Holoubek był wielkim orędownikiem przypominania hasła Dejmka: „Aktor jest od grania jak dupa od srania”, ale sam był przecież senatorem. Także niektórzy z nas, artystów – zachowując proporcje, bo nie porównałbym się do Holoubka – chcą zabrać głos w sprawach politycznych – mówi.

Na zarzuty tych, którzy wytykają mu, iż za poprzednich rządów nie piętnował nadużyć i nieprawidłowości, odpowiada, że wierzył w niezależne prokuratury, niezależne sądy, trybunały, wolne media i niezależną telewizję publiczną. – Być może nie jestem w stanie zdiagnozować, na ile dobrze działał poprzedni trybunał. Przeczytałem jednak opinie mądrych prawników na temat tego, czym powinien być Trybunał Konstytucyjny. Jeśli nie był taki wtedy, to bardzo źle. Poprzedni rząd ma bardzo dużo za uszami, jeśli chodzi o te ostatnie roszady personalne w TK, ale nie możemy stosować filozofii przedszkolaka: pobiłem dlatego, że kolega też pobił. Czy to nas rozgrzesza? – pyta Stuhr.

Czy wróci do roli tego, który przede wszystkim opowiada nam o kinie czy teatrze od kulis? Sondaże poparcia dla partii politycznych raczej na to nie wskazują.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

NOWY ZEGAREK HUGO BOSS Z KOLEKCJI COMPANION JEST STWORZONY DLA MĘŻCZYZN KOCHAJĄCYCH KLASYKĘ I MODĘ. CZARNA TARCZA, KTÓRA NIGDY NIE WYCHODZI Z MODY, PASUJE ZAWSZE I DO WSZYSTKIEGO. KOPERTA W KOLORZE RÓŻOWEGO ZŁOTA TO SYNONIM MINIMALISTYCZNEJ ELEGANCJI. STYLOWA BRANSOLETA MESH JEST NATOMIAST TRENDDEM OSTATNICH SEZONÓW, CO CZYNI TEN DODATEK ZDECYDOWANYM MUST HAVE.





Rafał A. Ziemkiewicz

Kilka przykładów cierpień,
jakie znosić muszą wyznawcy
opozycji totalnej

Litość i trwoga salonu

Program, w którym pijani celebryci plotą o historii, hitem zapewne się nie stanie. Jednak któraś ze stacji telewizyjnych mogłaby spróbować „zlokalizować” zachodni format, przygotowując analogiczny, „półliteracki” program o bieżącej polityce. Oglądalność trudno zagwarantować, ale przynajmniej zaoszczędziłaby na kosztach – wypowiadając się na ten temat, celebryci nie potrzebują do popadnięcia z stan pobudzenia graniczącego z amokiem żadnych chemicznych używek. Wystarczy kilka słów: „PiS”, „fasyzm”, „Kaczyński”, „Kościół”.

Nie trzeba było, jak się zdaje, podawać żadnego alkoholu Renacie Dancewicz, aby podzieliła się z telewidzami Polsatu głębią swych przemyśleń na temat Marszu Niepodległości. Jego uczestnicy skojarzyli jej się już nie tylko z faszyzmem, lecz także zobaczyła w nich islamskich dżihadystów, a w każdym razie: „ten sam korzeń”. Podobieństwo z radykalnym islamem dostrzegła w haśle: „My chcemy Boga”, które dało jej asumpt do uwag tego rodzaju, że gdyby to ona była Bogiem, „parę razy trzasnęłaby piorunem tych gości, żeby wybić im z głowy coś takiego”, a także w tym, że zdaniem pani Dancewicz marsz poświę-

cony był obrażaniu kobiet i wyzywaniu ich od suk. Bardzo możliwe, że pomyliła imprezę w dniu Święta Niepodległości z cyklicznymi marszami szmat i czarnymi protestami feministek, podczas których istotnie nie brak transparentów sprowadzających kobiety do roli „wagin” i „reproduktorek”, a także nazywających je „sukami” czy wręcz (podczas niedawnej manifestacji feministek w Warszawie) „wściekłymi k...ami”.

W ten sposób młodsza o pokolenie aktorka rzuciła wyzwanie samej nestorce antypisowskiej wściekliczyny, Krystynie Jandzie – choć ta nadal utrzymuje wysoką formę. W kolejnym wywiadzie, tym razem dla celebryckiego tygodnika „Gala”, Janda pokusiła się o analizę politologiczną: otóż „czekają nas długie lata, kilkanaście lat absolutnie niesprawiedliwego kraju”, albowiem „nie będzie już wolnych wyborów”. Ona osobiście „trwa w oniemiaeniu” i „wciąż nie może uwierzyć, że to prawda”, ale, niestety, tutaj już „nie da się żyć”. „Nie mój kraj, nie moi rodacy, nie moja telewizja” – podsumowuje aktorka. Skądinąd współbrzmia jej deklaracja z inną, ogłoszoną niedawno przez byłego redaktora naczelnego „Playboya” Marcina Meller –

że w Polsce polskich polityków już nie ma i trzeba zdecydować, czy popiera się Rosję, czy Niemców. Meller oczywiście deklaruje się jako zwolennik Niemiec.

Ciekawym wątkiem wywiadu Jandy jest żalenie się na to, że „nie jej rodacy”, „nienawidzą mojego środowiska”. Dowodem doznawanego męczeństwa jest np. to, że ktoś napisał do niej „ty komunizyczna k...”. Oczywiście nie przychodzi pani Jandzie do głowy nawet cień podejrzenia, że przejawy niechęci do niej i do jej środowiska mogą mieć jakąś przyczynę także po jej stronie. Że np. reagując na wspomniany już Marsz Niepodległości umieszczeniem na swoim profilu facebookowym (dawno już zamienionym w trybunę walki „o postęp i wyzwolenie społeczne”, jak nazywało się to w czasach aktorskich triumfów pani Jandy) zdjęcia napisu: „Faszyści wyp...łać”, zaprasza do dyskusji ze sobą na podobnym poziomie.

Wspomniany wpis na portalu społecznościowym potraktowany został przez media „opozycji totalnej” jako okazja, by po raz kolejny umocnić wokół Jandy nimb męczeństwa i prześladowań, który tak uparcie ona sama wokół siebie rozsnuwa. Ktoś na Twitterze zamieścił screen z jej strony



Maja Ostaszewska w marszu przeciw zmianom w ustawie o ochronie środowiska, styczeń 2017 r. FOT. KRYSZTOF MAJ/FORUM

z ironiczną uwagą: „Aż się chce chodzić do teatru”, co ja z kolei skomentowałem przypomnieniem, że na razie Polacy kazali „wyp...lać” nie „faszystom”, ale „elitom” III RP, do których również sama pani Janda raczy się zaliczać, i – moim zdaniem – zupełnie słusznie. Zrobiono z tego „newsa”: „Ziemkiewicz przekroczył kolejne granice chamstwa, wulgarnie zwraca się do wybitnej aktorki i każe jej wyp...lać” – oczywiście starannie unikając pokazania tweetu, by pominąć okoliczność, na co stanowił on odpowiedź. Warto zauważyć, że wyspecjalizowany w kolportowaniu takich kłamstw portal Koduj24.pl (tworzony m.in. przez Magdalenę Jethon, Jerzego Sosnowskiego i inne osoby, których zwolnienie z radiowej Trójki miało rzekomo obniżyć poziom programu) reklamowany jest m.in. przez Wojciecha Pszoniaka i Janusza Gajosa, zachęcających do wpłacania na to „medium” pieniędzy.

Element męczeństwa jest w życiu antypisowskich celebrytów stale podkreślany. Portal Interia, przedrukowując rozmowę z Mają Ostaszewską, w której gwiazda czarnych protestów opowiada o swojej miłości do wszystkich istot, wrażliwości na krzywdę zwierząt i niszczenie przyrody

oraz zapewnia, że to, iż popiera aborcję, nie znaczy wcale, że jest za aborcją, ale chce tylko, żeby kto ma zamiar jej dokonać, mógł to zrobić (streszczam wywód, jak umiem najstaranniej), na stronę główną wybrał z tej rozmowy informację, że ktoś gdzieś w Internecie nazwał Ostaszewską „zawszoną”.

Co warte owo oburzenie „hejtem”, który cierpieć muszą wrogowie PiS (trudno nie przypomnieć tu kuriozalnych słów Magdaleny Cieleckiej, że ze znacznikiem KOD czuła się w tramwaju „jak żydowskie dziecko w czasie Holokaustu” – ona sama zresztą niedawno podkreśliła, że uważa te słowa za trafne i może je w każdej chwili powtórzyć), pokazał niedawny stresstest, jakim było ujawnienie przez dziennikarkę „Wysokich Obcasów”, że popularny w lewicowym salonie celebryta-literat Janusz Rudnicki (popularny nie tyle dzięki swoim książkom, ile dzięki wywiadom, w których nie zostawiał suchej nitki na Polakach i ich „świńskich mordach”) nazwał ją publicznie „k...ą”. W sytuacji, gdy poszło o osobę z własnego, lewicowego półświatka, nie tylko nie zareagowała wspomniana pani Dancewicz, której czujne ucho wyłapało na Marszu Niepodległości okrzyki o „sukach”, ale – co więcej – wiele najbardziej bojowych w walce z „seksizmem” egerii polskiego feminizmu z pasją zaatakowało ową dziennikarkę, tłumacząc, że „Janusz”, nazywając obce kobiety „k...mi”, publicznie dywagując o „braniu ich na dwa baty” albo żartując z subtelny wyczuciem z ich urody („powiedział, że jestem taka brzydka, że mu przy mnie nie staje” – wspominała z rozrzuwaniem Magdaleny Żakowskiej), prezentuje po prostu fantastyczne, artystyczne poczucie humoru.

W chórze obrończyń obdarzonego fantastycznym poczuciem humoru Janusza mocno rozległ się głos m.in. Elizy Michalik, która w swoim autorskim programie w Superstacji regularnie umożliwia gwiazdom dzielenie się z całą Polską przemyśleniami o Kościele, patriotyzmie, prawicy i Kaczyńskim. Są to co prawda refleksje nieco jednostajne, ale za to wypowiedziane z tygodnia na tydzień z większą pasją i w mocniejszych słowach. Trudna tu konkurencja, ale warto zwrócić uwagę na niedawnego gościa Elizy Michalik – Dorotę Stalińską, która oprócz wielu publicystycznych filipik przeciwko panującemu w Polsce reżimowi i jego „pogardzie dla kobiet” (sic!) postanowiła dać swym emocjom upust w formie wyrafinowanej – poetyckiej. Wiersz, którym pochwaliła się na swym facebooko-

wym profilu, jest za długi, by zacytować go w całości, ale nie mogę odmówić czytelnikowi choćby fragmentu. Rzecz nosi tytuł „Trwoga”:

**Trwoga, trwoga, trwoga!
Rządz nami
niedoróbki Pana Boga
Larum, larum, larum!
Chcą zawłasczyć
cały naród
Europa, Europa, Europa
Ratuj! Zalewa nas
ciemnoty i głupoty potop
[...]
Nie dajcie, nie dajcie, nie dajcie!
zniewolić nas
Surmy grajcie!
Grajcie surmy, surmy złote!
na zwycięstwo, na ochotę!
[...]
Za tę Polskę...
Dla dorosłych i dla dzieci
W której duch wolności świeci!!
(Pisownia i interpunkcja oryginalne).**

Pomimo wszystkich tych starań stwierdzić jednak należy, że grono celebrytów dmących w „surmy złote” i podnoszących wysoko sztandary walki z faszyzmem wydaje się ostatnio ograniczone i jakby coraz mniej „trendy”. Dowodzić tego może przygoda, jaka przydarzyła się serialowej aktorce Monice Mrozowskiej. Antypisowskie profile rozpowszechniły ostatnio mem z jej fotografią i niewybrednymi obelgami pod adresem lidera PiS („stary zgorzkniały impotent”, „śmierdzi jak zepsute jajko” etc.). Sama aktorka zapewnia, że nigdy nigdzie podobnych słów nie wypowiedziała, że w ogóle nigdy nie wypowiadała się na temat polityki i polityków. Ciekawe, czy reakcją na jej zaprzeczenia będzie atak na nią antypisowskich hejterów, jak np. zdarzyło się to blogerce modowej Maffashion, gdy mimo obcesowych namów nie przyłączyła się do „oburzenia” po rzekomym „zaszczuciu 14-letniego geja” (w istocie samobójstwo chłopaka nie miało nic wspólnego ani z zaszczuciem, ani z rzekomą odmiennością seksualną), czy też Mrozowska stanie się teraz w mediach „totalnej opozycji” ikoną, jako przykład, że PiS zastrasza ludzi do tego stopnia, iż boją się przyznać do własnych słów. Po tym, jak Grzegorz Schetyna z pełną powagą wytłumaczył zastraszaniem ankietowanych niekorzystne dla swojej partii sondaże, wydaje się to zupełnie prawdopodobne.

Gra o głowę Antoniego M.



Piotr Semka

Porozumienie Jarosława Kaczyńskiego z prezydentem Andrzejem Dudą kosztem Beaty Szydło i Antoniego Macierewicza? Czy taki scenariusz odłożonej o kolejny miesiąc rekonstrukcji rządu jest możliwy?

Wiele wskazuje na to, że Jarosław Kaczyński przez pewien czas na przełomie października i listopada gotów był przejąć premierostwo, ale Pałac Prezydencki przesadził z mocą żądania odejścia szefa MON. Planowana wielka rekonstrukcja znów została odłożona.

Przyjrzyjmy się kartom, które musi ułożyć prezes PiS na swym biurku na Nowogrodzkiej. Kartom, których nie da się ułożyć bez konfliktu z tą czy inną stroną sporu. Trzeba wybrać, która karta będzie bita. A wybór nie jest łatwy.

Jednego dnia „Newsweek” wybija na okładce zdjęcie Kaczyńskiego i tytuł „Będzie premierem”. Nazajutrz bulwarówka „Fakt” udowadnia, dlaczego Kaczyński nie zostanie szefem rządu. Dzień później reporter polityczny Onetu ogłasza, że cała rekonstrukcja ma służyć jedynie wzmocnieniu rządu wobec aspiracji Andrzeja Dudy do roli rozgrywającego w polskiej polityce i tym samym pani premier i szef MON mogą spać spokojnie.

Słabością wszystkich tych analiz jest skupianie się na prostych komunikatach: „będzie” – „nie będzie”, „odwoła” – „nie odwoła”. Towarzyszy temu zabawa w dość zazwyczaj płytkie psychologizowanie, szczególnie w odniesieniu do Jarosława Kaczyńskiego. W naturalny sposób opinie budowane na przeciekach od polityków bywających w Pałacu Pre-

zydenckim lub na Nowogrodzkiej przyciągają uwagę mediów. Wielu z nich chce popisać się swoją wiedzą lub stopniem poinformowania o planach prezesa.

Kaczyński najważniejsze decyzje podejmuje jednak sam, dbając, by przecieki nie poprzedzały jego najważniejszych ruchów. Na razie zmiany personalne przesunięto na grudzień. Jarosław Gowin w radiowej Jedynce sugerował, że może być to nawet styczeń 2018 r. Lider PiS najpierw chce zobaczyć podpis prezydenta na ustawach reformujących działanie sądów. Ale dylematy nie znikną. Dwa z nich musi rozstrzygnąć szybko. To los Beaty Szydło i Antoniego Macierewicza.

KUSZENIE JAROSŁAWA

Czy prezes PiS chciał zastąpić Beatę Szydło na stanowisku premiera? Można uznać za prawdopodobne, że jeszcze w październiku br. bliski był poważnego rozważenia takiej zmiany.

Jednak przejście premierostwa miało być elementem szerszego dealu, który zakończyłby ostatecznie wyładowania na linii Pałac Prezydencki – Nowogrodzka, rozpoczęte lipcowym wetem. Jego elementami według wizji prezydenta byłoby premierostwo Kaczyńskiego, oddanie spraw zagranicznych Krzysztofowi Szczerskiemu, a wyjazdów na szczyty unijne prezydentowi Dudzie oraz



skierowanie Macierewicza na boczny tor poprzez zastąpienie go Mariuszem Błaszczakiem czy Joachime Brudzińskim.

Taki projekt, który, jak się spekuluje, miał się pojawić w trakcie spotkania w Belwederze 20 października – brzmiał atrakcyjnie zarówno dla grona najbardziej oddanych prezesowi przedstawicieli zakonu PiS, jak i dla frakcji Jarosława Gowina i Mateusza Morawieckiego, znużonych już rządami Beaty Szydło. Co ciekawe – wizja Kaczyńskiego jako szefa rządu ożywiła też wrogów Morawieckiego, którzy zakładali, że silny szef gabinetu przytrze nieco różki ambitnego szefa resortu rozwoju.



FOT. JACEK TURCZYK/PAP

Projekt pobudzał wreszcie wyobraźnię tych ludzi prezydenta, którzy myślą o jego karierze w dłuższym planie. Kaczyński jako premier byłby atrakcyjnym kontrapunktem i kontrastem dla młodszego o 23 lata Andrzeja Dudy. Zwolennicy premierostwa Kaczyńskiego zaczęli wymyślać nowe role dla Beaty Szydło. Z pozoru atrakcyjnie brzmiało zadanie startu w wyborach prezydenckich w Warszawie, co miało demonstrować, jak serio PiS traktuje batalię o odebranie stolicy. Jarosław Gowin zdążył z kolei w trakcie wizyty w Radiu Zet rzucić myśl, że „każdy byłby premier, pod warunkiem że jego obóz jest

u władzy, może być np. desygnowany na komisarza europejskiego”.

Pomysły takie pokazywały, jak żywa była chęć zepchnięcia pani premier na boczny tor. Tak żywa, że ignorowała realia. Beata Szydło, owszem, pasuje do roli „matki narodu”, ale akurat w Warszawie miałyby kłopot z rywalizacją z Rafałem Trzaskowskim czy Pawłem Rąbiejem. A funkcja eurokomisarza byłaby dla niej zbyt wczesną emeryturą.

Im mniej czasu było do ostatniego spotkania Kaczyński – Duda z 20 października, tym więcej czynników zaczęło skłaniać do ostrożności wobec idei premierostwa prezesa PiS. Pierwszym

i najważniejszym mogło być doświadczenie Kaczyńskiego z lat 2006–2007, gdy objęcie rządów po Kazimierzcu Marcinkiewiczu, przy naciskach LPR oraz Samoobrony zapoczątkowało okres schyłku PiS u władzy. Kaczyński miał wątpliwości, czy obejmować szefostwo rządu już w 2005 r., i uległ łatwo pomyślowi na „premiera z Gorzowa”. Dopiero gdy „Kazio” okazał się pomyłką – uległ bratu i wziął premierostwo.

Teraz Kaczyński jest już sam, ale nie musi to osłabiać obawy, czy objęcie premierostwa nie przyniesie pecha dobrej zmianie. Jest w tym coś z przesady, ale i gorzkiej pamięci o tym, jak łatwo opozycji udawało się demonizować Kaczyńskiego i prowokować go do nerwowych wystąpień.

Tego ostatniego na pewno nie można powiedzieć o Beacie Szydło. Ani razu nie dała się sprowokować opozycji, mimo że zdarzało się jej uczestniczyć w równie burzliwych obradach Sejmu. Inna sprawa, że nawet Sławomirowi Nitrasowi czy Stefanowi Niesiołowskiemu trudniej zaatakować kobietę. Ponadto w Beacie Szydło trwale zakochany jest elektorat pisowski. Dymisja „naszej Beatki” byłaby dla setek tysięcy zwolenników PiS ukaraniem kogoś, kto nigdy nie kierował się miłością własną i nigdy nie wynosił konfliktów poza rząd. Jej fani dobrze pamiętają, że pani premier „nie pękała na robocie”, gdy trzeba było jechać w marcu br. do Brukseli na szczyt unijny i w pojedynkę głosować przeciw reelekcji Tuska. Tak naprawdę dopiero jej odejście z funkcji szefa rządu pozwoliłoby ocenić, w jakim stopniu wpływała ona na wysokie poparcie społeczne dla programu dobrej zmiany.

Kaczyńskiemu mogło też dać do myślenia nieskrywane poparcie dla jego premierostwa ze strony takich „przyjaciół”, jak Tomasz Lis, Katarzyna Kolda-Zaleska czy Jacek Żakowski. Poparcie ubrane oczywiście w rozmaite zaślony, ale bazujące na pamięci porażki z 2006 r.

Powrót do kancelarii premiera w Alejach Ujazdowskich zmusiłby Jarosława Kaczyńskiego do zmiany stylu życia: wyjazdów co drugi dzień w teren i wypełniania wielu elementów rutyny, które należą do kompetencji premiera. Byłyby to dziesiątki czasochłonnych obowiązków, od których odpoczął w swoim nowogrodzkim azylu.

Podawane przez prasę informacje o problemach z nogą prezesa PiS

■ mogły mu przypomnieć, że jest już w wieku, gdy zdrowie się na pewno nie polepsza.

ANTKOBOJSTWO NIE JEST ŁATWE

Na wspomniane powyżej dylematy Kaczyńskiego związane z decyzją o objęciu szefostwa rządu nałożyć się musiała wyraźna sugestia prezydenta Dudy. Jeśli powstanie nowy rząd Jarosława Kaczyńskiego, to Antoni Macierewicz nie otrzyma teki od głowy państwa. Być może prezydent był tak pewny, że lider PiS podjął już decyzję o premierostwie, że uznał, iż jest okazja upokorzenia nie lubianego szefa MON. Wiele wskazuje jednak, że był to dla Kaczyńskiego o jeden prezydencki „dowcip” za dużo.

Lider PiS mógł sobie łatwo wyobrazić, że wszelkie przekonywanie Macierewicza do objęcia innej funkcji, np. marszałka Sejmu czy wicemarszałka – mija się z celem. Resort obrony jest dla byłego założyciela KOR wszystkim i dobrowolnie go nie opuści. Pozostawał jedynie cichy deal z Andrzejem Dudą i postawienie Macierewicza wobec faktów dokonanych. W imię czego jednak Kaczyński miał stawiać wyżej znowę z głową państwa, prezydentem, który zawiódł go w lipcu, przeciw komuś, kto bywa niekiedy trudny i irytujący, ale wiele razy wykazał swoją lojalność wobec PiS i jest kochany w żelaznym elektoracie tej partii?

Kolejnym elementem, który mógł zmrozić Kaczyńskiego, była słynna już wypowiedź prezydenta na temat ministra obrony: „Musi sobie parę rzeczy przemyśleć. Jak będzie wobec uczciwych oficerów stosował takie ubeckie metody, jak Platforma stosowała wobec niego, to będzie kiepsko”. Kaczyński miał być zdegustowany ujawnieniem przez prezydenta kłopotliwego dla PiS sporu, i to w tak dziwnych okolicznościach jak spotkanie z przypadkową wyborczynią. Odezwać się mogło też coś w rodzaju solidarności pokoleniowej. 45-letni prezydent zarzucający ubeckie metody komuś, kto walczył z komunizmem całe dorosłe życie i stracił ojca w czasach stalinizmu – wszystko to mogło zrobić na Kaczyńskim jak najgorsze wrażenie.

Ponadto w sukurs „Antkowi” przyszła „Gazeta Polska”, która na okładce ostatniego numeru umieściła zarówno zdjęcie Kaczyńskiego jako lidera pisowskiej rewolucji, jak i zdjęcie Macierewicza jako bohatera wywiadu

o „buncie generałów ze złotego funduszu”. Była w tym deklaracja lojalności, ale z zastrzeżeniem: dobra zmiana ma lidera – Kaczyńskiego, ale i gwaranta jej ideowości – Macierewicza.

Minister obrony wykonał gesty gotowości do pojednania. Na tweetupie w TV Republika jeden z internautów zapytał szefa MON, czy zachowanie prezydenta Andrzeja Dudy jest „wynikiem osobistej niechęci czy złych doradców”. „W ogóle nie widzę takiego problemu i staram się nie zwracać w ogóle uwagi na sprawy personalne. Jestem państwowcem i mam pełen szacunek dla urzędu prezydenckiego” – odpowiedział Macierewicz. Dwa dni potem w trakcie wywiadu w TVP zaznaczył, że procedura sprawdzania gen. Jarosława Kraszewskiego zakończyć się powinna w połowie grudnia. Lider MON znowu okazał się zręcznym politykiem.

Gdyby nie spór o Macierewicza, Kaczyński być może pozbyłby się wątpliwości i sięgnął już po fotel premiera. Czy jednak wobec ultimatum Dudy, że nie zaakceptuje Macierewicza w nowym rządzie, Kaczyński zdecyduje się na konflikt z niezwykle popularnym w elektoracie PiS ministrem?

Odejście Szydło jeszcze może by elektorat PiS przełknął, ale odsunięcie zarówno pani premier, jak i szefa MON wywołałoby spore niezadowolenie, np. w Klubach „Gazety Polskiej”.

Dla Macierewicza odejście z rządu – cej partii i założenie jakiegoś nowego

Na dodatek ostatnie pięć miesięcy w polityce Andrzeja Dudy mogło przypomnieć Kaczyńskiemu praktyki z epoki Lecha Wałęsy. Lider PiS dobrze pamięta, jak w 1992 r. generałowie niezadowoleni z działań Jana Parysa, cywilnego ministra obrony, w razie dymisji szli na skargę do Belwederu, gdzie opowiadając o swoich krzywdach, jednocześnie zachęcali prezydenta Wałęsę, by korzystał ze swych prerogatyw zwierzchnika sił zbrojnych.

ELEKTORAT CHCE POKOJU

Czy czeka nas kolejna wojna na linii Pałac Prezydencki – MON – Nowogrodzka? Na pewno taka nowa wojenka przyjęta byłaby bardzo źle przez elektorat prawicy. W sytuacji, gdy z radością przyjęto porozumienie w sprawie reformy sądów, nowy konflikt – nieczytelny pod względem racji – powodowałby jeszcze większą dezorientację co do taktyki głowy państwa.

Już teraz pod tweetami Kancelarii Prezydenta ze zdjęciami z wizyt zagranicznych komentarze krytyczne równoważą, niegdyś dominujące, demonstracje sympatii. Prezydenta ten brak zrozumienia ze strony zwykłych wyborców najwyraźniej męczy i budzi rozgoryczenie. To dlatego na zasadzie jakiegoś dziwnego odruchu poskarżył się na „ubeckie metody” zwykłym, anonimowym ludziom w tłumie.

Wyborcy jednak bardziej od ważenia racji w niejasnym sporze oczekują pokoju na górze.

Niepokoić ich może wizja powrotu Donalda Tuska do krajowych rozgrywek. Gdy piszę te słowa, nie sposób jeszcze orzec, czy protesty przeciw wspólnym już, prezydencko-pisowskim ustawom o reformie sądów nie przekroczą liczby parudziesięciu ludzi, czy zostaną rozkręcone przez organizacje NGO i opozycję na większą skalę.

Czy pani premier i szef resortu obrony są już bezpieczni? Dowiemy się po rekonstrukcji rządu. Na pewno są jednak bezpieczniejsi niż miesiąc temu.

A prezydent, który chciał iść za ciosem i po porozumieniu w sprawie ustaw sądowych spróbował zagrać o polityczną głowę Macierewicza, musi teraz zastanowić się, czy iść na kolejną wojnę z PiS, czy załagodzić spór.

Szczególnie że opozycja już głosi, iż w sprawie sądów prezydent i PiS są sobie wari. Pikiety przeciwników zmian w sądownictwie mogą być i na Krakowskim Przedmieściu. Co wtedy?

Czy pani premier i szef MON są już bezpieczni? Dowiemy się po rekonstrukcji rządu. Na pewno są jednak bezpieczniejsi niż miesiąc temu

ruchu byłoby niełatwą decyzją. Jednak także Kaczyński nie może ryzykować konfliktu z osobą z tak imponującym życiorysem niepodległościowym. Można wyobrazić sobie jeszcze jeden scenariusz omijający konflikt. Kaczyński zostaje premierem, ale zastrzega sobie jednocześnie resort obrony, w którym pierwszym zastępcą może potem mianować Macierewicza. Prezydent Duda nie ma podstaw do odmawiania Kaczyńskiemu teki, a Macierewicz faktycznie pozostaje szefem resortu.

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Na ulicy protestować będę z całą pewnością w sytuacji, jeśli będę miał pewność, że prezes Kaczyński chce zlikwidować jednomandatowe okręgi wyborcze w gminach” – obiecał pan w wywiadzie dla „Do Rzeczy” w sierpniu. Transparenty gotowe?

PAWEŁ KUKIZ: Można protestować na różne sposoby...

Jednak pan wyraźnie zapowiedział konkretną, uliczną formę protestu.

Powtarzam: mogą być różne formy protestu. Natomiast my, jako Kukiz'15, przeciwko upartyjnieniu samorządów z całą pewnością będziemy działać wspólnie z samorządowcami, z różnymi organizacjami, ze stowarzyszeniami, które popierają ideę JOW. A nawet z partiami politycznymi. Będziemy protestować przeciwko tym zmianom w ordynacji wyborczej, które idą w kierunku likwidacji JOW, zawłaszczania PKW, przeciwko tym zmianom, które PiS wprowadza po to, aby dzięki nim łatwiej wygrywać wybory oraz – poprzez zmniejszenie okręgów do powiatów i sejmików – wprowadzić system dwupartyjny, zinstytucjonalizowany PO-PiS. Złożyliśmy w Sejmie projekt ustawy wprowadzającej JOW na wszystkich szczeblach samorządów.

Zgodziłby się pan na dwukadencyjność w gminach, gdyby została wprowadzona dwukadencyjność także w parlamencie. Tymczasem PiS tłumaczy, że zmiany mają dotyczyć wyłącznie włodarzy gmin, a więc władzy wykonawczej. Radni – czyli, podobnie jak posłowie, władza ustawodawcza – będą mogli kandydować dowolną liczbę razy.

Jednak parlamentarzyści, którzy od dziesięcioleci zasiadają w ławach poselskich czy senatorskich, są również w pewnym sensie włodarzami tego kraju.

A jak pan ocenia pozostałe zmiany w ordynacji wyborczej, forsowane przez PiS: kamery w lokalach wyborczych, przezroczyste urny?

To są sprawy ważne, ale drugorzędne. Najbardziej istotne jest to, że PiS chce zlikwidować wpływ obywateli na wybór konkretnych kandydatów do władz lokalnych. Partia rządząca tworzy system, w którym samorząd będzie przywożony w teczach z Warszawy.

Zaapelował pan do prezydenta, by nie podpisywał ustawy likwidującej JOW w samorządach. Wierzy pan, że prezydent tego apelu wysłucha?

O to trzeba zapytać pana prezydenta.

Wcześniej „urabiał” pan prezydenta, żeby zawetował ustawy dotyczące sądownictwa. Może i w sprawie samorządów się uda.

Urabiać to można glinę. Jednak z całą pewnością, jeśli nadarzy się sposobność, będę rozmawiał z prezydentem na temat oddolności i obywatelskości. Rolą głowy państwa jest reprezentowanie całego narodu.

Tymczasem w sprawie reformy sądownictwa prezydent i PiS znaleźli jakąś drogę porozumienia...

Jestem przekonany, że uda się uzyskać w Sejmie taką zgodność, aby wybierać sędziów do KRS większością



Z Pawłem Kukizem, przewodniczącym klubu poselskiego Kukiz'15 rozmawia Maciej Pieczyński

Mam pretensje do Tuska

trzech piątych głosów. Wystarczyłaby np. suma głosów PiS, Kukiz'15, byłych posłów Kukiz'15, którzy odeszli do PiS-owskich przybudówek, oraz części PSL. Kompromis jest więc możliwy, a my jesteśmy zwolennikami poszukiwania porozumienia w sprawach kluczowych dla państwa.

Większość byłych posłów Kukiz'15 zgromadziła się wokół Zjednoczonej Prawicy. Jarosław Gowin pod szyldem swojej partii Porozumienie skupia tych, którzy nazywają siebie wolnościowcami, ale wołać być z PiS niż z Kukizem...

Błagam pana, na Boga, co pan opowiada?! Co to za wolnościowiec, który idzie do partii Gowina, czyli człowieka, który głosi za podwyższaniem podatków, „ale się z tego nie cieszy”? To są koniunkturaliści, ludzie mali, karierowicze. A nie tacy ideowcy jak posłowie Kukiz'15, którzy przyszli do Sejmu, by zmienić ustrój Rzeczypospolitej na proobywatelski.

Ironizował pan, że partia Porozumienie powinna nosić nazwę Porozumienie z Prezesem. Można się śmiać, ale jednak to pan głosił hasła szerokiej platformy porozumienia, a tymczasem to prezesowi Kaczyńskiemu udaje się jednoczyć pod swoimi skrzydłami szerokie kręgi ludzi prawicy, którzy od pana odchodzą.

A jaka to prawica?! Ci, którzy odchodzą ode mnie do obozu PiS, to nie są pravicowcy, to są spółkowcy Skarbu Państwa!

Uważa pan, że ci ludzie nie mają poglądów pravicowych?

Jakie pravicowe poglądy ma np. Adam Andruszkiewicz? Z klubu walczącego o penalizację banderyzmu odszedł do partii,

która tę penalizację odrzuca! Co z niego za narodowiec?! Chyba raczej banderowiec...

Sylwester Chruszcz też nie jest według pana narodowcem?

Proszę sobie sprawdzić, co o Chruszczu jeszcze nie tak dawno pisały propisowskie media – „Gazeta Polska”, Niezależna.pl. Dopóki był posłem Kukiz'15, dopóty sugerowano, że ma bliskie relacje z Rosją...

Wobec „banderowskiej” Ukrainy poseł Chruszcz jest bardzo krytyczny, a to przecież dla pana jest pewien wyznacznik pravicowości.

Podobno jest mało krytyczny względem Rosji. A jednak znalazł swoje miejsce w obozie Kaczyńskiego. To ciekawe, że Chruszcz przeszedł do związanego z PiS koła Wolni i Solidarni akurat po tym, jak jego sprawę zaczęła badać ABW...

Czy na każdego posła, który z Kukiz'15 odszedł w stronę PiS, znajdzie pan jakiś kompromat?

■ Każdy zrobił to z osobistych pobudek, a nie dla idei?

Słyszysz pan, co mówię? Sprawa posła Chruszcza to nie jest temat, którym zajmę się w zemście, dlatego że odszedł w stronę PiS. Jeszcze gdy należał do klubu Kukiz'15, dochodziły do mnie pogłoski o podejrzeniach w stosunku do niego, więc dlatego osobiście wnioskowałem do ABW o wyjaśnienie do końca sprawy rzekomej współpracy posła z Rosjanami. Chciałem te spekulacje uciąć raz na zawsze, dla bezpieczeństwa państwa i dla dobra klubu. Jestem ogromnie zdziwiony, że sprawy wciąż nie wyjaśniono, a jeszcze wczoraj uważany przez PiS-owców za rosyjskiego agenta Chruszcz dziś jest już członkiem przybudówki PiS.

Pojawiają się głosy, że Kukiz'15 skręca w lewo. Chruszcz to wciąż konkretny personalny przypadek, ale odchodzą od pana i idą do PiS posłowie

ponujemy jako Kukiz'15, to JOW. Wszyscy posłowie klubu, w tym Andruszkiewicz, z własnej woli złożyli oficjalną deklarację, że są wielkimi zwolennikami jednomandatowych okręgów wyborczych. A teraz Andruszkiewicz wchodzi do koła Wolność i Solidarność oraz staje się częścią obozu PiS, który chce JOW wywalić z samorządów. Jaki z niego lewicowiec, narodowiec czy prawicowiec?! To jest po prostu zwyczajny koniunkturalista! Czy pan tego nie rozumie?!

Kukiz'15 miał być platformą dla ludzi o różnych poglądach. Może po dwóch latach w Sejmie przekonał się pan, że nie da się utrzymać w ryzach tak różnicowanej grupy?

Pan mówi o ludziach z poglądami, a ja panu wskazuję przykłady ludzi bez poglądów, ludzi, którzy przyszedli do Sejmu, by za wszelką cenę zrobić karierę. Taka jest niestety w Sejmie większość posłów. I bardzo

ze względu na niezłomną wiarę w zwycięstwo, lecz także z uwagi na wodzowski styl zarządzania partią.

Ci, którzy tak twierdzą, bardzo mocno się mylą. Nie imponuje mi wodzowski system partyjny, ale taka podstawowa zasada, jaką jest lojalność w walce o wspólną sprawę. Czynnikiem dyscyplinującym nie powinna być wola wodza, tylko idea, którą można zrealizować, jedynie mając wokół siebie ludzi, którzy w tę ideę wierzą. Jednak to nie znaczy, że moja idea jest tożsama z ideą Kaczyńskiego. Prezes PiS walczy o centralizację państwa, ja zaś – o decentralizację państwa. I tyle.

Jak widać na przykładzie PiS, najsukceszniej dyscyplinującym czynnikiem w polityce są rządy silnej ręki, a nie ogólnie pojęta wiara. Bez wodza się nie da. Może jednak trochę nauczyło pana tego doświadczenie?

Walcząc o ideę, trzeba być jak jedna pięść. Oczywiście dobrym przykładem na to jest pan Kaczyński. Jednak różnica polega na tym, że panu Kaczyńskiemu obecny ustrój, obecny system odpowiada, a ja chcę ten ustrój i ten system zmienić. PiS nie tylko wpisuje się w partiokrację, ale jeszcze czyni ją bardziej siemienią. Ja chcę żyć w państwie proobywatelskim. Pan Kaczyński uważa, że posłów i samorządowców trzeba przywozić w teczkach z gabinetu prezesa, bo partia lepiej wie, kto jest godzien reprezentować naród, a ja uważam, iż naród jest godzien, by dać mu możliwość wyboru.

Wicemarszałek Tyszka krytykował ministra Macierewicza za ostre słowa pod adresem prezydenta. Tymczasem ostatnio to prezydentowi wyrwał się komentarz na temat „ubeckich metod” szefa MON.

Powiedział to w półprywatnej rozmowie. Skrót myślowy i tyle. Nie robiłbym z tego wielkiej afery. Dziennikarze powinni pochylać się nad koniecznością zmian ustrojowych, które by jasno precyzowały podział kompetencji między prezydentem jako zwierzchnikiem sił zbrojnych a szefem MON, zamiast rozpisywać się o tym, co jeden pan drugiemu panu powiedział.

Czy Andrzej Duda dobrze zrobił, zapraszając Donalda Tuska na uroczystości związane ze Świętem Niepodległości?

Taki jest zwyczaj, i bardzo dobrze. Co w tym złego? Andrzej Duda jest prezydentem wszystkich Polaków, również tych, którzy sympatyzują z Tuskiem. Inna sprawa, że chodzi o szefa Rady Europejskiej...

Andruszkiewicz – jaki z niego lewicowiec, narodowiec czy prawicowiec?! To po prostu zwyczajny koniunkturalista!

uważani za prawicowych. Chociaż domyślałem się, że będzie pan po kolei negował prawicowość każdego z nich.

Do PiS nie przechodzą posłowie prawicowi, tylko np. ci, którym zarzucano przekrety na kilometrówkach...

Pije pan do Adama Andruszkiewicza. Tymczasem on sam twierdzi, że odszedł m.in. dlatego, iż pan zarzucał mu zbyt propisowską retorykę. Co prawda, nie bronił go pan w sprawie kilometrówek, ale też nie wyrzucił go pan wówczas z klubu. To propisowskość okazała się decydująca. Czy oznacza to, że większym grzechem niż sprawa kilometrówek jest w oczach Pawła Kukiza wychwalanie pod niebiosa partii rządzącej?

Posel Andruszkiewicz od dawna nosił się z zamiarem opuszczenia klubu Kukiz'15. Takie mam przynajmniej wrażenie. Jednak wcześniej ten sam poseł Andruszkiewicz wielokrotnie sam, bez żadnej mojej sugestii, publicznie deklarował, że nigdy nie opuściłby klubu Kukiz'15. Zapewniał mnie o swojej lojalności, zarzekał się, że „nigdy w życiu nie potrafiłby zdradzić”. Pamiętam, że ludzi, którzy przechodzą z klubu do klubu, nazywał zdrajcami, których należałoby pozbawić mandatu poselskiego. Warto przypominąć, że od samego początku kadencji Sejmu zarzucano nam, że jedyne, co pro-

się cieszę, że w klubie Kukiz'15 pozostają ludzie, którzy poglądy mają.

Czyli kryterium podziału jest takie, że w swoim ruchu toleruje pan ludzi z poglądami, a nie toleruje pan karierowiczów?

Klub Kukiz'15 powołałem po to, by zmienić ustrój państwa, by uniemożliwić tym samym wejście do parlamentu śmiemcom, ludziom bez poglądów, karierowiczom, którzy idą do polityki dla pieniędzy i pozycji.

Nie lubi pan rozmawiać o odejściach posłów. Jednak klub Kukiz'15 topnieje coraz bardziej...

Od samego początku mówiłem, że jestem przygotowany na taki scenariusz. Wiedziałem, że część posłów opuści klub, ponieważ ta ordynacja jest tak fatalna, iż daje mi w praktyce trzy miesiące na zweryfikowanie tysiąca kandydatów na posłów. W tym czasie nie da się przetestować ich poglądów, ich uczciwości. To powinni robić sami obywatele w jednomandatowych okręgach wyborczych. Tak jak to robią w najpotężniejszych państwach świata: USA, Wielkiej Brytanii, Kanadzie, Australii i wielu innych.

Lubi pan powtarzać, że Kaczyński również zaczynał z garstką posłów. Niektórzy jednak twierdzą, że prezes PiS imponuje panu nie tylko

... który „zachowuje się jak obca agentura”. Tak skomentował pan twitterowy atak Tuska na polski rząd.

Mam pretensje do Tuska i jego partii o to, że przez osiem lat rządów nie wprowadzili takich zmian w legislacji, które by uniemożliwiły jakiegokolwiek partii sprawowanie władzy autokratycznej. Gdyby wprowadzono ustawę o obligatoryjnym dla władz referendum, nie mielibyśmy dziś problemu z zawłaszczaniem państwa przez PiS. Przy czym PiS zdobywa tę autokratyczną władzę w dużej mierze w zgodzie z obowiązującą, fatalną konstytucją. PO nie potrafiła przez dwie kadencje zabezpieczyć państwa przed nadużyciem władzy, a teraz, zamiast wziąć odpowiedzialność za własne błędy, wzywa do pomocy w ich naprawianiu zewnętrzne podmioty. Gdyby istniała instytucja obligatoryjnego dla władz referendum, nie byłaby potrzebna pomoc Brukseli. Wolę zresztą, by polskie sprawy załatwiano w Polsce.

Powinno się ukarać posłów, którzy głosowali za rezolucją przeciwko Polsce?

Oni sami już się ukarali, tracąc twarz przez głosowanie przeciwko Polsce. Tym samym skazali się na ostracyzm.

Jacek Saryusz-Wolski zapowiedział, że wystartuje w wyborach prezydenckich przeciwko Tuskiowi, by „bronić honoru Najjaśniejszej Rzeczypospolitej”. A kto będzie kandydatem klubu Kukiz'15 na prezydenta: Paweł Kukiz czy Andrzej Duda?

To pytanie nie ma sensu, bo na odpowiedź jest za wcześnie. Pogadamy przed kampanią. Jeśli będzie potrzeba, to wystartuję. W tej chwili interesuje mnie tylko reforma sądownictwa i to, co PiS zrobi z samorządami. Dalej w przyszłość nie będę wybiegał.

Sam pan wybiega w przyszłość, snując wizję zmiany konstytucji. Może jednak warto, by Kukiz'15 przedstawił jakiś konkretny projekt nowej ustawy zasadniczej, choćby ramowej, do dyskusji dla obywateli?

Złożyliśmy wiele projektów ustaw, również zmian w konstytucji, takich jak propozycja wyboru Trybunału Konstytucyjnego większością dwóch trzecich głosów. PiS wszystko odrzuca. Oni nie chcą z nikim rozmawiać,

chcą sami napisać konstytucję. Manipulują ordynacją wyborczą tak, by zdobyć większość konstytucyjną i wszystko przegłosować po swojemu. PiS chce napisać konstytucję, która umożliwi tej partii rządzącej przez najbliższe kilkadziesiąt lat. Tymczasem moim zdaniem powinny być prowadzone szerokie konsultacje społeczne z różnymi grupami, ze stowarzyszeniami, z organizacjami pozarządowymi od lewa do prawa, a ogólnym celem zmian ustrojowych powinno być utworzenie państwa obywatelskiego.

Dobrze, ale może warto, by jednak obok propozycji różnych grup obywateli także Kukiz'15 przedstawił swoje propozycje, choćby jakiś wstępny projekt do dyskusji dla szerokich środowisk.

Wszystko jedno, jaki projekt będzie punktem wyjścia do dyskusji. Można wyjść choćby od projektu konstytucji zaproponowanego przez Solidarność w latach 90.

Wszystko jedno, jak będzie wyglądała nowa konstytucja? Pytam o konkretne pomysły Pawła Kukiza, nie Solidarności.

Przecież tłumaczę: to nie Kukiz ma pisać konstytucję, tylko obywatele. Mało tego – to nie Sejm ma uchylać konstytucję, tylko obywatele w drodze referendum. Jakikolwiek sens tworzenia ramowego projektu konstytucji będzie dopiero wówczas, gdy Sejm przegłosuje ustawę o obligatoryjnym dla władz referendum.

To co pan powie wyborcom, gdy zapytają pana, jakiej konstytucji chciałby Paweł Kukiz?

Są cztery założenia, o których przecież wszyscy wiedzą: ordynacja większościowa na wszystkich szczeblach od samorządu do parlamentu, system prezydencki, referendum obligatoryjne dla władz oraz odbiurokratyzowanie państwa, które umożliwi obniżenie podatków, pobieranych na utrzymanie hord urzędniczo-partyjnych.

Ten ostatni postulat powinien przyciągnąć wolnościowców. I to nie tych, którzy odeszli do Gowina, ale tych od Korwin-Mikkego.

Chciałbym odbudować w Polsce klasę średnią. Żeby tego dokonać, trzeba nie tyle zmienić system podatkowy, ile stworzyć ten system na nowo, bo na tę chwilę w kwestii przepisów podatkowych mamy anarchię. Chcę łączyć element wolnościowy z elementem socjalnym. Nie chcę ani państwa wyłącznie socjalnego, ani państwa skrajnie wolnorynkowego. To ma być kompromis między związkowcami a wolnościowcami.

A gdzie w tej układance narodowcy? Poszli do PiS?

Powtarzam: do PiS poszli tacy „narodowcy”, którzy nie chcą penalizacji banderyzmu. To tak, jakbym ja ubrał sutannę i udawał, że jestem księdzem. Tak samo prawdziwe jest ich przywiązanie do idei narodowej.

Jednak czy wciąż chce pan wokół Kukiz'15 skupiać środowiska narodowe?

Proszę pana, przed panem siedzi narodowiec. Czyli człowiek, który oddałby za Polskę życie. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. RAPAL SIEDERSKI/FORUM



FOT. FOTOLIA

Gwarancja sukcesu

Brak wystarczających funduszy jest najczęstszą przyczyną oporu firm przed inwestowaniem w innowacje. Bank Gospodarstwa Krajowego ma na to receptę – gwarantowaną

Dla każdego przedsiębiorcy decyzja o rozpoczęciu działalności innowacyjnej, w tym opartej na wdrażaniu nowych rozwiązań w firmie, wiąże się z zaangażowaniem dodatkowych, często niemałych środków finansowych. Jeśli przedsiębiorca nie posiada wystarczającego kapitału, to zawsze może sięgnąć po pożyczkę, kredyt lub dotację, ale nie zawsze ją otrzyma. Główną przeszkodą w takich przypadkach jest brak wystarczającego zabezpieczenia, np. w postaci nieruchomości. Analizy rynku wskazują, że obok specyfiki branży to właśnie niewystarczające fundusze najczęściej powodują, iż przedsiębiorcy nie decydują się na działalność innowacyjną lub znacznie ograniczają jej zakres.

Tutaj wkracza Bank Gospodarstwa Krajowego, którego głównym zadaniem jest wspieranie rozwoju gospodarczego kraju i podnoszenie jakości życia Polaków, poprzez finansowanie największych inwestycji infrastrukturalnych i stymulowanie rozwoju przedsiębiorstw w kraju oraz na rynkach zagranicznych. BGK jako państwowa instytucja finansowa o dużej wiarygodności ma unikalne doświadczenie w finansowaniu, udzielaniu poręczeń i gwarancji oraz dystrybucji funduszy unijnych. Jest wartościowym partnerem dla instytucji państwowych, samorządów, banków, a także przedsiębiorców, czego dowodzi m.in. poprzez rozszerzenie oferty gwarancyjnej o nowe i jeszcze atrakcyj-

niejsze rozwiązania dla firm z sektora MSP, dysponujących potencjałem innowacyjnym oraz spełniających kryteria innowacyjności jako warunek uzyskania gwarancji BGK.

MAKSYMALNE KORZYŚCI DŁA MIKRO- MAŁEGO I ŚREDNIEGO BIZNESU

Czerpiąc z doświadczeń programu gwarancji de minimis, funkcjonującego od 2013 r., Bank Gospodarstwa Krajowego dzięki gwarancji Biznesmax umożliwia przedsiębiorcom ubieganie się o korzystniejsze warunki kredytowania. Nowa gwarancja wyróżnia się m.in. prostymi zasadami i procedurami do spełnienia,

a jednym z jej głównych atutów jest m.in. maksymalny okres udzielenia gwarancji, który może wynosić aż do 20 lat. Niezmiennie istotnymi parametrami tego produktu są wysoka kwota gwarancji sięgająca 2,5 mln euro oraz maksymalny możliwy zakres gwarancji, który obejmuje 80 proc. wartości kredytu. Ponadto gwarancja Biznesmax jest bezpłatna, co w istotny sposób wpływa na oszczędność środków po stronie przedsiębiorcy. Gwarancją może być objęty nowy kredyt, który jest przeznaczony na finansowanie rozwojowej działalności gospodarczej firmy, w tym wdrażania wyników prac badawczo-rozwojowych.

Tak skrojona gwarancja w ofercie BGK ułatwia dostęp do zewnętrznych źródeł finansowania firmom, które nie dysponują wystarczającym kapitałem. Dlatego Biznesmax jest doskonałym instrumentem wsparcia dla rozwijających się przedsiębiorstw z sektora MSP. Tym bardziej że warunki przyznania gwarancji nie są skomplikowane. Owszem, wymagają spełnienia kilku kryteriów przez przedsiębiorcę, w tym m.in. przynależność do sektora MSP, status rezydenta na terenie Rzeczypospolitej. Warunkiem jest również posiadanie uprawnienia do skorzystania z pomocy de minimis lub regionalnej pomocy inwestycyjnej oraz spełnienie kryterium dostępu według wariantu 1, który polega na wdrożeniu wyników prac B+R, albo według wariantu 2 – czyli spełnienie przynajmniej jednego z 15 kryteriów innowacyjnego przedsiębiorcy, w tym np. bycie lokatorem parku technologicznego lub inkubatora przedsiębiorczości i otrzymanie wsparcia na działalność innowacyjną lub zgłoszenie do ochrony albo posiadanie prawa wyłącznego w zakresie wynalazku objętego ochroną patentową, albo prowadzenie działań badawczo-rozwojowych w strukturze organizacyjnej firmy, w którym w ramach personelu badawczego zatrudniona

Siedem zalet głównych

- **wygoda:** wszystkie formalności związane z zabezpieczeniem kredytu są realizowane w banku kredytującym
- **dostępność:** gwarancja jest stale dostępna na terenie całego kraju w bankach, które podpisały umowę z BGK
- **elastyczność** w dysponowaniu własnym majątkiem dzięki opcji, że to gwarancja BGK jest głównym zabezpieczeniem kredytu
- **oszczędność (środków):** gwarancja umożliwia atrakcyjniejsze warunki kredytowania niż standardowa oferta banku kredytującego
- **szybkość:** szybka ścieżka decyzyjna dzięki naborowi wniosków w trybie ciągłym, prosta ocena merytoryczna projektu bez paneli ekspertów
- **efektywność:** w korzystny dla przedsiębiorcy sposób wyliczania wartości pomocy publicznej (wartość pomocy stanowi ułamek wartości otrzymanej gwarancji)
- **bezkosztowość:** korzystający z gwarancji nie ponosi z tego tytułu żadnych opłat i prowizji

jest co najmniej jedna osoba w wymiarze pełnego etatu.

SKUTECZNOŚĆ W PROSTOCIE

Gwarancja Biznesmax jest narzędziem o wyjątkowo przyjaznej strukturze i procedurze. Wniosek o udzielenie gwarancji wraz z planem inwestycyjnym przedsiębiorca składa w banku kredytującym razem z wnioskiem kredytowym. Dokumenty potwierdzające spełnienie kryteriów muszą być dostępne w firmie, ale nie są wymagane przez bank na etapie wnioskowania. Decyzja o udzieleniu gwarancji jest podejmo-

dytu. Gwarancja umożliwia też uzyskanie lepszych warunków kredytowania w porównaniu ze standardową ofertą banku. Ponadto w korzystny dla przedsiębiorcy sposób jest wyliczana wartość otrzymanej pomocy publicznej, gdyż wartość ta stanowi ułamek wartości otrzymanej gwarancji.

Kluczowe, szczególnie z punktu widzenia przedsiębiorcy, jest to, że kredyt zabezpieczony gwarancją Biznesmax może finansować koszty przygotowawcze poniesione przed złożeniem wniosku o udzielenie gwarancji (do 10 proc. sumy kosztów kwalifikowanych projektu). Oprócz kosztów inwestycyjnych może również finansować koszty towarzyszące inwestycji (maksymalnie do 20 proc. sumy kosztów kwalifikowanych projektu), koszty obrotowe (do 30 proc. sumy kosztów projektu), a także koszty w kwotach brutto (uwzględniające VAT).

Nie do przecenienia jest fakt, że przedsiębiorca wszelkie formalności realizuje w banku, w którym składa wniosek o kredyt. Pełna lista banków, które współpracują z BGK w zakresie udzielania gwarancji Biznesmax, jest dostępna na portalu internetowym BGK i jest aktualizowana na bieżąco.

Anna Szymczak

Artykuł powstał we współpracy z Bankiem Gospodarstwa Krajowego

**Gwarancja Biznesmax zabezpiecza
spłatę do 80 proc. wartości
kredytu, a jej maksymalna
wysokość to 2,5 mln euro**

wana jednocześnie z decyzją o udzieleniu kredytu, co skraca czas całej procedury.

Sam produkt pozwala przedsiębiorcy na dużą elastyczność w dysponowaniu własnym majątkiem, ponieważ gwarancja BGK jest głównym zabezpieczeniem kre-

Gwarancja



**Wystarczy kilka
dobrych ruchów...
i wszystko się
dobrze ułoży.**

Gwarancja Biznesmax to bezpłatne zabezpieczenie spłaty kredytu dla małych i średnich firm na rozwój i innowacje



Młodzi, gniewni,



Wojciech Wybranowski

Na głębokim marginesie środowisk narodowych, umiejętnie wykorzystując media społecznościowe, próbuje odrodzić się grupa czerpiąca ze skompromitowanych idei narodowego socjalizmu

Zeby móc powiedzieć »Jestem Polakiem«, trzeba urodzić się z polskiej krwi. Podobnie, aby powiedzieć »Jestem Europejczykiem«, trzeba nim faktycznie być. Żadne nachodźstwo, tzw. patriotyzm obywatelski czy wiązanie tożsamości wyłącznie z »poczuciem

się do niej« nie może zatruć naszej idei» – piszą na swojej stronie internetowej. I podkreślają: »Etniczność, prawo krwi i ziemi jest barykadą, której nigdy nie opuścimy ani nie poddamy».

Tak wygląda fragment manifestu nieformalnej grupy o nazwie Szturmowcy, która powstała kilkanaście miesięcy temu na dalekich obrzeżach środowiska narodowców. Opinia publiczna pierwszy raz usłyszała o niej zaledwie dwa tygodnie temu, kiedy to podczas odbywającego się w Warszawie Marszu Niepodległości grupa ubranych na czarno młodych mężczyzn, w czarnych kominiarkach, z przypiętymi do ramion drewnianymi tarczami, rozwinęła transparenty z napisami: »Jedną drogą nacjonalizm, uderz, uderz w kapitalizm», »Czysta krew, trzeźwy umysł» i »Europa będzie biała albo bezludna». Skandowali też takie hasła jak: »Biała siła, Ku Klux Klan» czy »Sieg Heil». Mieli także flagi

z celtyckimi krzyżami, uważanymi za symbole subkultury skinowskiej.

– Nie mamy z nimi nic wspólnego, szkoda naszej sprawie. Nie jest to środowisko, z którym współpracujemy. Uważamy, że nie kontynuują oni tradycji katolickiego polskiego ruchu narodowego – mówi nam o Szturmowcach Krzysztof Bosak, jeden z liderów Ruchu Narodowego.

Kim więc są młodzi nacjonaści używający nazwy Szturmowcy, od których solidarnie odcinają się liderzy głównych środowisk tych narodowców, którzy odwołują się do tradycji polskiej endecji? »Do Rzeczy» przeprowadziło dziennikarskie śledztwo.

„WROGÓW TRZEBA USUNĄĆ”

Wygląda na to, że na dalekich obrzeżach środowiska narodowego w Polsce, wykorzystując radykalizm młodych ludzi i problemy, z jakimi boryka się współczesna Europa, próbuje się tworzyć aktywna



Na Marszu Niepodległości aktywiści Szturmowców byli ubrani na czarno, mieli kominarki i drewniane tarcze
FOT. ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

brunatni

grupa, która pełnymi garściami czerpie z lewicowych ideologii: faszystowskich i narodowosocjalistycznych, nawiązując poglądami oraz symboliką m.in. do straszerowców czy przedwojennych faszystów Oswalda Mosleya.

– Są to ludzie, których my identyfikujemy jako kolejną odsłonę narodowego socjalizmu z nieco zliftingowaną twarzą. W latach 90. byli aktywni naziskini, później jakieś lokalne grupy „ns”, kilka lat temu przez krótki czas była moda na „autonomicznych nacjonalistów”, którzy głosili idee nacjonalizmu nie narodowego, lecz rasowego i wzorowali swoją taktykę działania na Antifie, a teraz wśród młodych radykałów modny jest „nacjonalizm szturmowy” – opowiada w rozmowie z „Do Rzeczy” znany działacz środowiska endeckich. Mówi jednak, że nazywanie ich neonazistami sensu stricto byłoby krzywdzące.

– Są w większości młodzi, mają straszny bałagan w głowach, mieszają różne poglą-

dy, wiedzą, że w Polsce wielu zwolenników nie zdobędą, więc marzy im się coś na kształt lekko rasowej faszyzującej między-narodówki, stąd hasła o „Białej Europie” – kpi nasz rozmówca. „Skoro więc wróg jest międzynarodowy i działający na każdej możliwej płaszczyźnie, my także musimy zjednoczyć się i wspólnie stanąć do walki o nasze Narody, kontynenty i kulturę” – czytamy na stronie Szturmowców.

Tygodnikowi „Do Rzeczy” udało się porozmawiać ze Szturmowcami. Pytaliśmy m.in. o niechętny stosunek do nich większości środowiska narodowców czy niepokojąco narodowosocjalistyczne poglądy. – Mamy ambicje stworzyć twardy europejski ruch nacjonalistów, który byłby alternatywą dla narodowokatolickiego pitolenia, dla tych użytecznych głupków systemu, z którym mieli walczyć, a którego stali się częścią – przekonuje nas jeden z młodych ludzi, który na manifestacji 11 listopada pojawił się w szeregach Sztur-

mowców. W oficjalnych rozmowach z „Do Rzeczy” przedstawiciele tej organizacji wcale nie brzmią mniej radykalnie. – Polska prawica chce być politycznie poprawna i bardzo uważa na to, co napisze nadredaktor w „Gazecie Wyborczej”. Aby móc się do czegoś odnieść, przeprosić lub udowodnić, że nie jest „faszystowskim czarnym ludem”. My nie czujemy potrzeby tłumaczenia się naszym wrogom oraz ludziom demontującym ład, który stworzyli nasi przodkowie. Uważamy, że ich opinie nie mają znaczenia, a oni sami są tylko przeszkodą, którą należy usunąć – rzuca Miłosz Jezierski, jeden z nieformalnych przywódców Szturmowców.

Grupa, którą reprezentuje Jezierski, to konglomerat głównie dwudziestokilku-, trzydziestolatków, aktywnych zwłaszcza w Internecie i na bojówkarskich akcjach. Skupili się najpierw wokół internetowego pisma „Szturm”, później stworzyli własną organizację. Według naszych informatorów ze środowiska nacjonalistów znaleźli się w nim m.in. byli działacze Narodowego Odrodzenia Polski, paru byłych ONR-owców, trochę naziskinów, neopoganie i niezrzeszeni dotąd ludzie o radykalnych poglądach. Od „endeckich narodowców” odróżnia ich też pozytywny stosunek do Józefa Piłsudskiego.

– To dziś w skali kraju maksimum 200–300 osób, za mało, by mówić, że dużo, ale za dużo, by udawać, iż nie ma problemu. Jednak rozwiązemy go we własnym gronie i na swój sposób – mówi nam jeden z narodowców krytycznie nastawiony do Szturmowców.

Podobnie jak organizacje skinheadów w latach 90. struktura Szturmowców nie jest hierarchiczna, to zespół organizacji działających lokalnie i z lokalnymi ważkami, jednak pod wspólnym szyldem, umawiających się w Internecie „na akcje”.

FASCYNACJA NAZISTAMI

Tak umówili się np. na wyjazd do Szwecji na manifestację Rewolta zorganizowaną przez Nordycki Ruch Oporu (NMR) – neonazistowską organizację, stawiającą sobie za cel rewolucyjne stworzenie „północnej republiki socjalistyczno-narodowej”. Akcja wymierzona była w szwedzkich polityków wspierających masowe migracje. „Marsz ruszył z miejsca, gdzie miał się oficjalnie rozpocząć. Tam nieomal doszło do konfrontacji z lewakami, jednak skończyło się na krótkich przepychankach członków NMR z policją, wskutek czego hospitalizowany został

„jeden z policjantów” – opowiadają na swoich stronach Szturmowcy.

Z kolei w czerwcu wybrali się do Berlina na antyimigracyjną demonstrację organizowaną przez Identitäre Bewegung Deutschland. Nie bardzo im się jednak wyjazd udał: „Gdy w końcu udało nam się przedostać w okolice Volkspark Humboldthain i wydawało się nam, że jakoś dotrzemy do manifestacji, natrafiliśmy na policyjne wilczury (!), które wydawały się bardzo głodne, i po raz kolejny musieliśmy się wycofać” – poskarżyli się w Internecie.

Na Marszu Niepodległości aktywiści Szturmowców zwracali uwagę nie tylko skandalicznymi okrzykami i transparentami, lecz także wyposażeniem przypominającym bojówki lewackiej Antify: czarnymi strojami, kominarkami i drewnianymi tarczami. Wspólnie z marginalnymi dziś organizacjami: neopogańskim Niklotem i równie marginalnymi Autonomicznymi Nacjonalistami stworzyli – znany z burd Antify – Czarny Blok. Nasi informatorzy zwracają szczególną uwagę na ciężkie drewniane tarcze, jakie mieli Szturmowcy – element dotąd nieobecny na manifestacjach polskich narodowców. Podobne w sierpniu tego roku nosili amerykańscy neonaziści i secesjoniści, którzy w Charlottesville starli się z lewakami i policją. Jednak jeszcze ważniejsze są symbole, jakich używają Szturmowcy.

Na jednym z transparentów widniał neopogański symbol Czarnego Słońca popularnego również w kręgach mistyków III Rzeszy, a na tarczach i stronie Szturmowców grafika mocno przypominająca runę sig, która – w symbolice nazistowskich Niemiec stosowana podwójnie – oznaczała „zwycięstwo”.

– Symbolem naszej organizacji nie jest runa sig, lecz błyskawica inspirowana historycznym symbolem Grup Szturmowych Szarych Szeregów, w których służyli również nacjonaści. Czarne Słońce jest pradawnym symbolem związanym z kulturą indoeuropejską. Dla Szturmowców oznacza związek z przodkami i narodową tradycją – przekonuje nas Miłosz Jezierski ze Szturmowców.

Rzeczywiście, błyskawica istnieje w logo Grup Szturmowych Szarych Szeregów, wpisana jednak w symboliczną literę G. Tyle że w herbie organizacji Jezierskiego i jego kolegów błyskawica do złudzenia przypomina nordycką runę wpisana jest w podwójne koło-tarczę i jest niemal dokładnym odzwierciedleniem symbolu działającej w latach 30. poprzedniego

wieku Brytyjskiej Unii Faszystów założonej przez Oswalda Mosleya. Kojarzyć się może też z logo jednego z niszowych ugrupowań II RP: Partią Narodowych Socjalistów.

– Analogie są zbyt duże, by można się było mylić. To po prostu nowa twarz środowiska narodowosocjalistycznego, które gdzieś na absolutnym marginesie od lat funkcjonowało. My z nimi nie chcemy mieć nic wspólnego – komentuje Aleksander Krejckant, lider Obozu Narodowo-Radykalnego, gdy pytamy go o Szturmowców.

OD STRASSERA PRZEZ SPENCERA DO AZOWA

Odniesień do narodowych socjalistów czasu międzywojnia w poglądach i symbolice Szturmowców nie brakuje. Jedną z grafik na stronie pisma „Szturm” przedstawia zamaskowanego lokaja niosącego na tacy butelkę z koktajlem Mołotowa. I podpis: „Szturmowy koktajl. Wstrząśnięty, nie mieszany. Tą kolejkę pijemy za zdrowie kapitalistów, liberałów i skorumpowanych elit. Szturmowcy”. –

Na jednym z transparentów widniał popularny w III Rzeszy neopogański symbol Czarnego Słońca, a na tarczach grafika przypominająca runę sig

Dziwisz się, że brzmi to jak z manifestu NSDAP? Tam są ludzie zafascynowani strasseryzmem. Odłot i mętnik, trochę jak w sekcje – opowiada nam były działacz Młodzieży Wszechpolskiej, który przez krótki czas próbował działać wspólnie ze Szturmowcami.

– Nie jest to prawda, nikt nie jest zwolennikiem strasseryzmu. Sama idea braci Strasser jest odczytywana w naszych kręgach jako pewna inspiracja, a takich jest multum. Czytamy zarówno Carla Schmitta, jak i Gramsciego [teoretyk marksizmu – przyp. W.W.] – broni się Jezierski w rozmowie z „Do Rzeczy”.

Bracia Strasser, o których mówi szturmowiec, to działacze partii nazistowskiej: Otto mający skrajnie lewicowe przekonania uważał Hitlera za łagodnego liberała, Gregor uczestniczył w puczu monachijskim, a później tworzył NSDAP, w 1934 r. został zastrzelony na osobisty rozkaz Hitlera. Na stronie magazynu „Szturm”

kojarzonego ze Szturmowcami można znaleźć m.in. „Czternaście tez narodowej rewolucji Otto Strassera”. Podobieństw do idei – lekko zmodyfikowanych – przyświecających niemieckim narodowym socjalistom jest więcej.

– Ekonomia musi służyć potrzebom narodu, który jest dla nas absolutem. Stąd też promujemy kooperatyzm, uważamy, że wzorem państw np. skandynawskich mniejsze podmioty nawet pod przymusem państwa powinny łączyć się w większe spółdzielnie lub korporacje – opowiada nam Jezierski.

– Popieramy uzwiązkowanie. Naród musi działać jak zębate koła, a nie piramida finansowa – dodaje też działacz Szturmowców. „Zębate koła” przez wiele lat III Rzeszy były jednym ze sloganów niemieckich nazistów używanych w odniesieniu do związków przemysłu i klasy robotniczej. Rysunek „zębatego koła” był też symbolem Niemieckiego Frontu Pracy.

„Szturmowcy” przekonują, że obecnie nie współpracują jeszcze oficjalnie z żadną zagraniczną organizacją. Jednocześnie wśród polskich narodowców głośno jest o bliskich kontaktach tej organizacji z lewicującymi narodowymi socjalistami z włoskiej CasaPound i ich młodzieżówką Blocco Studentesco, pieczętującą się niemal identycznym symbolem co Szturmowcy, a także ukraińskimi środowiskami probanderowskimi, m.in. Swobodą i pułkiem Azow. Założycielem Azowa jest Andriej Bielecki, wywodzący się z organizacji narodowosocjalistycznej.

Z kolei w przededniu Marszu Niepodległości Szturmowcy chcieli zorganizować konferencję, której gwiazdą miał być Richard B. Spencer, działacz Alt-Right i skrajny zwolennik supremacji rasowej. Ostre sprzeciw wobec planów jego przyjazdu do Polski wyraziło polskie MSZ. Ostatecznie Spencer nie przyjechał, ale „szturmowa konferencja” się odbyła – wzięło w niej udział ponad 100 osób.

W minionym tygodniu liczne organizacje narodowe i nacjonalistyczne, m.in. ONR, Młodzież Wszechpolska i Ruch Narodowy, wydały oświadczenie, w którym stwierdzono, że sprzeciwiają się one „masowej imigracji do Polski z innych kręgów kulturowych”. Jednocześnie jednak podkreślono też, że sygnatariusze odrzucają „rasizm i wszelkie bazujące na pojęciu rasy doktryny społeczne i polityczne”. Wśród sygnatariuszy przedstawiciele Szturmowców się nie znaleźli. © Wszelkie prawa zastrzeżone

PRAWDZIWY KONIEC BIBLIJNEJ APOKALIPSY

M I C H A Ł
GOŁKOWSKI

PREMIERA
KSIĄŻKI
17.11.2017

KOMORNIK
TOM III
KANT

SKORO ŻYCIE
JEST DŁUGIEM,
CZAS WYRÓWNAĆ
RACHUNKI



EZECHIEL VII,
KOMORNIK BOŻY
WINDYKUJE
NA ZAWSZE



Przypadek ks. Bonieckiego

FOT. BEATA ZAWRZEŁ/REPORTER



Tomasz P. Terlikowski

„Sprawa” ks. Adama Bonieckiego doskonale pokazuje, w jakim miejscu i w jakiej sytuacji znajduje się obecnie katolicyzm otwarty, którego ten duchowny pozostaje jednym z najważniejszych symboli

Kilka tygodni trwała „wolność medialna” ks. Adama Bonieckiego. Nowy prowincjał zgromadzenia księży marianów zdecydował się zdjąć ograniczenia nałożone na redaktora seniora „Tygodnika Powszechnego” przez swojego poprzednika i pozwolić, by duchowny ten mógł swobodnie udzielać wywiadów. Kilka tygodni, kilka wywiadów, jedno kazanie i jedno zdjęcie wystarczyły, by zgodę tę cofnąć i by powrócił status quo – duchowny ma zakaz (zgromadzenie ujemnie rzecz inaczej i informuje, że nie ma zgody) udzielania się medialnego, a pozostawiono mu jedynie „przywilej” publikowania na łamach „Tygodnika Powszechnego”. I choć pojawiły się listy otwarte, dziennikarze wypatrzyli jakieś napisy na chodnikach, fora internetowe się rozgrzały, kilku duchownych (w tym o. Tomasz Dostatni i ks. Alfred Wierzbicki) wyraziło na łamach „Gazety Wyborczej” oburzenie i jednocześnie wsparło ks. Bonieckiego, a on sam udzielił dość przekonujących wyjaśnień odnośnie do zdjęcia, które miało być wyrazem poparcia dla ruchu LGBT w Polsce, to niewiele wskazuje na to, by cokolwiek miało się zmienić.

POGAŃSKA HEROIZACJA SAMOBÓJSTWA

Dlaczego? Odpowiedzi trzeba szukać zarówno w samej osobowości ks. Adama Bonieckiego, specyfice polskiej sytuacji medialno-eklezyjalno-politycznej, jak i w ostatnich wydarzeniach. Zaczniemy od tych ostatnich. Decyzja przełożonych zakonnych związana jest z jedną wypowiedzią, jednym kazaniem i jednym zdjęciem, które mogły (i tu trudno się z przełożonymi nie zgodzić) wprowadzać poważny zamęt w umysłach i sumieniach wiernych. Zaczęło się od wywiadu, którego udzielił ks. Adam Boniecki „Gazecie Wyborczej” po samospaleniu Piotra Szczęsnego.

Nie ma co ukrywać, że nie był to dobry tekst. Duchowny uwznioślał i heroizował w nim samobójstwo, odrzucał – wbrew jasnym dowodom, że Szczęsny wiele lat leczył się na depresję – jakiekolwiek powody zdrowotne dla podjęcia tak radykalnej decyzji, a także oskarżał tych wszystkich, którzy uważali, że źródłem decyzji o samospaleniu trzeba szukać raczej w propagandzie i problemach psychicznych. – On nie był fanatykiem ani szaleńcem. To nie było spowodowane przyczynami psychiatrycznymi, to był człowiek bardzo serio myślący – mówił ks. Boniecki. – Nie wiem, czy ta śmierć zmusi szerokie kręgi społeczne do refleksji. Bardzo jest łatwa ta ucieczka, że albo to jest produkt „opozycji totalnej”, albo psychicznie chory człowiek. Takie alibi, żeby mieć spokój – dodawał. A w wywiadzie nie zabrakło także uwznioślenia tego samobójstwa. – Gest Jana Palacha wstrząsnął światem, była to manifestacja tak niezwykle mocna, że do nikogo nie trafiła usiłowania propagandy, żeby sprowadzić to wszystko do szaleństwa, do stanu psychicznego. Władza samospalenia Piotra Szczęsnego zignorowała. To jest tak mocny znak protestu, że właściwie nie można przejść wobec niego obojętnie – przekonywał. I aż trudno nie zadać pytania, czy spowiednik tej miary co ks. Boniecki (a wszyscy, którzy go znają, zawsze podkreślają, że jest świetnym spowiednikiem), nie dostrzegł, że takie słowa w ogóle pomijają problem osobistej winy samobójcy, a także oceny moralnej czynu, który przez Kościół był i jest traktowany jako jeden z największych grzechów.

Jednak nie ten wywiad był najgorszy. Dramatyczne, z punktu widzenia wiary i moralności, było dopiero kazanie na pogrzebie Piotra Szczęsnego. Ksiądz Boniecki dokonał tam czegoś więcej niż kanonizacji samobójcy, on zestawiał jego męczarnię z męką Chrystusa. – Zdumiewają mnie ci, którzy śp. Piotrowi – który przecież jest, bo życie wiernych zmienia się, ale się nie kończy, który zatem jest – rzucają teraz w twarz: „Niepotrzebna jest ta twoja męka, twój czyn nieadekwatny do sprawy, twojego krzyku i tak nikt nie słucha”. Tak mówią zadowoleni z siebie, mówią człowiekowi, który swoją egzystencję, swoje „być” zamienił w krzyk, zamienił w ogień, zamienił w ból. To taka chwila, że chciałoby się powiedzieć: uważajcie sędziowie swoich racji, żebyście kiedyś nie zostali wypłuci z ust Boga. Tak, żeby nie usłyszeć krzyku, żeby nie zobaczyć światła w tamtym blasku, formując

obrony, żeby to nie był krzyż, żeby to nie był znak. A to jest krzyż, to jest znak – mówił podczas kazania. – Ten człowiek cierpiał za Polskę, z Polską – dodał.

Tych słów (szczególnie że w kazaniu zabrakło mówienia o miłosierdziu Bożym, tak jakby w sytuacji samobójstwa było ono niepotrzebne) nie da się obronić z chrześcijańskiego, ewangelicznego punktu widzenia. Uwznioślenie samobójstwa, czynienie z niego krzyża czy uznawanie Piotra Szczęsnego za współczesnego Koheleta, który „widzi więcej”, to nie tylko polityczna instrumentalizacja tej śmierci, dokonana przez kogoś, kto powinien być przede wszystkim kapłanem, lecz także zastosowanie pogańskiego, rzymskiego myślenia do homilii, która z ducha i litery powinna być chrześcijańska. I już tylko to powinno wystarczyć przynajmniej do upomnienia dla duchownego, który opowiada takie rzeczy zaciemniające nauczanie Kościoła, a także takie, które mogą przyczyniać się do kolejnych samobójstw.

NAIWNOŚĆ KATOLIKA OTWARTEGO?

Gwoździem do trumny medialnych wystąpień ks. Bonieckiego było zdjęcie, które na jednym z gejowskich forów zamieścił jakiś wielbiciel. Na fotce był duchowny z kartką z napisem: „LGBT” i podniesionym kciukiem. Forum LGBT poinformowało, że zdjęcie to jest dowodem na to, że akcję wspiera ten właśnie duchowny. Kilka dni później, już po nałożeniu na duchownego ograniczeń przez jego zgromadzenie, pojawiło się wyjaśnienie samego ks. Bonieckiego, wedle którego zdjęcie nie miało oznaczać wsparcia, a do tego zostało wykorzystane wbrew intencjom duchownego. „Oświadczam, że ani podpis, ani zgoda na zrobienie zdjęcia nie są udzieleniem przeze mnie wsparcia żadnej inicjatywie LGBT, o której zresztą nic mi nie wiadomo. Człowiek z kartką do podpisu ani słowem o żadnej inicjatywie nie wspominał. Nie poinformował mnie także, że zamierza posłużyć się moim wizerunkiem w promowaniu jakiejś publicznej »inicjatywy«” – napisał ks. Boniecki.

Co zatem miało się stać? Odpowiedź znajduje się w oświadczeniu duchownego. „Ponieważ często przed rozpoczęciem spotkania ktoś prosi mnie o autograf na egzemplarzu książki, ale czasem także na luźnej kartce, nie byłam zaskoczony. Będąc zdecydowanym przeciwnikiem dyskryminowania osób

homoseksualnych, traktowania ich z pogardą lub poniżania, a także znając ich wrażliwość, kartkę podpisałem oraz się zgodziłem na zrobienie zdjęcia (o co także często proszą »łowcy autografów«). Jeżeli w ten sposób – z zaskoczenia i bez wyjaśnień – łowi się VIP-ów wspierających inicjatywy LGBT, to nie wróżyłbym dla tych akcji i środowiska wielu sukcesów. Oczekuję usunięcia mojego zdjęcia ze strony forum LGBT” – napisał.

Nie zamierzam kwestionować szczerości tych słów ani ich prawdziwości, trudno jednak nie dostrzec, że nie jest to pierwszy moment, w którym duchowny dał się wykorzystać, pozwalając na zrobienie sobie zdjęcia. Wcześniej w bardzo podobny sposób zrobił sobie z nim promocję Nergal. W wywiadzie, jakiego udzielił mi ks. Boniecki w telewizji Republika, wyjaśniał, że jego celem nie było wspieranie satanisty, a jedynie pokazanie postawy otwartości na rozmówcę i uznanie, że z tej wspólnoty nie wolno nikogo wykluczać. – Nie żałowałem zdjęcia z Nergalem. Uważam, że ksiądz jest posłany do wszystkich ludzi! Wiem, że on wykorzystał to zdjęcie, ale to było moje ryzyko miłości do bliźniego. Nie widzę w tym nic złego. To, że mam z nim fotografię, nie oznacza, iż popieram jego czyny z Biblią – mówił mi ksiądz.

Kłopot z tymi wyznaniem jest tylko taki, że dowodzą one przede wszystkim tego, iż wieloletni redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego” zupełnie nie rozumie mechanizmów współczesnych mediów. Fotografia z Nergalem czy z symbolem wsparcia dla ruchów LGBT nie jest już – tak jak była w latach 60. czy 70. ubiegłego wieku – pamiątką, którą przechowuje się w rodzinnym albumie, ale elementem walki medialnej, jaką toczy się z tradycyjnym nauczaniem Kościoła. Duchowny, który fotografuje się z takimi symbolami, musi wiedzieć, że zostaną one wykorzystane do walki z moralnością chrześcijańską. Jeśli zaś tego nie wie, to nie powinien uczestniczyć w medialnych polemikach, bo jego naiwność będzie wykorzystywana przeciw Kościołowi.

CHOWANIE GŁOWY W PIASEK

Naiwność ta, i tu dochodzimy do szerszego problemu, wynika – jak się zdaje – z założeń, jakie przyjmowane są przez ogromną większość tych katolików, którzy definiują się jako „otwarcy”. Obserwując ich działanie i myślenie, można odnieść wrażenie, że świat definiują oni niemal

w duchu Francisca Fukuyamy. Historia się skończyła, wojny to już przeszłość (no, chyba że wywołają je złowrodzy fanatycy i fundamentaliści, także katolicy), a teraz mamy czas liberalnej, pokojowej debaty, której nikt i nic nie może zaszkodzić. Definiowanie kogokolwiek (a szerzej – jakichkolwiek poglądów) jako wroga, uznanie, że istnieją organizacje czy siły wrogie Kościołowi oraz wierze, są obce temu myśleniu. A skoro tak, to nie dostrzega się (nie chce się dostrzec), że pewne działania, zaangażowania, zdjęcia czy słowa mogą zostać wykorzystane przeciw Kościołowi. Za zło, zbrodnię przeciw nowoczesnemu pojmowaniu wiary uważa się już samo określanie jakichś poglądów jako „wrogich Kościołowi”. Wizja świata, jaka jest zatem przez nich prezentowana, unie-

Wieloletni redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego” zupełnie nie rozumie mechanizmów współczesnych mediów

możliwia nie tylko jakiekolwiek sensowne przeciwstawienie się zjawiskom, z jakimi mamy do czynienia, lecz nawet poprawne ich zdiagnozowanie. I w tym trzeba szukać zadziwiających, niezrozumiałych dla wielu zachowań ks. Bonieckiego.

Innym problemem, który – od początku lat 90. – gnębi środowisko katolików otwartych (w całej ich różnorodności), jest ich upolitycznienie. To właśnie to środowisko, które nieustannie walczy z polityką w Kościele, nieustannie zarzuca innym zaangażowanie polityczne, jest jednym z najściślej związanych z polityką. Warto przypomnieć, że „Tygodnik Powszechny” zupełnie otwarcie wspierał Unię Demokratyczną i Unię Wolności, jego publicyści byli ministrami, a kapłańska ikona tej grupy, czyli skądinąd zasłużony na wielu polach ks. prof. Józef Tischner, zaangażowała się we wspieranie Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Środowiskowe uwikłania pozostały i do tej pory nie ma wątpliwości, że „Tygodnik Powszechny” wspiera Platformę i Nowoczesną (a młode środowiska katolików otwartych coraz częściej Partię Razem). Ich wściekłość na to, że inne środowiska katolickie wspierały raczej PiS (czy inne ugrupowania prawicowe), nie

ma zatem, nawet jeśli jest ubrana w szaty moralizatorskie, charakteru troski o Kościół, ale wynika raczej z uznania, iż ich własne środowiska są przez Kościół marginalizowane, co ma oznaczać właśnie upolitycznienie. Gdy kapłani wspierają partię czy środowiska właściwe (tak, jak robi to choćby bp Tadeusz Pieronek), wówczas problem polityzacji nie istnieje.

Ksiądz Adam Boniecki – choć trzeba przyznać, że on akurat o upolitycznieniu mówi rzadziej – jest w pewnym sensie ikoną obu tych postaw. Z jednej strony jasno i mocno deklaruje, że nie chce dostrzegać w nikim przeciwnika, z drugiej – wierzę, że z dobrej woli – zdecydował się w sprawie Piotra Szczęsnego zaangażować politycznie po jednej stronie. Obie te kwestie sprawiają, że nie ma co liczyć na to, że ksiądz zasadniczo zmieni swoje podejście. A skoro tak, to trudno sobie wyobrazić, że jego przełożeni zdejmą kary. Szczególnie że – i to jest zapewne ostatni element, o którym trzeba wspomnieć – akurat w Kościele to zwolennicy innej opcji niż ta, do której należy ks. Adam Boniecki, grają obecnie główne skrzypce. I oni, słusznie lub nie, będą tak długo naciskać na przełożonych, jeśli zdecydują się oni zmienić zdanie, by wszystko wróciło do status quo. Warto jednak pamiętać, gdy sięga się po takie środki, że łatwo można się stać samemu ofiarą takich metod. Kapłani o mocno prawicowych poglądach czasem są ostro przywoływani do porządku, zbyt często bowiem ich przełożeni wyznają kult największego świętego w polskim Kościele, czyli świętego spokoju.

Sam ks. Boniecki zaś, co wynika z różnych jego oświadczeń, decyzję przełożonych przyjął spokojnie. Wbrew temu, co może się wielu wydawać, nie są one szczególnie surowe. Redaktor senior będzie nadal publikował w „Tygodniku Powszechnym”, spowiadał i głosił kazania (a obie te rzeczy robi świetnie) oraz prawdopodobnie, jeśli nadal będzie miał dość sił, ruszy w drogę po Polsce, będzie spotykał się z ludźmi, rozmawiał. I dobrze, bo choć uważam, że kazanie na temat Piotra Szczęsnego było pogańskie i polityczne z ducha oraz litery, a pozwalanie na robienie zdjęć z logo akcji gejowskiej najdelikatniej nieprzemysłane, to jednocześnie uważam, że polski Kościół potrzebuje realnej różnorodności. Katolicyzm otwarty, choć wyraźnie słabnący, jest jego integralną częścią i tak zapewne pozostanie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



O. GINTROWSKA



SZAPOŁOWSKA



PRZEMYK



STASZCZYK



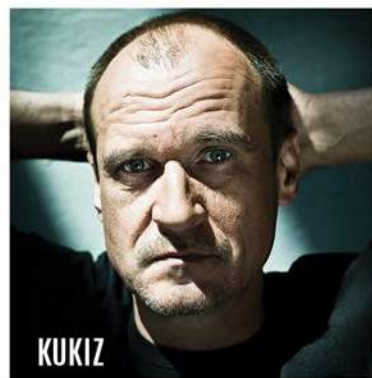
SZCZĘŚNIAK



GEPPERT



J. GINTROWSKA



KUKIZ

ORAZ ORKIESTRA SINFONIA VIVA POD BATUTĄ JANKA STOKŁOSY



KILIŃSKI



RYKOWSKI



WYJĄTKOWY KONCERT *Gintrowski*

a jednak coś po nas
zostanie...

11 GRUDNIA GODZ. 20.00
TEATR POLSKI W WARSZAWIE

WSPÓLORGANIZATOR

MECENAT KONCERTU

PARTNERZY WYDARZENIA



PARTNERZY WYDARZENIA



PATRONI MEDIALNI



WSPÓŁPRACA REDAKCYJNA





FOT. KAROLINA MISZAL/REPORTER

Bolesność oddawania



Wojciech Wybranowski

„Gazeta Wyborcza” i jej satelici coraz rozpaczliwiej walczą o utrzymanie wpływów w części mediów publicznych. Jakby zapomnieli nagle o szacunku dla pluralizmu w mediach, o którym przez lata mówili

Co się stało z naszą (sic!) Trójką? – krzyczy z oburzeniem „Gazeta Wyborcza” w wydanym w połowie listopada specjalnym dodatku poświęconym rozgłośni radiowej. „Losy Trójki to temat, który interesuje czytelników »Gazety Wyborczej«. Wielu z nich wychowało się, słuchając właśnie tej stacji. Zmiany, które zachodzą zarówno na antenie, jak i w zespole redakcyjnym Trójki, budzą ich niepokój” – przekonują dziennikarze z ul. Czerskiej.

Pretekst do takiego dodatku? Na początku listopada Artur Andrus i Robert Kanteireit odeszli z Trójki, ponieważ zarząd radia nie wyraził zgody na ich dalszą współpracę z konkurencyjnym dla publicznych mediów TVN24. Zaraz po nich ze stacji odeszło kilku innych dziennikarzy: Michał Gąsiorowski, Monika Sułkowska oraz Wojciech Zimiński. Wówczas lewicowo-liberalne media zaczęły rozpisywać się o rzekomej katastroficznej sytuacji Trójki, fatalnej atmosferze i zawłaszczaniu programu przez prawicę i partię rządzącą.

– To próba wywołania wśród części słuchaczy Trójki wrażenia „zabrali nam nasze radio” i przekonania, że dzieje się coś złego, że jakaś opcja polityczna zabiera, zawłaszcza Trójkę – mówi „Do Rzeczy” Wiktor Świetlik, dyrektor Programu Trzeciego Polskiego Radia. – Kryje się za tym pewna trauma środowiska „Gazety Wyborczej”, która nie może przeboleć, że tracąc monopol w mediach publicznych, straciła też pewnego rodzaju monopol intelektualny – dodaje.

W mediach Agory dzień bez „troskliwego” spojrzenia na radiową Trójkę to dzień stracony. „Nie odpowiada mi koncepcja mediów publicznych, które służą wyłącznie jednej stronie. Nie odpowiada mi tępienie, niemal fizyczne, ludzi z innymi poglądami” – grzmi na łamach „GW” Wojciech Zimiński, prowadzący „Szkło kontaktowe” w TVN24, który również odszedł w listopadzie z Trójki.

„KogoNieSłuchać w Trójce. Jak prawica zdobyła Program Trzeci Polskiego Radia i straciła słuchaczy” – pisze w Gazeta.pl Michał Gostkiewicz. Jednak z artykułu wynika już, że owo przejmowanie polegało przede wszystkim na zwiększeniu pluralizmu PR3 i oddaniu głosu na antenie Trójki również nieobecny tam wcześniej publicystom konserwatywnym: Pawłowi Lisickiemu, redaktorowi naczelnemu „Do Rzeczy”, Piotrowi Semce, Mateuszowi Matyszkowiczowi z TVP czy Michałowi Karnowskiemu z „Sieci”.

W środowiskach słuchaczy Trójki jednak już wrze, a „Gazeta Wyborcza” tę atmosferę umiejętnie podgrzewa. – To twar- da gra konkurencji na rynku. Wydawca „Gazety Wyborczej” posiada cztery stacje radiowe, które konkurują z Trójką, więc ma własny interes w podważeniu zaufania słuchaczy do nas. I tak jak mówię, chodzi też o utratę przez środowisko „GW” pewnego intelektualnego monopolu w państwo- wych mediach – zauważa Świątek.

Wygląda na to, że „Gazeta Wyborcza” i jej zaplecze coraz rozpaczliwiej walczą o utrzy- manie obowiązującego przez całe lata monopolu środowiska lewicowo-liberal- nego nie tylko w mediach publicznych, lecz także międzynarodowej debacie publicznej. Widać to chociażby po gwałtownej reakcji „GW” na zorganizowane przez Stowarzy- szenie Dziennikarzy Polskich w ramach projektu „Dziennikarze mówią o Polsce – dialog dziennikarzy polskich z dziennika- rzami zagranicznymi” spotkanie dzienni- karzy m.in. Cezarego Gmyza, berlińskiego korespondenta TVP i Polskiego Radia, Piotra Semki z „Do Rzeczy”, Andrzeja Potockiego z „Sieci”, Olgi Doleśniak-Harczuk z „Gazety Polskiej” i Andrzeja Iwickiego z Radia Wnet z publicystami niemieckich mediów: „Die

Zeit”, „Der Tagesspiegel”, „Märkische Oder- zeitung” i portalu Spiegel Online.

– Takie było założenie, które przyjęli- śmy dla tego projektu – mówi nam Krzysz- tof Skowroński, prezes SDP. – Bo informa- cje na temat tego, co dzieje się w Polsce, do mediów zagranicznych dochodzą ze źródeł związanych z „Gazetą Wyborczą” i druga strona prawie nie ma w tej dyskusji głosu. A my uważamy, że to, co pisze prasa niemiecka czy francuska na temat sytuacji w Polsce, jest nieprawdziwe. Teraz chcemy pójść krok dalej i chcemy zaprosić różnych zachodnich dziennikarzy do Warszawy i zrobić konfrontacje między środowiskami dziennikarskimi.

Wizyta prawicowych dziennikarzy w Niemczech wywołała furję publicystów mediów Agory. „Prawicowi dziennika- rze przekonywali Niemców do »dobrej zmiany«. Lekko nie mieli” – twierdził autor artykułu w Gazeta.pl, sugerując, że spotkanie poświęcone było prorządowej propagandzie i nie zainteresowało niemieckich dziennikarzy. Materiał opatrzone zdjęciem piwa i pustej sali, jakie na swoim Twitterze zamieścił Piotr Semka. Tyle że nasz publicysta zrobił je już po zakończe- niu spotkania.

Bartosz Wieliński cytował w „GW” anonimowego niemieckiego dziennika- rza: „Byłem zażenowany. To nie była roz- mowa o Polsce czy stosunkach polsko- niemieckich, tylko wyliczanka urazów. Polacy wyliczali nam, że ta niemiecka redakcja źle napisała o PiS to, inna tamto. Dziecinada”.

„Wyborczej” wtórowała polska odsłona „Deutsche Welle”: „Grupa polskich dzien- nikarzy skupionych wokół Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich przyjechała do Berlina, aby przekonywać niemieckich kolegów do »dobrej zmiany« w mediach. Można wątpić, czy odnieśli sukces” – napi- sał Wojciech Szymański.

Zdaniem Skowrońskiego taka akcja czę- ści mediów to próba wykluczenia prawi- cowych dziennikarzy. – Mają w tym interes polityczny wychodzący naprzeciw intere- som elit zachodnioeuropejskich – twierdzi szef SDP. – Dlatego lewa strona ma łatwość komunikacji z mediami europejskimi, które w większości są lewicowe. Jednak to też jest brak akceptacji dla reguł demokra- tycznych i widać to zarówno w materiałach mediów europejskich, jak i rozmaitych oświadczeniach dziennikarskich płynących z Polski.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

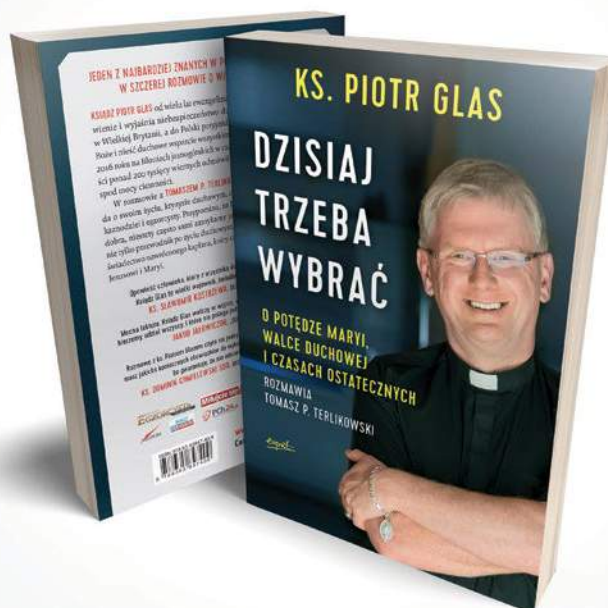
REKLAMA

WYDAWNICTWO ESPRIT POLECA

Były egzorcysta we wstrząsającej rozmowie z Tomaszem P. Terlikowskim

Rozmowę z ks. Głosem
czyta się jednym tchem!
ks. Dominik Chmielewski SDB,
duszpasterz akademicki

To wielki wojownik,
świadek prawdy,
komandos Maryi.
ks. Sławomir Kostrzewa



Mocna lektura.
Książka Glas
walczy w wojnie,
w której bierzemy
udział wszyscy.
Jakub Jałowiczor,
„Gość Niedzielny”

29,90 ZŁ
24,90 ZŁ

Zamów książki na www.esprit.com.pl lub telefonicznie: 12 267 05 69, 12 264 37 09. Przy zamówieniu powyżej 70 zł wysyłka gratis.
Oferujemy atrakcyjne rabaty i specjalny upominek, a także możliwość wygrania PIELGRZYMKI DO LOURDES!



FOT. KRZYSZTOF JAROSZ/REXUS

Dzaga w tarapatach



Radosław Wojtas

Doda ma poważne kłopoty. W tle szantaż, groźby, mafia i duże pieniądze. Gwiazda usłyszała prokuratorskie zarzuty

Czuję się na maksa gwiazdą. Powiem więcej – czuję się ikoną popkultury, magicznym zjawiskiem i wszystkim tym, co najlepsze” – mówiła Doda w 2008 r.

w wywiadzie dla Interia.pl. Niezależnie od tego, czy sama wierzyła w te słowa, to kariera samozwańczej „Królowej” może wyglądać jak spełnienie marzeń. Czy zarzuty, za które Dorocie R. grozi kara do pięciu lat więzienia, to właśnie koniec tej kariery?

SHOW-BIZNES I MAFIA

Zdjęcia Dody w futrzanej czapce wprowadzanej do prokuratury były w śróde najgorętszym materiałem na plotkarskich portalach. O godzinie szóstej rano do drzwi gwiazdy zapukała policja. Jak powiedział „Faktowi” nadkom. Robert Szumiata z Komendy Stołecznej Policji,

celebrytka wpuściła policjantów dopiero ok. 8.30 i wezwała adwokata. Po południu usłyszała od warszawskich prokuratorów zarzuty, za które może pójść do więzienia nawet na pięć lat. Kłopoty piosenkarki to zwieńczenie jej związku z Emilem Haidarem. O konfliktach byłego narzeczeństwa niemal od dwóch lat rozpisywała się kolorowa prasa. Teraz okazuje się, że Doda i jej przyjaciel mogli grozić byłemu partnerowi gwiazdy, a nawet nasłać na niego mafiosów.

Prokurator postawił piosence zarzuty „nakłaniania wspólnie i w porozumieniu z innymi osobami bezpośrednich wykonawców, również objętych zarzutami, do zmuszania Emila H. do określonego zachowania, poprzez kierowanie wobec niego gróźb bezprawnych (art. 18 § 2 kk w zw. z art. 191 § 1 kk) oraz wywierania przy użyciu gróźb bezprawnej wpływu na Emila H. jako świadka i oskarżyciela w postępowaniach, w których stroną jest Dorota R. (art. 245 kk)”. Doda musiała wpłacić 100 tys. zł poręczenia majątkowego, ma też zakaz opuszczania kraju i musi stawiać się na komendzie policji.

Już wiosną „Gazeta Finansowa” pisała o tym, że Doda domagała się od swojego byłego narzeczonego i jego rodziny miliona złotych i groziła opublikowaniem materiałów kompromitujących Haidara. W mediach pojawiły się informacje, że piosenkarka i jej domniemany nowy partner (gwiazda nie potwierdziła związku z nim) Emil S., producent filmu „Pitbull. Ostatni pies”, w którym gra również Doda, mieli nawiązać współpracę z gangsterami, którzy jakoby zastraszali Haidara. Z tych doniesień wynikało, że wynajęci bandyci rzekomo domagali się zapłaty miliona złotych na rzecz artystki za „straty moralne” i wycofania wszelkich pozwów złożonych przeciwko piosence. Wtedy Doda i Emil S. zdementowali te doniesienia.

27 września na swojej facebookowej stronie Doda udostępniła mem „Nigdy nie zadzieraj z osobami, które mają twoje brzydkie zdjęcia”. Trzy dni później zamieściła oświadczenie, które 17 czerwca 2015 r. u notariusza miał podpisać jej ówczesny narzeczonny. Zobowiązał się w nim m.in., że „jeżeli jeszcze raz, licząc od dnia dzisiejszego, zachowa się niepoprawnie pod wpływem alkoholu, Dorota R. będzie mogła nagrać jego zachowanie i je upublicznic lub zażądać ekwiwalentu pieniężnego w wysokości 1 000 000 PLN”. Doda skomentowała dokument słowami:

„Ten moment, kiedy słowa »ponownie zachowa się niepoprawnie pod wpływem alkoholu« zaczynają być najdelikatniej nazwaną codziennością! Dziewczyny, nie dajcie się poniżyć, a potem przeproszać w nieskończoność nawet aktem u notariusza, na który Cię sam przekonuje. Szkoda życia, a ludzie się nie zmieniają. Ja zmieniałam swoje i jestem szczęśliwa!”.

Prokuratorzy ustalili, że przyjaciel Dody Emil S. mógł opłacać ludzi, którzy w grudniu 2016 r. mieli „nakłaniać” Haidara do zapłacenia Dodzie i wycofania wszelkich pozwów przeciwko niej. We wrześniu producent najnowszej „Pit-bulla” został w tej sprawie przesłuchany.

W komunikacie wydanym już po aresztowaniu Dody rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Warszawie Łukasz Łapczyński napisał: „Z ustaleń śledztwa wynika, iż Emil S. zobowiązał się zapłacić bezpośrednim wykonawcom za popełnianie przestępstwa 300 tys. zł, przy czym do przekazania kwoty 230 tys. zł doszło”.

TOKSYCZNY ZWIĄZEK

Gdy w 2014 r. pojawiło się pierwsze zdjęcie Dody i Emila Haidara, wydawało

się, że „Królowa” wreszcie znalazła swojego księcia. Bulwarówki opisywały jej partnera jako milionera obsypującego Dodę drogimi prezentami. Haidar jest biznesmenem z syryjskimi korzeniami. Jego ojciec – Riad Haidar – przyjechał do Polski na studia medyczne. W 2015 r. startował do Sejmu z poparciem SLD.

Para dość szybko się zaręczyła, ale sielanka nie trwała długo. Kolorowa prasa zaczęła opisywać problemy narzeczeństwa, które wreszcie się rozpadło. Ich znajomość szybko przeniosła się na sale sądowe. Doda została skazana za porysowanie samochodu Haidara. Procesowała się z nim również o zwrot pierścionka zaręczynowego, którego wartość bulwarówki szacują na 100–200 tys. zł.

– Pan Emil Haidar przez kilkanaście miesięcy żył w poczuciu zagrożenia i dzisiaj wygląda na to, że to zagrożenie ustało. Naszym zdaniem ta sytuacja, która miała miejsce w środę [zatrzymanie Dody – przyp. red.], powinna była się wydarzyć dużo wcześniej i tego byśmy oczekiwali od państwa prawa, które powinno dbać o bezpieczeństwo swoich obywateli, żeby pewne rzeczy działały się szybciej – komentuje mec. Jerzy

Jurek, adwokat Emila Haidara. Prawnik nie mówi o szczegółach ewentualnego zastraszania, ale przyznaje: – Sytuacja z grudnia zeszłego roku była sytuacją tego rodzaju, że pan Haidar uznał, że konieczne jest wynajęcie ochrony osobistej. Moim zdaniem było to ze wszech miar zasadne w tamtych okolicznościach.

Doda nie przyznaje się do winy. Po przesłuchaniu wrzuciła na Facebooka swoje zdjęcie z książką „Być damą. Savoir-vivre nowoczesnej kobiety” i komentarzem: „Tytuł książki jest idealnym podsumowaniem tego uroczego dnia”.

Jej menadżer w rozmowie z portalem Plotek.pl powiedział, że wierzy w sprawiedliwy wyrok. – Dlaczego coś ma się źle potoczyć? – pyta retorycznie. I dodaje: – W związku z całym tym zamieszaniem nie robię nic innego jak tylko odbieram telefony, również koncertowe, bo tak to nakręciło koniunkturę, że kalendarz koncertowy mam prawie już pełny. Właśnie wysyłam pięć umów koncertowych. I tak dużo się dzieje, a to, co się wydarzyło wczoraj jeszcze skumulowało zainteresowanie Dodą i jej koncertami. Tak to wygląda w show-biznesie...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



Caring Deeply. Changing Lives.™

Wykorzystując najnowsze osiągnięcia nauki Biogen odkrywa, rozwija i dostarcza pacjentom na całym świecie innowacyjne terapie umożliwiające leczenie chorób neurodegeneracyjnych oraz chorób rzadkich.

Założona w 1978 roku spółka Biogen jest jedną z najstarszych na świecie niezależnych firm biotechnologicznych.

WWW.BIOGEN-POLAND.PL

Biogen

BI-POL-0658



Andrzej Horubała

Krystian Lupa wziął do ręki arcydzieło Kafki i przerobił je na siedmiogodzinną płaską opowieść o opresywnym systemie

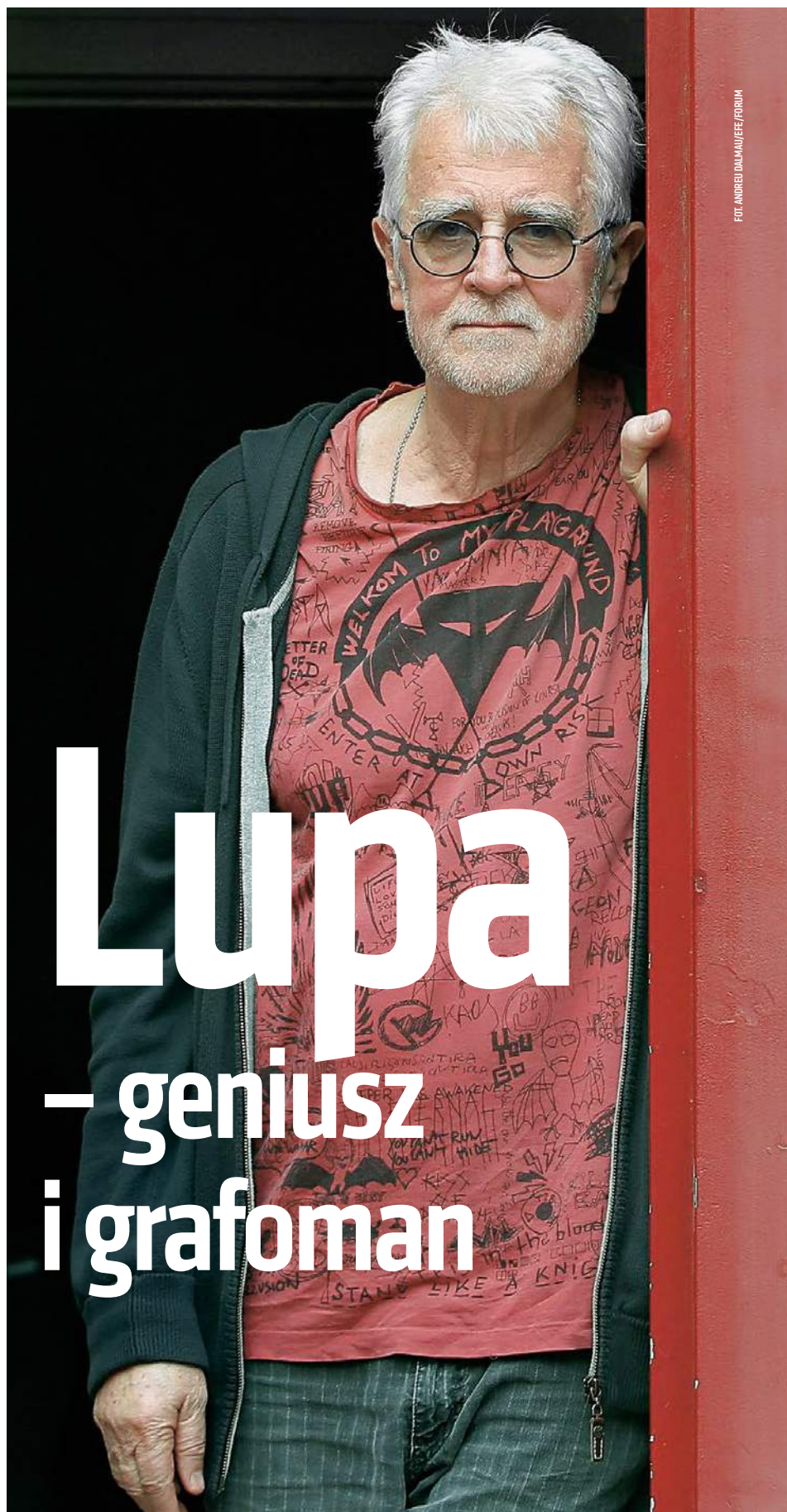
Pytaniem zasadniczym było, czy zaangażowanie polityczne Krystiana Lupy, chęć manifestacji sprzeciwu wobec rządzących pozwolą wielkiemu reżyserowi na powiedzenie czegoś ciekawego słowami wielowarstwowego, niejednoznacznego arcydzieła, jakim jest „Proces” Franza Kafki.

Na ile zniuansowana i niepokojąca opowieść ocaleje w rękach reżysera miotającego obelgi pod adresem władzy. Czy „Proces” nie stanie się czasem płaską opowieścią o tym, jak to Jarosław K. prześladowa Józefa K.?

Sygnały były niepokojące. Na tydzień przed premierą Lupa w czasie tzw. próby medialnej przedstawił fragment swego spektaklu – scenę, w której pogrążeni w somnambulicznym otępieniu aktorzy, leżąc w szpitalnych łóżkach, ni to w zakładzie zamkniętym, ni to koszarach, ni to ośrodku dla uchodźców, wypowiadali słowa jednoznacznie lokujące spektakl w rejonach najostrzejszej politycznej agitki.

„Do jakiego stopnia trzeba być zdegenerowanym człowiekiem – pytał sceniczny Max Brod, grany przez Adama Szczyszczaja – żeby ból przekuć i w zemstę, i nienawiść? Takie pielegnowanie bólu doprowadza do choroby. Staje się społecznym rakiem. Tym światem zawładnęła choroba jednego człowieka. Jeśli naród, państwo jest jednym organizmem, to w jego krwioobiegu rozsiewają się komórki rakowe, zarażające co rusz nowe organy. [...] Od lat w tym kraju nie czekano tak na czyjąś śmierć. [...] Rok 2017 jest ostatnim rokiem szansy, bo w roku 2017 ludzie z rozpacz i desperacji zaczęli siebie podpalać”.

Aha, no więc to ma być aż tak ostro? Lupa, okrzyknięty najwybitniejszym polskim reżyserem, staje twarzą w twarz wobec demiurga polskiej polityki i rzuca mu w twarz najcięższe oskarżenie? Rymowałoby się to z poznańskim „K”, demonizującym postacią polityków, tylko – gdzie tu w ogóle Kafka? Gdzie „Proces”? Po co mieszać w to genialną powieść?



FOT. ANDRZEJ DULAUŁEŻ FORUM

Lupa – geniusz i grafoman

Tak czy tak: zapowiadało się wydarzenie. I przecież, podekscytowani, pełni nadziei, na premierę przybyli reprezentanci opozycji. Stawka była z najwyższych: stworzyć arcydzieło o naszym politycznym uwikłaniu, zaprezentować utwór, który wypowie nasze lęki, obawy, wykrzyczy rozpacz.

Lupa podbijał stawkę: spektakl – wyprowadzony z Wrocławia, gdzie ministerstwo kultury wraz z władzami samorządowymi nieudolnymi działaniami przyczyniło się do zdemolowania Teatru Polskiego, realizowany po partyzancu w Warszawie jako koprodukcja kilku stołecznych teatrów, dzięki środkom miasta rządzonego przez opozycyjną PO – stawał się także opowieścią wygnanych aktorów prześladowanych przez opresyjny system.

Stary mistrz, obchodzący właśnie w listopadzie swe 74. urodziny Krystian Lupa, wychowawca kilku pokoleń teatralnych twórców, uwodźciel i deprawator, dzielił się z widzami swą rozpaczą, każąc aktorowi – na medialnej próbie – podawać i taki tekst swych zapisków: „Nie chciałbym umrzeć w tym momencie. Nie w tym momencie. To jest koszmarnie, umrzeć w tym momencie, z poczuciem, że świat się na tym kończy. Że wszystko się będzie dalej cofać”. Rzeczywiście, obecną sytuację, triumf sił tradycyjalistycznych, próbę administracyjnie zarządzanego powrotu do aksjologicznego ładu w kulturze, może postrzegać Lupa jako koniec swoich złudzeń i nadziei, koniec swego świata.

No i tak: stojący u kresu życia artysta bierze do ręki arcydzieło praskiego Żyda i przetwarza je w osobistą wypowiedź o opresji. I zwycięża: pokazuje mistrzostwo, kreując sceniczny testament i przesłanie dla tych, którzy pozostają.

W tym obrazie oczekiwać nie ma wszak przesady, gdyż składające się na inscenizację teatralne instytucje i festiwale z Francji, Belgii, Niemiec i Grecji też liczyły na tego rodzaju sukces: oto głos z faszyzującego kraju, oto niepodległe przesłanie twórcy z totalitarnego kraju, może ostatnie, przedśmiertne dzieło teatralnego geniusza.

Jak Lupa połączy swe obecne polityczne zaangażowanie z umiejętnością drobiazgowej analizy literackich dzieł, jak przeniesie doświadczenia zrodzone z adaptacji utworów Bernharda do trudniejszej przecież i o wiele bardziej skomplikowanej prozy Kafki, czy plakatowość nie zdemoluje teatralnego laboratorium,

do jakiego zwykł zapraszać widzów wielki twórca?

„SUPERSPEKTAKL”

Cóż, między próbą medialną a premierą przychodzi mi jeszcze wpaść do Teatru Powszechnego w Warszawie na „Superspektakl”, w którym Justyna Sobczyk, kreująca dotychczas widowiska z udziałem osób intelektualnie niepełnosprawnych, zabiera głos w sprawie współczesnej Polski. „Na pewien kraj – czytamy w programie – padł błdy strach. Ludzie boją się wyjść z domu. Rosnąca fala przemocy i agresji powoduje, że każdy mający inne zdanie boi się zabrać głos w ważnych sprawach”. No i rusza jej Teatr 21, łącząc aktorów z zespołem Downa z zawodowcami z Teatru Powszechnego, by w zabawnej w założeniu opowieści wykreować superbohaterów i uczynić Polskę lepszą.

Dla mnie to koszmarnie: aktorzy z zespołem Downa wciągnięci w polityczną agitkę. Twórczyni specyficznego teatru, obserwowanego dotychczas przez rodziny niepełnosprawnych i ludzi wprowadzonych w problematykę, próbuje ze swoim stadkiem wejść do teatru profesjonalnego i zaprezentować się przed nieprzygotowaną publicznością (świadczą o tym wybuchy śmiechu w miejscach zupełnie nieestosownych). I oto mamy przedziwne materiały pomieszaniane: wyświetlanie szyderczych slajdów o obawach Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz samych rodziców niepełnosprawnych aktorów, że w Powszechnym dojść może do instrumentalnego wykorzystania niepełnosprawnych, a na scenie nieszczęsna aktorka Julia Wysznińska zwierająca się upośledzonemu aktorowi ze swej traumy po występie w „Kłatwie” i opowiadająca, że „w Polsce się chrząni”.

Niepełnosprawni tworzący partię polityczną, która ma się przeciwstawić niepokojącym tendencjom (wśród postulatów: więcej sztuki w szkole, za to bez religii w programach nauczania).

Publiczność – a jest 11 listopada – bawi się świetnie, wciągana do zabawy prezentuje swoje postulaty dla superbohaterów – rozgonić Marsz Niepodległości, odsunąć od władzy małych zawistnych ludzi. Jakoś nie czuje nieestosowności tego projektu, być może traktując swoje poglądy jako normalne, przezrocyste, nie widzi, że niepełnosprawni aktorzy wciągani są do politycznej gry. A mnie gest Justyny Sobczyk bardzo razi.

Reżyserka wchodzi ze swoimi podopiecznymi do profesjonalnego teatru, akceptując jego nowomodne strategię. Gdyby to był jeszcze jakiś ot, zwyczajny profesjonalny teatr. Ale jest to Powszechny, jak głosi jego hasło „teatr, który się wtrąca”. I to wtrąca dość mocno. Niepełnosprawni umysłowo broniący proaborcyjnej „Kłatwy”? No, w ciekawe rejony zagnała Justynę Sobczyk chęć kariery. No, ale skoro reżyserka opowiada się publicznie za aborcją eugeniczną, to już wszystko jawi się jako jakieś kuriozum.

No dobra, ale otrząsam się z tego, przecież ten nieudolny, nieporadny dramaturgicznie spektakl (a tego akurat nie da się zrzucić na niepełnosprawnych aktorów) w życiu kulturalnym znaczy naprawdę niewiele. Ot, niesmaczny eksces i kres pewnego szlachetnego eksperymentu.

PREMIERA

I przychodzi środa, 15 listopada, wielkie święto teatru. Premiera sezonu. Coś, co na pewno – udane czy nie – przejdzie do historii polskiego teatru.

Pierwszy akt nawet budzi nadzieję.

Co prawda umieszczona w salonie plazma z programem publicystycznym, w którym irytujący europoseł Richard Czarnecki gada i gada, gada bez końca, lokuje brutalnie powieściowe wydarzenia w naszym tu i teraz, ale nie zakłóca to narracji, sprawiając wrażenie jazdy obowiązkowej, trybutu spłacanego rozpolitykowanej publiczności.

Co prawda Józef K. bezsensownie nazwany zostaje przez Lupego Franzem K., ale już jego rozmowa z gospodynią, panią Gruber, o wydarzeniach poranka i „zatrzymaniu”, traktowanych początkowo jako sen, złuda, a także ujawnienie rozdzielenia głównego bohatera, i pojawienie się obok Andrzeja Kłaka także Marcina Pempusia, jego wewnętrznego głosu szydercy, polemisty, recenzenta, pokazują, że Krystian Lupa przygotowuje świetną teatralną maszynę do obcowania z Kafkowskim arcydziełem.

Wreszcie sam reżyser, który swoimi pomrukiwaniami, dopowiedzeniami, chrząknięciami, wybuchami śmiechu, czasem sygnałami dezaprobaty, wyraźnie zaznacza swą obecność i sprawcą rolę w spektaklach – świetnie może imitować tu rolę Kafki, pisarza. W „Procesie” przecież najpełniej pokazał on dziwne relacje łączące go z bohaterami, którzy wyłaniają się z jego wnętrza, są postaciami ze snu,



Anna Ilczuk i Andrzej Klak na scenie
Nowego Teatru, Warszawa FOT. MAGDA HUECKEL

projekcjami jego marzeń, skrywanych ciagot, a jednocześnie marionetkami, doświadczalnymi królikami wprowadzanymi w dziwaczne sytuacje, modelami jego przeżyć...

I nadziei na taki właśnie „Proces” – wierny tekstowi, wieloznaczny – nie tracimy przez pierwszy akt. Lupa przyzwyczają nas do swego rytmu, zawiesza czas, pozwala sobie na powtórki, przeciągnięcia. Bawi się z maestrią projekcjami, gasi światło, by ultraczułą kamerą wydobywać intymne szczegóły sceny z panną Bürstner. Zapowiada się genialna teatralna uczta.

Tym bardziej że przecież Lupa odwołuje się do nowego polskiego przekładu Kafkowskiego arcydzieła, w którym Jakub Ekier starał się uciekać od translatorskich interpretacji traktujących „Proces” jako protest przeciw wszechwładzy państwa, przemocy biurokracji czy też zapowiedzi totalitaryzmu.

Ekier, a wraz z nim autor posłowania do najnowszej wydania powieści, Łukasz Musiał, próbowali wyrwać Kafkę z matni szkolnych interpretacji i pokazać „Proces” jako dzieło o wiele głębsze i wieloznaczne. Stawiając mocno problem winy Józefa K. i problem sądu. Genialnie wprowadzające do literackiego uniwersum bohatera przegranego, budzącego litość połączoną z pogardą. Dzieło przynoszące dziwne relacje bohatera z narratorem, autorem, który bawił się swoją postacią, szydził z niej i jej współczuł, a jednocześnie traktował jako swą karykaturalną reprezentację. Te elementy zdawały się jeszcze po pierwszym akcie do uratowania. Rozdwojenie Kafkowskiego bohatera, zawieszenie realności przedstawianego świata, przemierzanie perspektyw czasowych – to wszystko stanowiło wyborny prolog do opowieści o uwewnętrznionej winie i sądzie.

Co prawda w scenie „Pierwszego przesłuchania” znać dużo aluzji do panoszącego się w Polsce kaczyzmu, a Franz K., wykrzykując swój sprzeciw wobec sądu, leci w plakat i bieączkę, ale tłumaczyć sobie można było: to projekcja jego złudzeń i niepojmowania, czym w istocie jest toczony przeciw niemu proces i na czym może polegać jego winna. W następnych partiach, niepozabawionych teatralnego uroku, po świetnych scenach z naszego bohatera z Różą, żoną woźnego, (Ewa Skibińska) i oprowadzającym go po obiekcie jej mężem (Wojciech Ziemiański), Lupa brutalnie nawiązuje do współczesności, każąc oskarżonym (byłym aktorom wrocławskiego teatru), oczekującym w korytarzu, stać z zaklejonymi czarną taśmą ustami, a wreszcie rozstrzeliwujących ich z karabinów maszynowych.

No, kiepskie to, boli takie przegięcie, ale jeszcze gorsze jest to, że w tym miejscu spektakl w zasadzie się kończy. Pozostałe parę godzin to istny zalew grafomanii i ogłuszającego braku konceptu. Tak, tak, zaraz padną słowa o zdegenerowanym człowieku, który swój ból przekuł w zemstę i nienawiść. A to wszystko skąpane zostanie jeszcze w żałosnych „improvizacjach”, znanych już z „Poczekalni.0” – kompletnie jałowego eksperymentu, w którym Lupa wespół z aktorami sobie popłynął. Luźne gry skojarzeń, nieodwołalnie zmierzające ku banałowi, kiczowate sentencje: to wszystko – podbite muzyką, dramatycznymi pauzami, manieryczną grą sugerującą jakieś głębie, z obowiązkowym oczywiście rozbieraniem się aktorów, których gołe kroczą dokumentują, że niby oto dotarli do nagiej prawdy i obnażają się przed widzami zarówno cielesnie, jak i duchowo, nie mając nic do ukrycia – jawi się niczym próbka najgorszych mielisz, którymi raczył nas Lupa w swych najmniej udanych dziełach. Jak koszmarny sen.

No tak, tylko o ile Kafka śnił rzeczy niesamowite, o tyle Lupa... cóż, gdy funduje nam swój strumień świadomości albo też dopuszcza do głosu aktorów, to wytwarza to, co zawsze: miejscami niezamierzenie śmieszne, a zawsze pretensjonalne kawałki. Kiczowatą opowieść o kobietach Kafki i sytuacji artysty w totalitarnym państwie, jakim jest Polska. Narzekanie, jak nienawistni ludzie ich otaczają... Chociaż... raz pojawia się jakaś nadzieja, gdy aktorka podsumowuje swe beztroskie życie w modernizującej się Polsce pod rządami Platformy i szuka winy w sobie...

Ale próżne to oczekiwania, by skonfrontować głębinowego Kafkę z płytką antropologią liberalizmu. Po wykańczającym pokazie grafomanii, i teatralnej, i literackiej, zmaltretowaniu widzów następuje przerwa, po której Lupa serwuje nam drugą część Kafkowskiego „Procesu” – odwiedziny nadekspresyjnej ciotki (Halina Rasiakówna), w którą reżyser zmienił powieściowego stryja, odwiedziny u adwokata, malarza, wreszcie wizyta w katedrze. Ale choć nie brakuje tu pojedynczych świetnych pomysłów inscenizacyjnych, ożywiających na chwilę tego teatralnego gniota, to przecież całość sprawia wrażenie odpuszczonej. Nieznosnie długie partie tekstu podawane są bez jakiegokolwiek głębszego konceptu. Nawet kluczowa dla interpretacji „Procesu” opowieść więziennego kapelana, „Przed prawem”, wstrząsająca w swej paradoksalności, zaprezentowana jest tak płasko i bez pomysłu, że – widząc pojmanego bohatera, szykujemy się do finałowej sceny powieści, czyli opisu drogi na miejsce kaźni i egzekucji – w gruncie rzeczy z prawdziwą ulgą przyjmujemy przecięcie naszych oczekiwań i wypowiedzianą z dezynwolturą informację aktorki, kończącą spektakl słowami: „Wiecie, co dalej”.

No, wiemy. I wiemy, co gorsza, co przedtem. Tylko że Lupy problematyka Kafki jakby kompletnie nie obchodziła. Potraktował „Proces” jak szkolną lekturę – opowieść o niewinnie oskarżonym urzędniku, który „nic złego nie zrobił”, a który został zmiążdżony przez aparat państwowy. Wina, sąd, prawo? Oczywiście, to wszystko sprawa zewnętrzna. To Kaczor i jego totalitarni poprzednicy. Jeśli już jakieś pogłębienie, to właśnie Kafka jako prorok totalitaryzmu i antysemitycznych paroksyzmów.

Ale Kafka egzystencjalny, podróżujący po swym wnętrzu, poszukujący, zabłąkany?

To nie opowieść dla Lupy.

Szkoda. Szkoda Kafki, szkoda Lupy.

LEKTURY

Miłośnikom genialnego pisarza pozostaje wznowiony właśnie nowy przekład Jakuba Ekiera, prace Łukasza Musiała, a także wydana niedawno przez PIW encyklopedia „Franz Kafka” (Richard T. Grey i in.), która – choć zdezawuowana nieco w słowie wstępnym przez tegoż Musiała – jest kapitalnym kompendium wiedzy na temat różnych

losów kafkologii. Compendium, którego autorom udało się zdobyć na wyborczy ton pobbazania, na specyficzne wybaczące spojrzenie na coraz to nowe wysiłki interpretatorów, znawców, smakoszy próbujących sprowadzić Kafkę do jednego wymiaru. Subtelnie, ale zdecydowanie obchodzą się autorzy „Encyklopedii” z nowomodnymi strategiami, zmierzającymi do uwięzienia Kafki w ideologicznych kłatkach, do zdemaskowania, zdefiniowania, unieruchomienia.

Pokazują, jak Kafka – geniusz, a zarazem nieudacznik – kompletnie bezradny wobec samego siebie, wymyka się próbom uwięzienia w ideologicznych pętach.

Ale ten ton obecny jest też w podejściu do korespondencji Kafki, do której autorzy „Encyklopedii” radzą podchodzić z dystansem: „Zapiski osobiste dokumentują problem Kafki z kobietami, lecz pamiętać należy, że i te pisma stanowią część literatury stworzonej przez pisarza o bujnej wyobraźni. Analizy biograficzne mówią wiele o stosunku Kafki do kobiet, ale zawsze pozostaje pytanie, jak dalece »prawdziwe« są jego listy i dzienniki”.

Z „Encyklopedii” wyłania się Kafka wielowymiarowy – także ten irytujący

neurastenik, chorobliwy socjopata, ale przecież jednocześnie potężny geniusz, przy którym jakże małe zdają się podrygi prozatorskie Gombrowicza, przy którego wyprawach w głąb siebie karleje tyle pozornych literackich wielkości. Lektura „Encyklopedii” połączona z nieco cięższą pracą Łukasza Musiała „Kafka. W poszukiwaniu utraconej rzeczywistości” to naprawdę znakomity sposób na zanurzenie się w świecie geniusza z Pragi.

A tym, którym i tego będzie za mało, a odnajdują w sobie ciągoty sado-maso, pozostaje jeszcze jak zawsze ucieczna rozrywka obcowania z recenzjami. Krytycy zniewoleni autokreacją Lupy czynią naprawdę zabawne, a zarazem bolesne wygibasy, by jakoś nie urazić autora tej siedmiodzinnej teatralnej buły. Już to dowiadujemy się, że nasz teatralny geniusz zakpił sobie z nas, skazując na męki nudy, już to ktoś sugeruje, że Lupa zrobił spektakl przeciw sobie i przeciw publiczności, że w tym wylewie grafo-manii, genialnie wypowiedział zagubienie artystów, a w ogóle to wszystko – wspólnie z blamażem Lupy – to wina złowrogi Kaczor. No pewnie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ROYAL CHRISTMAS GALA

Wieczór z

SARAH BRIGHTMAN

MARIO FRANGOULIS NARCIS FERNANDO VARELA

GREGORIAN

THE ROYAL SYMPHONY ORCHESTRA

17 GRUDNIA 2017
ATLAS ARENA ŁÓDŹ

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL, EMPIK

Prestige
MJM

NOVOTEL
HOTELS & RESORTS

Jedynka
POLSKIE RADIO

TRIO
PONSZCZYN

GOLD HITS

wprost

BIZYCZ

VIVA!

GAZETA BANKOWA

Pręsto

T3

Multikino

onet

cgm.pl

DlaWasz

VIXON

STRÖER



Z Carlosem Marrodánem Casasem,
tłumaczem literatury hiszpańskojęzycznej
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Fenomen Zafóna

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Twórczość Carlosa Ruiza Zafóna trafi na Cmentarzysko Zapomnianych Książek. Jest to proza ponadczasowa czy też jej globalna popularność wynika z mody?

CARLOS MARRODÁN CASAS: Myślę, że sam Zafón wpisał swoją twórczość w ową nekropolię. Chyba nie ma zbyt wielkich ambicji literackich, a jako miłośnik książek jest przeświadczony, iż znakomita ich część tam spocznie. Przecież nawet lektury, które nas ukształtowały, pozostają głównie w naszej pamięci i zazwyczaj próżno ich szukać w naszych bibliotekach domowych. Każda epoka karmi się własnym piśmiennictwem, a czas weryfikuje pozytywnie nieliczne tytuły. Moda na nie przemija wraz z odchodzeniem czytelnich generacji.

Zafón nawiązuje do tradycji powieści masowej. Dawniej wydawano ją w formie tanich zeszytów – w krajach anglosaskich zwanych pocket-bookami – nierzadko zamieszczając wcześniej w odcinkach na łamach prasy (tzw. literatura wagonowa). Utwory Hiszpana zawierają liczne do niej odniesienia. Stanowi pożywkę dla jego postaci, poszczególnych epizodów, również języka. Nie bez racji uważa, że ten typ piśmarstwa zawsze może liczyć na największą rzeszę odbiorców. Toteż umiejętnie je dyskontuje, tkając wieloznaczną, skomplikowaną, intrygującą i nostalgiczną narrację.

Niektórzy porównują Zafóna do Eco, inni wskazują na powinowactwo z Dickensem, on sam

ceni Dostojewskiego oraz Lwa Tołstoja. Co pan na to? A może pojawili się już autorzy imitujący styl twórcy „Cienia wiatru”?

Nie, raczej nie ma jeszcze naśladowców sensu stricto, niemniej w kampaniach marketingowych wydawnictw można natrafić na pisarzy obsadzanych w rolach jego potencjalnych sukcesorów. Edytorzy konstruują niekiedy swoiste łańcuchy pisarskie, w których kolejne ogniwa są jakoby od siebie uzależnione, w co – prawdę mówiąc – powątpiewam. Za to zauważam odniesienie formalne. Mam na myśli typ okładek niewątpliwie inspirowanych czarno-białymi zdjęciami Barcelony, autorstwa znakomitego katalońskiego fotografa Francesca Català-Rocy, zamieszczonymi w „Cieniu wiatru”.

Co do literackich fascynacji Zafóna to bez wątpienia widać zauroczenie Dickensem. Hiszpan także operuje światłocieniami, epizody dramatyczne przeplata humorem, szkicuje wyraziste postacie poruszające się po zakamarkach miasta. Tyle że jest to Barcelona, a nie Londyn. Niemniej generalnie odnoszę wrażenie, że z premedytacją tworzy literaturę popularną. Taką jak niegdyś uprawiali, dajmy na to: Scott, Verne, Conan Doyle, Cooper, Curwood, May, London czy Stevenson, dziś, niestety, trącą już naftaliną. Na pytanie, czy ten los spotka arcydzieło tetralogii Zafóna, odpowie dopiero następne pokolenie.

Gigantyczny sukces komercyjny odbił się już na życiu pisarza?

Nie znam go osobiście, toteż nie mam pojęcia. Mógł poprzestać na „Cieniu wiatru”, który zagwarantował mu splendor. Obawiałem się nawet, że przeszkodzi mu on w pisaniu. Bezpodstawnie. Podołał oczekiwaniom, czego dowodem są kolosalne nakłady „Gry anioła”, „Więźnia nieba” oraz „Labiryntu duchów”.

Ten ostatni tytuł, który w październiku trafił do polskich księgarni, wieńczy cykl „Cmentarz Zapomnianych Książek”. Wiadomo coś o pisarskiej przyszłości Zafóna?

Też jestem ciekaw, co teraz ofiaruje czytelnikom. To na razie zagadka. Mówiąc nawiąsem, sceptycznie podchodzę do zapewnienia autora, że rozpisanie serii „cmentarnej” na cztery tomy drobiazgowo zaplanował. Skłonny jestem raczej domniemywać, że kontynuował flagowe dzieło polechtany świetnym odbiorem i nader przychylnymi recenzjami.

Do USA się przeprowadził czy też emigrował?

Wyjechał do Stanów Zjednoczonych, żeby zawojować Hollywood. Miał aspiracje scenopisarskie. Nie wiem, czemu od razu wybrał się w tym celu do jaskini lwa, a nie usiłował zainteresować swoimi pomysłami filmowców hiszpańskich.

Może dlatego, że za najlepszą współczesną literaturę uważa... amerykańskie seriale!

Kto wie... Wprawdzie udało mu się zainteresować amerykańską kinematografię kilkoma swymi scenariuszami, ale powstały produkcje niszowe, by nie rzec – klasy B. Niewykluczone, że niespełnienie na polu scenopisarskim zaowocowało prozą.

Czuje się Hiszpanem czy Katalończykiem?

Jest Katalończykiem, lecz świadomie pisze po kastyljsku, co zapewne wynika ze znacznie większego rynku zbytu w tym języku. Nic mi nie wiadomo o jego zapatrzywaniach ideologicznych. Nie znalazłem śladu wypowiedzi Zafóna na tematy polityczne. Także w palącej ostatnio kwestii statusu Katalonii.

A czym zajmował się za młodu?

Próbował sił w dziennikarstwie, a następnie w branży reklamowej. Skądinąd

w „Labiryncie duchów” zawarł bardzo wiele elementów autobiograficznych. Można odczytać, że osiągnął w reklamie wszystko, a w dziennikarstwie nie widział dla siebie przyszłości, więc postanowił spróbować szczęścia w tym, co interesuje go najbardziej, czyli w filmie.

Juvenilia Zafóna są warte uwagi?

Jak najbardziej. Łączą elementy przygody, podróży, sensacji i grozy. Są adresowane do młodzieży. W Hiszpanii ten segment wydawniczy wykłuł się dopiero w ostatniej dekadzie zeszłego stulecia. Zafón był jego pionierem. Książki zyskały dobre opinie, niektóre wznawiano, a „Marina” stała się nawet lekturą szkolną. Drugie życie zyskały po tym, jak ich autor stał się literacką wizytówką. Co ciekawe, długo nie przystawał na ich przekłady. Czy wynikało to wyłącznie z nieściśle sformułowanych umów wydawniczych, w myśl których nie do końca dysponował prawami autorskimi?

Nie doczekaliśmy się ekranizacji bestsellerów z powodu ich nieprzekładalności na język filmu?

Też mnie to zdumiewa. Bez wątpienia świetnie zna mechanizmy rządzące amerykańską fabryką snów i zdaje sobie sprawę,

jak daleko od pierwowzoru literackiego odbiegają nieraz jej produkcje. Może obawia się wyrazić zgodę na przerabianie własnych słów na język obrazkowy? A może – niczym rasowy pokerzysta – gra na zwłokę, podbijając cenę sprzedaży praw do przeniesienia na ekran „Cienia wiatru”?

Tłumaczy pan Zafóna wspólnie z kobietami z racji objętości jego dzieł czy też wymagają one zarówno męskiego, jak i kobiecego spojrzenia?

Podoba mi się ta ostatnia hipoteza, lecz decydują wyłącznie względy praktyczne. Wydawnictwa oczekują od tłumacza szybkich terminów. Machina promocyjna funkcjonuje bardzo precyzyjnie. Daty są dokładnie ustalone. Aby zdążyć na czas, tak obszerne książki jak te pisane przez Zafóna trudno tłumaczyć w pojedynkę. Stąd moja współpraca – którą bardzo sobie cenię – z Beatą Fabjańską-Potapczuk oraz Katarzyną Okrasko. ©©



FOT. D. GÓLIK/FOPIUM

Carlos Marrodán Casas

– dyplomata, wykładowca UW, tłumacz literatury hiszpańskojęzycznej.

REKLAMA

Hitler
BIOGRAFIA
PETER LONGERICH

Hitler

TYRAN, SZALENIEC, KREATOR „PROGRAMU” IDEOLOGII RASOWEJ CZY „CHARYZMATYCZNY WÓDZ”?

PETER LONGERICH
TO JEDEN Z NAJLEPSZYCH
ZNAWCÓW TRZECIEJ
RZESZY I HOLOKAUSTU.

**JUŻ
W SPRZEDAŻY**

www.proszynski.pl

patroni medialni:





FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Wiosna przyszła w styczniu



★★★★★
REŻ. TARIK SALEH
„MORDERSTWO W HOTELU HILTON”
 („THE NILE HILTON INCIDENT”)
DANIA/FRANCJA/NIEMCY/SZWECJA 2017

wyst. Fares Fares,
 Mari Malek, Yasser
 Ali Maher

Major Noredin dba o fryzurę, lecz jeździ starym gratem, gnieździ się w niechlujnej pakamerze, pali jak smok i za kołnierz nie wylewa. Żyżywa też tajemnicze tabletki „na spokój duszy”. Jest samotny, choć nosi obrączkę. Ot, klasyczny twardziel po przejściach. Robotę w policji załatwił mu wuj, ale Noredin nadaje się na szeryfa. Ma intuicję, nie boi się narazić wpływowym ludziom. Zachował też resztki przyzwoitości, choć otaczają go szuje i cynicy.

W hotelowym apartamencie ktoś podrzyna gardło piosenkarce. W sprawę jest zamieszana gruba ryba z branży budowlanej, nietykalna, bo zaprzyjaźniona z synem prezydenta. Sprzątaczką – jedyny świadek zbrodni – ukrywa się, gdyż nie bardzo wierzy w bezstronność

organów ścigania. A jakby tego było mało, poczynaniami majora interesują się służby specjalne, zaś na horyzoncie pojawia się typowa kobieta fatalna.

Wszystko to widzieliśmy już wiele razy. O wyjątkowości „Morderstwa w hotelu Hilton” stanowią miejsce i czas akcji. Kair, metropolia otoczona pustynią, w styczniu 2011 r. przypominał granat z odbezpieczonym zapalnikiem. Wzbiera bunt, który do historii przejdzie jako arabska wiosna. Wśród studentów uniwersytetu krążą ulotki. Taksówkarz psioczy na władzę i policję, co pod każdą szerokością geograficzną jest niezawodnym barometrem nastrojów społecznych.

Tymczasem z ekranów telewizorów leje się prymitywna propaganda, przetykana umoralnia-

jącymi gadkami ulemów. Dlatego przeciętny Egipcjanin woli oglądać „europejskie kanały z superdziewiczynami”. Rzesze wyznawców zdobywają Internet i portale społecznościowe. Razem z Noredinem zwiedzamy slumsy, rezydencje stojących ponad prawem bogaczy, meliny narkomanów, zakonspirowane lokale z alkoholem i prostytutkami. Rządzą przemoc i korupcja, lecz kairczykom – jak się zdaje – najbardziej doskwiera wszechobecne zakłamanie. Nawet policjant, który siłą rzeczy wie i widzi więcej niż inni, jest zdumiony jego rozmiarami.

Można do sprawy podejść z dystansem i orzec, że od czasów faraonów nic się nad Nilem nie zmieniło. Zwykły człowiek to mrówka, która w każdej chwili może zostać rozdeptana. Pamiętajmy jednak, że film o wzlocie i upadku kairskiego gliniarza tylko z pozoru jest dreszczowcem. Nakręcono go, by wytłumaczyć zachodniej publiczności, dlaczego na Bliskim Wschodzie musiało dojść do rebelii. Dla jego twórców bowiem, jak mierniam, arabska wiosna nie była wydarzeniem obojętnym. Reżyser i odtwórca głównej roli mają szwedzkie paszporty, lecz ich korzenie tkwią w Egipcie i w Libanie. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „CO WIECIE O SWOICH DZIADKACH?”

Tytuł jest mocno mylący – nie chodzi bowiem o ciąg dalszy słabutkiej farsy „Co ty wiesz o swoim dziadku?” z Robertem De Niro, ale o kontynuację komedii „Tata kontra tata”, w której o względy zgrabnej mamy z przedmieścia (i sympatię jej dzieciaków) rywalizowali ciapowaty Will Ferrell oraz rockandrollowy Mark Wahl-

berg. Nadchodzą święta i oto w mieście pojawiają się ich ojcowie: twardy jak skała Mel Gibson oraz zdiwaczający John Lithgow. ©©

Piotr Gociak

• „Co wiecie o swoich dziadkach?” („Daddy’s Home 2”), reż. Sean Anders, wyst. Will Ferrell, Mark Wahlberg, John Lithgow, Mel Gibson, USA 2017

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Na krawędzi życia” („Wonder Wheel”), reż. Woody Allen, USA 2017
- „Gra o wszystko” („Molly’s Game 2”), reż. Aaron Sorkin, USA 2017
- „Zabicie świętego jelenia” („The Killing of a Sacred Deer”), reż. Yorgos Lanthimos, USA/Wielka Brytania 2017

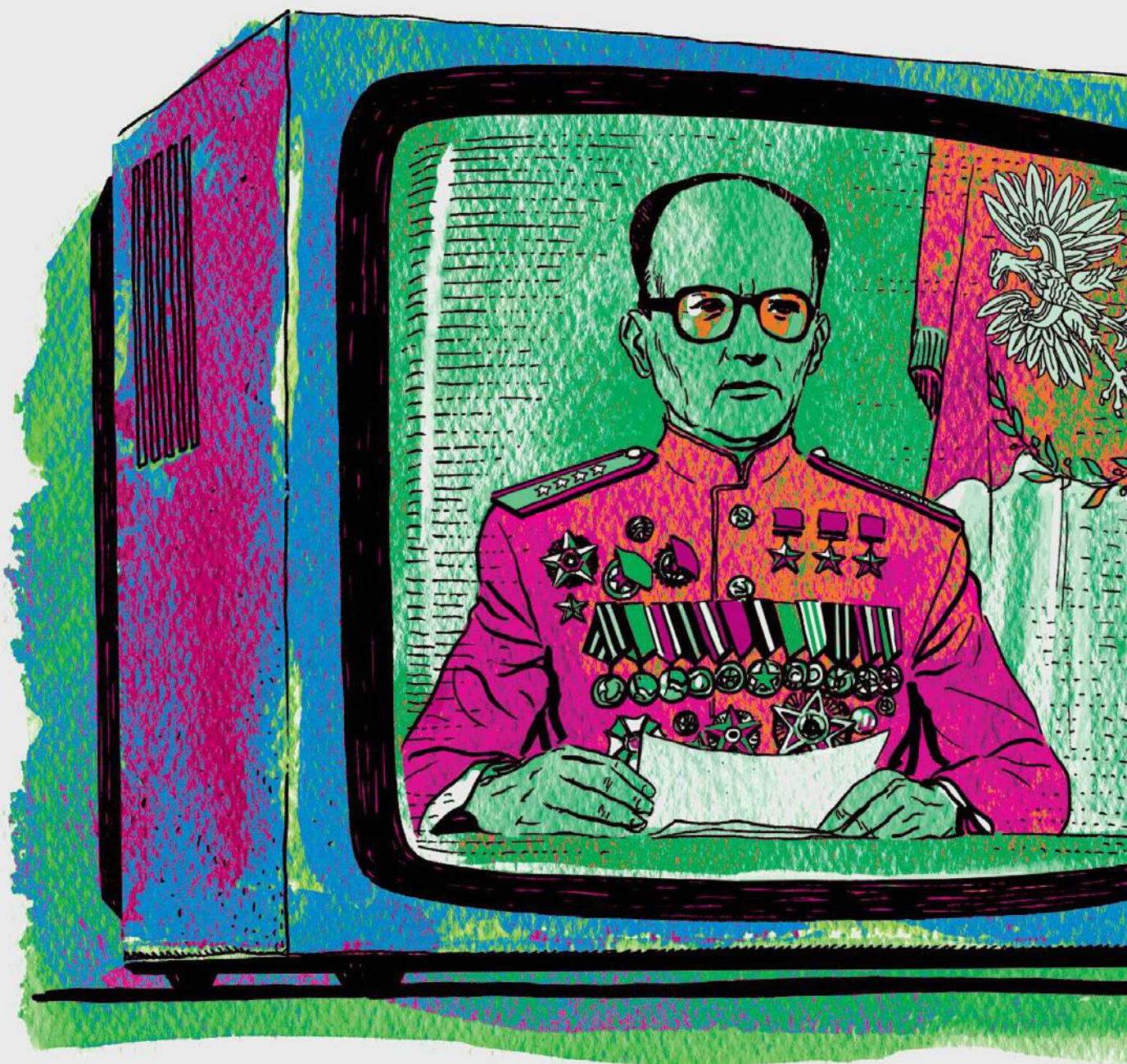


DODATEK SPECJALNY

1981 – stan wojny z narodem

- Prowokacje, aresztowania, bicie i zabójstwa
- Wejdą czy nie wejdą?
- USA, ZSRS, PRL i Kukliński





RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

SPIS TREŚCI

IV–IX MACIEJ ROSALAK **WOJNA Z NARODEM**

Od północy trwały aresztowania. 10 tys. funkcjonariuszy dobijało się do mieszkań, obstawiając domy i ulice, polując na ukrywających się. W ciągu tygodnia ujęto 5 tys. poszukiwanych

X–XIII PAWEŁ PIOTROWSKI I PIOTR WŁOCZYK

PRZY MOSKWIE DO OSTATKA

Jaruzelski widział świat dwubiegunowo: można było służyć Waszyngtonowi albo Moskwie. On do końca trwał przy Moskwie. Chciał obronić socjalizm przed Solidarnością

XIV–XV FOTOREPORTAŻ **BIJĄCE SERCE PARTII**

Z lat 1981–1983 pochodzi najwięcej fotografii junaków z ZOMO, którzy w hełmach, z pałami bojowymi, tarczami i kałuszami okrutnie traktowali rodaków, z kobietami włącznie

XVI–XIX SŁAWOMIR CENCKIEWICZ **KUKLIŃSKI – PRZED 13 GRUDNIA**

Próba nawiązania kontaktu z kimś z władz krajowych NSZZ „Solidarność” przekreśliłaby sens dziewięcioletniej misji wywiadowczej realizowanej przez Kuklińskiego zawsze w pojedynkę

Krajobraz po bitwie



Chyba tylko ten, kto najpierw przeżył 16 miesięcy Solidarności legalnie działającej w Polsce, a potem był świadkiem wprowadzenia stanu wojennego, zrozumie, jak to było. Słowo „zrozumie” nie w pełni oddaje zresztą tę sytuację. Entuzjazm zastąpiony rozpaczą bardziej można odczuć, niż zrozumieć. Kto nie widział – po raz pierwszy w życiu! – wolnej Polski, nagle obalonej w błotnisty śnieg, wdeptanej weń żołdackimi buciorami, rozjechanej gąsienicami czołgów, zmrożonej kłamstwem i butnym szyderstwem, ten w pełni nie dowie się, jak to jest...

Czy cokolwiek dobrego przyniósł Polsce stan wojenny? Miał przecież zapobiec dalszym strajkom i odrodzić gospodarkę krajową. Strajki, które zresztą prowokowali sami komuniści, co prawda zduszono, ale pod względem gospodarczym Polska była obrazem nędzy i rozpacz. Produkcja pod zarządem komisarzy w mundurach katastrofalnie spadła. Wprowadzone w lutym 1981 r. podwyżki cen żywności obniżyły o jedną trzecią standard życia obywateli, a emerytów doprowadziły do skrajnej nędzy. I tak już pozostało do końca lat 80. Zapowiedziane reformy sprowadzały się do wojskowo-milicyjnych akcji typu „Porządek”, a o ustrojowej zmianie niewydolnego systemu nie mogło być mowy (przecież m.in. po to właśnie wprowadzono stan wojenny, aby zmianom ustrojowym zapobiec). Natychmiastowe zawieszenie, a w październiku 1981 r. delegalizacja NSZZ „Solidarność” do reszty przywróciły sowiecki system realnego socjalizmu, pozostawiający władzę poza wszelką kontrolą społeczeństwa.

Terror zapanował na ulicach, w zakładach pracy, w organizacjach społecznych. Internowanie i więzienie ludzi za przekonania polityczne, drakońskie wyroki sądów, skrytobójcze mordy dokonywane przez wszechwładną bezpiekę, brutalne rozpędzanie spontanicznych zgromadzeń – to siało strach, ale powodowało także gniew, nienawiść, chęć oporu. I ten opór narastał w ciągu pierwszych miesięcy po 13 grudnia i właściwie dopóty, dopóki istniała PRL, nigdy nie zanikł. Polska pękła na dwie części: zwykłych ludzi, którzy przestali wierzyć władzy z bandycką twarzą, przestali liczyć na normalny rozwój ojczyzny, oraz tych, którym uczestnictwo w sprawowaniu władzy lub choćby perspektywa czerpania mniejszych czy większych profitów kazały władzę wspierać. Szara, biedna przyzwoitość z jednej strony oraz arogancki oportunizm z drugiej. Krajobraz po bitwie.

Komu w tej sytuacji cokolwiek dobrego przyniósł stan wojenny? Na pewno nie skrzywdzonym, uczciwym ludziom. Oportunistom, którym nieodwracalnie wykrzywił się charakter lub pogłębiła wrodzona głupota, także nie. O sukcesie mogłaby mówić jedynie ekipa rządząca, bo nadal sprawowała rządy. Ekipa, która wypowiedzeniem wojny narodowi okazała wierność Moskwie. No, chyba że któryś z towarzyszy generałów liczył na to, iż jako bohater narodowy znajdzie miejsce w podręcznikach historii, a potomni będą stawiać mu pomniki. Jeżeli liczył, no to się przeliczył. ©©

REDAKCJA:
Redaktor: Maciej Rosalak

Z ZESPOŁEM:
Studio graficzne:
Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący),
Włodzimierz Zakrzewski (grafik),
Jacek Nadratowski (DTP)

Fotoedycja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś
Okładka: Łaski Diffusion/East News



Wojna z narodem



Maciej Rosalak

Od północy z 12 na 13 grudnia 10 tys. funkcjonariuszy dobijało się po nocy do mieszkań, obstawiało domy i ulice, polowało na ukrywających się działaczy NSZZ „Solidarność”

IV

Upokorzenie i przygnębienie to uczucia, które jak jakaś czarna sadza, dusząca i zalepiająca oczy, spadły na społeczeństwo polskie 13 grudnia 1981 r. Tyle razy i przy tylu okazjach rodacy dzielili się już swoimi przeżyciami po wprowadzeniu stanu wojennego, że darują sobie wielokrotnie powtarzany „szok” i zaskoczenie z powodu wozów pancernych na ulicach, głuchych telefonów i pozbawienia dzieci telewizyjnego „Teleranka”. Czas jednak mija i trzeba przypominać starszym

podstawowe fakty związane z czasem, gdy władza komunistyczna wypowiedziała wojnę własnemu społeczeństwu, a w każdym razie jego zdecydowanej większości, a młodszych o tych faktach uczyć.

KU KONFRONTACJI

Wbrew propagandzie komunistycznej przyczyną przygotowania siłowej konfrontacji władzy z narodem, a następnie wprowadzenia jej z całą bezwzględnością, nie były „nieodpowiedzialne”

Oddział ZOMO w rynsztunku bojowym gotowy do akcji przeciw obywatelskiej manifestacji

FOT. WOJCIECH ŁASKI/EAST NEWS



ruchu społecznego, który upominał się oczywiście o obywatelską i pracowniczą podmiotowość, ale ani nie sięgał po władzę polityczną, ani nie „godził w sojusze ze Związkiem Radzieckim”, ani nie szykanował funkcjonariuszy władzy, ani niepotrzebnymi strajkami nie powodował „chaosu” prowadzącego do upadku gospodarczego.

Odwrotnie – to władze komunistyczne celowo prowokowały Solidarność. Dwa miesiące (do 10 listopada) zwlekały z zarejestrowaniem związku, celowo urządały niebezpieczne prowokacje, takie jak ciągłe wzniecanie strajków, aresztowanie Jana Narożniaka – drukarza wydawnictwa Nowa z Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność” (21 listopada), ciągłe odwleknięcie rejestracji NSZZ „S” Rolników Indywidualnych (aż do maja 1981 r.) czy pobicie działaczy związku na sesji bydgoskiej rady narodowej, z przewodniczącym Regionu Bydgoskiego Janem Rulewskim, pod koniec marca 1981 r. Groziło to wywołaniem strajku generalnego i nieobliczalnymi skutkami związanymi przede wszystkim z odbywającymi się manewrami wojskowymi wojsk Układu Warszawskiego „Sojuz '81”. 15 dywizji sowieckich i kilka NRD-owskich oraz czechosłowackich było gotowych do udzielenia władzom PRL „bratniej pomocy”.

Dzisiaj wiemy, że ukończone były już wówczas również plany zdławienia ruchu Solidarności siłą wojska polskiego, milicji i bezpieki (natomiast przygotowania wojska Komitet Obrony Kraju uznał za zakończone we wrześniu 1981 r.). O ewentualności takiego rozwiązania myślano już podczas trwania strajków sierpniowych, a prace nad wprowadzeniem stanu wojennego rozpoczęto natychmiast po podpisaniu porozumień ze strajkującymi robotnikami. Jednocześnie Służba Bezpieczeństwa dążyła do spenetrowania i rozsadzenia związku od wewnątrz poprzez agenturę wprowadzaną do komisji zakładowych, zarządów regionów oraz Krajowej Komisji Porozumiewawczej, którą kierował Lech Wałęsa (TW „Bolek” z lat 70.). Agentura ta odegrała ważną rolę przy wyborze Wałęsy (otrzymał 55 proc. głosów) na przewodniczącego NSZZ „Solidarność” na I Zjeździe związku, który odbył się w hali Olivia na początku jesieni 1981 r. Jednocześnie odsunięci zostali na bok prawdziwi twórcy Solidarności, tacy jak Anna Walentynowicz,

Andrzej Gwiazda, Krzysztof Wyszkowski. Sporą rolę odgrywali natomiast eksperci – Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki, Jacek Kuroń i Karol Modzelewski, uważani zresztą wtedy za „ekstremę” (a przynajmniej tak nazywani).

Tak więc komuniści, najpierw ze Stanisławem Kanią, a od 18 października 1981 r. z gen. Wojciechem Jaruzelskim na stanowisku I sekretarza KC PZPR (został nim tydzień po wyborze Wałęsy na Zjeździe Solidarności), a także premierem i szefem sił zbrojnych w jednej osobie, naciskani i musztrowani przez Sowietów, nigdy nie pogodzili się z istnieniem Solidarności. Stanowiła ona wyłom w ustroju sowieckiego realnego socjalizmu. Od początku chcieli ją zniszczyć, a zanim stali się do tego w pełni gotowi – skłócić, skompromitować i wzbudzić do niej niechęć coraz bardziej znękanego i spauperyzowanego społeczeństwa. Postępowali z Polską i z Polakami w myśl zasady każdego odszczepieńca: „Im gorzej, tym lepiej”...

Oto jak radził uporać się z brakami podstawowych artykułów spożywczych, głównie mięsa, niejaki towarzysz Zbigniew Michałek – dyrektor PGR Głubczyce zresztą – na plenum KC PZPR 18 października 1981 r.: „Zwracali się do mnie towarzysze i wspominali, że na Śląsku za Niemców działało bezbłędnie to wszystko, były kartki i było na nie pokrycie. Mówię na to: przecież my jesteśmy nie tacy głupcy w rządzie czy w Biurze, gauleiter Koch odsiaduje u nas dożywocie, spytaliśmy go, jak to zrobić, a on mówi: dajcie kartki, ale za świnię sprzedaną na lewo Oświęcim, a za objanie się w robocie front wschodni. Wtedy interes będzie załatwiony, wszystko będzie działać. Oczywiście, myśmy wprowadzili tylko tę pierwszą rzecz, daliśmy kartki, natomiast sami wiecie, jak można wyegzekwować pozostałe rzeczy”. (Jednak choć po dwóch miesiącach na ulicach stały już czołgi, gospodarce krajowej nic a nic rządy junty wojskowej nie pomogły. Przeciwnie – po wprowadzeniu stanu wojennego było coraz gorzej).

Pamiętam, że gdy 2 grudnia 1981 r. pacyfikowano strajk studentów Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej w Warszawie – z transporterami opancerzonymi, ZOMO-wcami wdzierającymi się przez ogrodzenie i desantowanymi z helikoptera – ludzie patrzyli na to z oburzeniem, ale traktowali ów widok jako kolejny



początku NSZZ „Solidarność”. Ów Niezależny i Samorządny Związek Zawodowy został utworzony 17 września 1980 r. w wyniku porozumień podpisanych uroczystie w Szczecinie (30 sierpnia 1980 r.), Gdańsku (31 sierpnia), Jastrzębiu-Zdroju (3 września) i Katowicach (11 września). Związek rychno przybrał charakter 9,5-milionowego

■ eksces ze strony władzy. Nie ruszyli na pomoc atakowanym, bo niby obie strony były „mundurowe”. Nikt chyba nie przypuszczał, że widzi właśnie próbę generalną przed podobnym spektaklem, ale na skalę całego kraju...

NOCĄ Z 12 NA 13 GRUDNIA

Termin wprowadzenia stanu wojennego udało się juncie wojskowej – jaką stała się powołana prawem kaduka Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego – zachować w tajemnicy przed narodem, a także opinią publiczną na Zachodzie. Doniesienia płk. Ryszarda Kuklińskiego (o czym piszemy osobno) rząd USA zostawił dla siebie i ewentualnie dla najbliższych sojuszników. Natomiast, poza szczupłym gronem osób wchodzących w skład KOK i wojskowych współpracowników Jaruzelskiego, daty tej nie znali nawet wszyscy towarzysze z Biura Politycznego KC PZPR i rządu. 25 tys. egzemplarzy obwieszczeń o wprowadzeniu stanu wojennego wydrukowano w Moskwie już na przełomie sierpnia i września 1981 r., przewieziono na pokładzie samolotu i ukryto w gmachu MSW. Nie miały jeszcze daty.

Symptomy jakiegoś zbliżającego się niebezpieczeństwa oczywiście widziano. Wielu żołnierzy z rocznika kończącego służbę wojskową nie puszczono do rezerwy, wielu zmobilizowano, zasłużonym weteranom z безпеiki i WP wydano broń, a tym, których nie darzono zaufaniem, ją zabrano, gromadzono zapasy żywności i odzieży. Półtorej godziny przed północą z 12 na 13 grudnia 1981 r. wojsko i funkcjonariusze MSW zajęli centrale telefoniczne i obiekty teletransmisyjne w całym kraju. Tego dotąd jeszcze nie było. Zanim rozpoczęły się aresztowania, członkowie Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” obradującej w Stoczni Gdańskiej zostali o tym uprzedzeni. Niektórym, np. Zbigniewowi Bujakowi, udało się dzięki temu uniknąć zatrzymania.

W sobotni wieczór 12 grudnia 1981 r. w Warszawie przyjemnie prószył śnieżek, a warszawiacy wracający Alejami Ujazdowskimi i Belwederską na Dolny Mokotów ze zdziwieniem widzieli transportery opancerzone oraz rzeszście oświetlony Belweder, a także członków Rady Państwa zwożonych tu tuż przed północą i zapewne zdziwionych, dlaczego wyrwano ich z łóżek. W telewizorach nagle przzerwano emisję jakiegoś



nudnego filmu, a para przestraszonych prezenterów nieskładnie żegnała widzów. Oni widzieli dookoła siebie uzbrojonych ZOMO-wców, my – jeszcze nie. Do obsadzenia rozgłośni radiowych i stacji telewizyjnych użyto tej nocy 350 funkcjonariuszy MO i SB, 700 żołnierzy podległych MSW i 3 tys. – LWP. Rano ujrzeliśmy darzonych zaufaniem junty prezenterów telewizyjnych odzianych w zielone mundury, a o godz. 6 z przemówieniem wystąpił gen. Jaruzelski. Mówił, jakby był zbawcą ojczyzny. Tyle razy już powtarzano to przemówienie, że darujemy sobie przytaczanie jego zgrabnych słów pełnych fałszu i obłudy oraz skrywanej buty.

Wkrótce emitowano także uchwałę Rady Państwa zatwierdzającą legalność owego zamachu stanu. Rada złała konstytucję PRL, gdyż trwała sesja Sejmu, a tylko podczas przerw między sejmowymi sesjami miała ona prawo podejmowania uchwał o mocy dekretów. Jeden jedyny Ryszard Reiff z PAX-u sprzeciwił się wojskowemu przewrotowi. To, jak i kto głosował czy

co mówił podczas owej belwederskiej nasiadówki, nie miało zresztą wówczas żadnego znaczenia.

Od północy trwały bowiem aresztowania wszystkich, którzy wyjątkowo narazili się władzy i których uważała ona za szczególnie niebezpiecznych. 10 tys. funkcjonariuszy brało udział w tym przedsięwzięciu (akcja „Jodła”), dobijając się po nocy do mieszkań, obstawiając domy i ulice, polując na ukrywających się. W ciągu pierwszego tygodnia stanu wojennego udało im się ująć ok. 5 tys. poszukiwanych – połowę wszystkich, którzy zostali internowani w stanie wojennym.

Natychmiast przzerwano krajowe i międzynarodowe połączenia telefoniczne. Telefony stały głuche w mieszkaniach prywatnych, a także w zakładach pracy, szkołach, redakcjach, a nawet w szpitalach (kiedy przywrócono połączenia, w słuchawce rozlegał się głos: „Rozmowa kontrolowana, rozmowa kontrolowana”). Ciężko chorzy umierali, gdyż nie można było wezwać karetki pogotowia. Samoloty uziemiono, a lotniska nie przyjmowały



Czołgi na ulicach największych miast urządzały demonstracje siły. FOT. LASKI COLLECTION/EAST NEWS

Dopóki trwała zima, dopóty grzali się oni przy koksownikach gęsto rozstawionych na ulicach. Często przejeżdżały czołgi i wozy bojowe, które miały siać postrach wśród mieszkańców, a niektóre ustawiono w centralnych punktach miasta i przed gmachami państwowymi.

Wóz bojowy z karabinem maszynowym w wieżycie stał – co utrwalił na słynnym zdjęciu Chris Niedenthal – przed kinem przy ul. Puławskiej. Czy postawili go tam dlatego, że kino nazywało się Moskwa, czy z powodu bliskiego wylotu Rakowieckiej, przy której to ulicy znajdowały się siedziba MSW oraz słynne więzienie – nie wiadomo. Wielki afisz na kinie Moskwa głosił „Czas Apokalipsy”... Gotowy kadr zdjęcia na World Press Photo.

„ZIMA REŻIMA”

Stan wojenny trwał do 22 lipca 1983 r., z czasowym zawieszeniem pod koniec 1982 r. A więc ponad półtora roku. Nie sprawdziły się nadzieje wyrażane powiedzonkami typu: „Ostatnia zima reżima”, „Zima wasza, wiosna nasza”, „Orła WRON-a nie pokona”. Podczas pierwszych tygodni stanu wojennego doszło do wydarzeń dramatycznych i tragicznych.

Kiedy minęła niedziela 13 grudnia i w poniedziałek 14 grudnia robotnicy udali się do swych zakładów pracy, rozgorzały akcje protestacyjne NSZZ „Solidarność”. ZOMO i wojsko rozpoczęły brutalną pacyfikację, wchodząc na tereny fabryk. 16 grudnia uśmiercono strajk w „kolebce”, czyli w Stoczni Gdańskiej, ale 100 tys. ludzi wyszło w Gdańsku na ulice. Starcia trwały dwa dni. 16 grudnia poraniono 324 ludzi. 17 grudnia milicja pod gmachem KW PZPR użyła broni z ostrą amunicją, raniąc kilka osób, z których jedna zmarła. Do podobnej manifestacji doszło w Krakowie. Nocą z 14 na 15 grudnia siłom bezpieczeństwa udało się rozbić strajk w Stoczni Szczecińskiej. 16 grudnia – w Fabryce Samochodów Ciężarowych w Lublinie. 23 grudnia – w Hucie Katowice.

Na Mazowszu strajki objęły 40 zakładów, przy czym największe – fabrykę traktorów w Ursusie i Hutę Warszawa – spacyfikowano nocą z 14 na 15 grudnia. Długo trwał strajk w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu. Protestowali też studenci warszawskich wyższych uczelni oraz pracownicy PAN w Pałacu Staszica. Milicja rozpadła

17 grudnia manifestację tysiąca osób na pl. Zwycięstwa. Kilkakrotnie rozpędzała też kilkusetosobowy tłum napierający w niedzielę 13 grudnia na funkcjonariuszy, którzy wdarli się do siedziby Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność” przy ul. Mokotowskiej.

Najtwardszy opór stawili śląscy górnicy. Dwa razy wyparli ZOMO-wców z kopalni Manifest Lipcowy, a zrezygnowali z dalszej walki za trzecim razem, gdy tamci otworzyli ogień i postrzelili czterech górników. Największa tragedia wydarzyła się w kopalni Wujek, gdzie od kul śmierć poniosło dziewięciu ludzi. Do 22 grudnia trwali górnicy w kopalni Ziemowit, a jeszcze dłużej – w kopalni Piast, do 28 grudnia. Dwa tygodnie tysięcy górników przebywało tam pod ziemią...

Protesty robotnicze utrudniało zmilitaryzowanie kilkuset dużych zakładów pracy, gdzie obowiązywały „prawa” jeszcze bardziej drakońskie niż w innych. W ogóle zatrzymywano i aresztowano ludzi za najdrobniejsze uchybienia i ferowano srogie wyroki za przynależne każdemu wyrażanie swych poglądów i postaw. Za takie wykroczenia jak trzymanie w domu nielegalnych wydawnictw czy pokątny handel mięsem groziła np. utrata mieszkania. Karę najdłuższego pozbawienia wolności wymierzono Ewie Kubasiewicz, bibliotekarce i kustoszowi Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni, za rozpowszechnianie ulotek wzywających do protestu przeciw stanowi wojennemu i udziału w strajku okupacyjnym na terenie szkoły w dniach 14–17 grudnia. Dostała za to 10 lat (choć prokurator żądał „tylko” dziewięciu). Na szczęście zwolniono ją z więzienia w 1983 r. na mocy amnestii. Została trójmiejskim organizatorem Solidarności Walczącej Kornela Morawieckiego.

Ogółem podczas trwania stanu wojennego internowano w 49 ośrodkach odosobnienia 10 tys. osób – w tym ok. 300 kobiet – a na więzienie skazano dalsze 4 tys. Byli to przede wszystkim działacze podstawowych komórek Solidarności w zakładach pracy i środowiskach, robotnicy, których traktowano wyjątkowo źle. Wielu powoływano do wojska, gdzie ich los często bywał jeszcze gorszy niż w więzieniu – np. umieszczano ich podczas mrozów w namiotach i kazano im pracować jako saperom po pas w lodowatej wodzie. Doradcy czy intelektualiści, których wzięto z Kongresu Kultury odbywającego się akurat

lotów z kraju i z zagranicy. Nie da się ustalić, ilu ludzi nie udzielono wtedy koniecznej pomocy lekarskiej, ilu pogmatwały się plany życiowe, ilu cierpiało ze strachu o los najbliższych...

Korespondencję cenzurowano. Zawieszono wydawanie wszystkich gazet, poza centralnym organem PZPR „Trybuna Ludu”, organami partii w 17 województwach oraz „Żołnierzem Wolności”. Wiadomości czerpano – mimo zagłuszania – z Radia Wolna Europa i Głosu Ameryki. Jednak w pierwszych godzinach, a nawet dniach stanu wojennego i tam nie wiadomo dokładnie, co się dzieje.

Na ulicach i drogach pojawiło się tamtej nocy 70 tys. żołnierzy LWP, 30 tys. funkcjonariuszy MSW, 1750 czołgów, 1,9 tys. transporterów opancerzonych, 9 tys. samochodów. Wykorzystano samoloty transportowe i kilka eskadr śmigłowców. Czwartą część tych sił skierowano do Warszawy. Od tego czasu stałym elementem stołecznego krajobrazu stały się patrole żołnierzy i ZOMO-wców z pałami, uzbrojonych w pistolety maszynowe Kałasznikowa, często w hełmach.



Koledzy ratują śmiertelnie ranionego podczas manifestacji w Lubiniu 31 sierpnia 1982 r.

FOT. KRZYSZTOF RACZKOWIAK/FOTONOWA

Jak nie zostałem kapusiem

Moje wspomnienie to tylko relacja jednego z ówczesnych dziennikarzy, którzy mieli przed ośmioosobową komisją udowodniać, że nie są wielbłądem, a następnie zostać jeszcze bardziej poniżeni w MSW na Rakowieckiej propozycją zostania kapusiem.

Wydawnictwo SD – Epoka – drukowało „Kurier Polski” i „Tygodnik Demokratyczny” należące do ścisłej czołówki pism patrzących władzy na ręce, popierających solidarnościowe przemiany i walczących z cenzurą. Po wprowadzeniu stanu wojennego właśnie w Epoce dokonano pierwszej weryfikacji dziennikarzy i była ona najbardziej dotkliwa. W „Kurierze...” do 20 grudnia wyrzucono 14, a zawieszono siedmiu dziennikarzy, tuż przed końcem roku w „Tygodniku...” zaś dziewięciu. Trzecią część zatrudnionych. Lista wyrzuconych była z góry przygotowana przez towarzyszy z PZPR i SB. Jak się dowiedziałem znacznie później, Stronnictwo wybroniło tylko dwóch dziennikarzy: Staszka Krupę – byłego żołnierza „Zośki” (z „Kuriera...”)

oraz mnie. Wcale nie byłem ani nie jestem za to wdzięczny.

Esbecy przyjechali po mnie rankiem w Trzech Króli. Na choince paliły się świeczki, a pod drzewkiem bawiła się moja córeczka. Funkcjonariusze uśmiechali się grzecznie, czekając, aż się ubiorę. Jeden z nich miał uśmiech wprost promienny; w jego złotych zębach odbijały się światełka choinkowe i Karolinka była zachwycona.

Potem szliśmy w słoneczny, mroźny dzień zimowy do ich samochodu stojącego pod osiedlowym śmietnikiem na Ursynowie. Nie skuli mnie, nie popychali i tylko może przypadkiem tak się złożyło, że oni byli po bokach i trochę z tyłu. Sąsiad wracał z pustym kubłem od śmietnika i zdziwiony patrzył na tę formację. – Cześć Andrzej! – Cześć Maciek! – i poszedł dalej. Nie zatrzymał się, jak zwykle, na pogawędkę, i w tym momencie odczułem różnicę między człowiekiem mającym swobodę wyboru a tym jej pozbawionym.

Na korytarzach gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przy ul. Ra-

kowieckiej zaskoczył mnie ruch jak na Marszałkowskiej. Wśród ludzi w mundurach i po cywilnemu moją uwagę zwrócili szczególnie ci, którzy zapewne uwagi mieli nie zwracać: młodzi mężczyźni ubrani zwyczajnie, w futrzane czapy, kurtki lub palta sak, dżinsy. Wielu nosiło długie włosy. Nie znałem wtedy terminu „tajny współpracownik”, toteż pomyślałem zwyczajnie: szpicle.

W pokoiku, do którego wprowadzili mnie konwojenci, siedział oficer SB, który wcześniej był członkiem komisji weryfikacyjnej w naszym wydawnictwie. I on był bardzo uprzejmy. Zaproponował zdjęcie marynarki i sam zdjął swoją, i tak, niby przypadkiem, zobaczyłem skórzany pas biegnący przez ramię i plecy z przytroczoną kaburą, z której wyglądała kolba rewolweru – krótkolufowego bębenkowca. Niby przypadkiem posadzony zostałem na wprost okna, przez które niemiłosiernie świeciło słońce, a kiedy odwracałem oczy, wzrok cieszyły trofea – plakaty i kalendarze Solidarności z obrabowanej siedziby Regionu Mazowsze. Przy-

w Warszawie, a także przewodniczący regionów o znanych nazwiskach mieli bez porównania lepiej. Po Wałęsę przyszli 13 grudnia nie ZOMO-wcy, ale trójmiejscy notable partyjni, a osadzono go definitywnie w luksusowym ośrodku wypoczynkowym w Arłamowie, gdzie miał do dyspozycji apartament z suto zaopatrzoną lodówką. Na jego korzyść przemawia to, że nie wystąpił z publicznym apelem o poparcie dla junty.

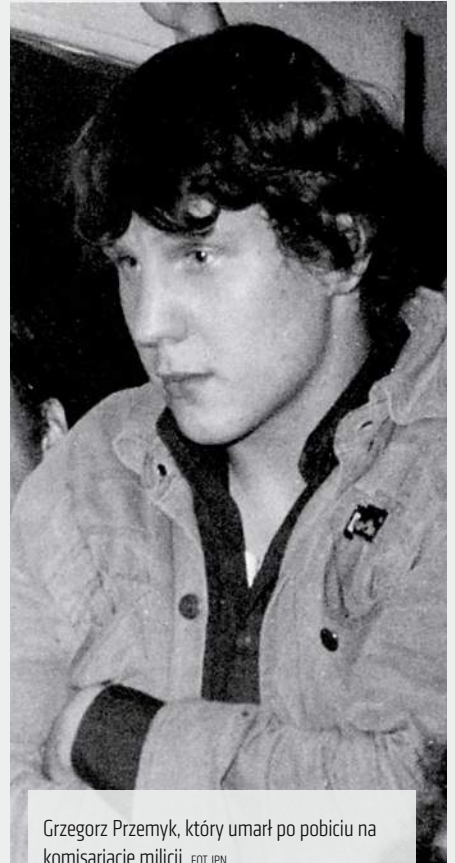
Po rozbiciu protestów grudniowych przystąpiono do dalszych represji. Wyrzucano ludzi z pracy (w kopalni Piast pracę straciło aż 2 tys. osób), rozwiązywano niepokorne organizacje i stowarzyszenia, takie jak Niezależne Zrzeszenie Studentów, Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, Związek Literatów Polskich oraz zarząd polskiego PEN Clubu. Członkowie – na ogół wyrzuceni też z pracy – działali w podziemiu, korzystając z pomocy Kościoła i ludzkiej solidarności w kraju i za granicą. Nielegalne wydawnictwa książkowe (często znakomite pozycje!), a także np. znaczki Poczty Solidarność sprzedawano, a rodacy chętnie płacili.

Do wielotysięcznych manifestacji doszło następnie w 1982 r. podczas obchodów zarówno 1 Maja, jak i 3

Maja oraz 31 sierpnia w drugą rocznicę podpisania porozumienia w Stoczni Gdańskiej. Padli wtedy ranni i – jak w Lubiniu – zastrzeleni przez ZOMO. Dochodziło także do skrytobójczych mordów. Ludzi poruszyła szczególnie śmierć warszawskich maturzystów: Emila Barchańskiego, którego zatrzymywano i bito podczas przesłuchań, a w końcu jego zniekształcone zwłoki wyłowiono w czerwcu 1982 r. z Wisły; oraz Grzegorza Przemyska, śmiertelnie pobitego w maju 1983 r. na staromiejskim komisariacie. Ginęli też inni, choćby ks. Leon Błaszczak z Cielętników zamordowany w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia 1982 r. Liczbę wszystkich takich zgonów w okresie 1981–1983 IPN oszacował na ponad 70. Jeśli zaś weźmiemy pod uwagę cały okres rządów generałów – z 1989 r. włącznie – to ta liczba przekroczy zapewne 100.

Śmierć, zniszczenie zdrowia, złamanie szczęścia rodzinnego, emigracja kilkuset tysięcy rodaków, a także coś mniej uchwytnego, lecz jakże ważnego: podęptanie patriotycznego entuzjazmu i wielkiej nadziei na Polskę godnego życia Polaków – oto efekty stanu wojennego.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Grzegorz Przymek, który umarł po pobiciu na komisariacie milicji FOT. IPN

słonił nieco okno („O, widzę, że pan redaktor oczki mruży”), poczęstował lurą udającą herbatę i przedstawił się jako Arek Iwanicki, kapitan. A potem w ciągu półtorej godziny tak prowadził rozmowę, jakby sam chciał zostać dziennikarzem. Zdawałem sobie oczywiście sprawę, do czego dąży, a i on chyba zdawał sobie sprawę z tego, że sobie zdaje sprawę. Wyjął więc notatnik i odczytał z namaszczeniem swoje o mnie spostrzeżenia z rozmowy przed komisją weryfikacyjną. Sprawdzały się one mniej więcej do tego, że jestem „blondynem, karnacji jasnej, opanowanym, odpowiadającym zdecydowanie i bez lęku”. Czytaj: nie-Żyd, nie nasz, może być nasz.

I wreszcie: – Chcielibyśmy zaproponować panu redaktorowi, aby został naszym konsultantem do spraw Stronictwa Demokratycznego. Zobaczył chyba grymas na mojej twarzy, bo dodał szybko: – Będziemy się spotykać w kawiarni albo w prywatnych mieszkaniach – nikt pana nie będzie

podejrzewał... – Wie pan co? – odpowiedziałem. – Chodzi o to, że sam siebie będę podejrzewał! Na to zmienił ton i z groźbą w głosie rzekł: – No to zobaczymy, jak pan na tym wyjdzie. Jeszcze się spotkamy, redaktorze... Jeszcze się spotkamy, redaktorze... – dokładnie tak samo powiedział tydzień wcześniej po rozmowie weryfikacyjnej w Epoe. Kiedy to usłyszałem, natychmiast – choć nikt mnie tego nie uczył – poszedłem specjalnie do redaktora naczelnego, który sam nie krył związku z resortem i miał w szufladzie pistolet, oraz powiedziałem mu o tej niepokojącej dla mnie zapowiedzi. Do dziś myślę, że naczelny miał dwie dusze, które walczyły ze sobą o dominację nad nim. Tym razem zwyciężyła ta jaśniejsza, bo cicho, żeby nikt nie usłyszał, udzielił mi rady: – Jak nie mają na ciebie haka, to mogą cię w d... pocałować!

Na wszelki wypadek o spodziewanej wizycie SB powiedziałem jeszcze kilku osobom, więc kiedy pan kapitan chciał mojego podpisu na oświadczeniu, że zachowam rozmowę w MSW w tajemnicy, powiedziałem mu, że wie o niej przynajmniej 10 kolegów w redakcji, a żona po ich wyjściu powiedziała kolejnym 10 sąsiadom. Stropił się nieco, ale zdołał mi wetknąć kartkę ze swoim telefonem: – Jak pan redaktor zmieni zdanie, to niech zadzwoni... Odruchowo wzięłem karteczkę. Kiedy wyjąłem ją po godzinie, szczegółowo zdając relację żonie, powiedziała: – Dawaj ją natychmiast! Od razu ją spaliła, a ja byłem jej wdzięczny, bo poczułem ulgę i opadło ze mnie jakieś takie dokuczliwe przygnębienie, niechęć do życia i obrzydzenie, które narastały we mnie od niedzieli 13 grudnia.

Maciej Rosalak



PIOTR WŁOCZYK: Czy twierdzenie, że stan wojenny uratował Polskę przed krwawą interwencją Sowietów, ma jakikolwiek sens?

DR PAWEŁ PIOTROWSKI: Nie. Nie da się obronić tezy, że gen. Wojciech Jaruzelski, wprowadzając stan wojenny, uratował Polskę przed sowiecką interwencją. Fakty przeczą tej tezie. W 1981 r. Sowieci pogodzili się z tym, że sytuacja w PRL nie będzie już tak stabilna jak do tamtej pory. Zastanawiali się, jak się do tego ustosunkować, ale interwencja zbrojna nie wchodziła wtedy w ogóle w grę.

Jaki dowód najlepiej to potwierdza?

Po pierwsze, nikt nie znalazł dowodu na to, że ktokolwiek w Moskwie planował w 1981 r. inwazję na Polskę. Takich dokumentów nie znaleźli ani Wasilij Mitrochin, archiwista KGB, który z ogromnym zbiorem dokumentów uciekł w 1992 r. do Wielkiej Brytanii, ani Władimir Bukowski, szef komisji do zbadania zbrodni KPZR, ani choćby Rudolf Pichoja, w latach 90. szef Archiwów Rosyjskich.

Po drugie, mamy konkretny dowód na to, że taka operacja nie była brana na Kremlu pod uwagę. 29 października 1981 r., na posiedzeniu Biura Politycznego KC KPZR, Jurij Andropow, wówczas szef KGB, zakomunikował, że żadnej interwencji w Polsce nie będzie. To jest według mnie najważniejszy argument przeczący wersji gen. Jaruzelskiego.

Strach przed reakcją Zachodu okazał się tu kluczowy?

Myślę, że właśnie to było decydującym argumentem. Wszyscy się obawiali – widać to choćby po ujawnionych niedawno raportach CIA – że sowiecka interwencja w Polsce skończyłaby się ogromnym rozlewem krwi. Powszechnie uważano, że Polacy nie zachowaliby się w takim przypadku tak jak Czesi w 1968 r. Dla wszystkich było też oczywiste, że część LWP przeszłaby na stronę narodu. W takim przypadku liczba ofiar byłaby olbrzymia, a to musiało by się spotkać z ostrą reakcją ze strony wolnego świata.

Interwencja w Polsce groziła zniszczeniem resztek więzów gospodarczych łączących blok wschodni z Zachodem. Związek Sowiecki był wówczas bardzo zależny od dopływu dewiz za eksport paliw. Odcięcie od tego źródła finansowania, prowadzące do „uduszenia się” sowieckiej gospodarki, miało



Z dr. Pawłem Piotrowskim z Wojskowego Biura Historycznego rozmawia Piotr Włoczyk

Przy Moskwie do ostatek

Jaruzelski nie wyobrażał sobie koegzystencji z Solidarnością. Chciał ją złamać, ale do samego końca się bał, że opór będzie zbyt silny...

z pewnością bardzo duże znaczenie dla planowania strategicznego Moskwy. Nie zapominajmy też, że już od dwóch lat trwał konflikt w Afganistanie, który coraz bardziej wyczerpywał ten kraj gospodarczo i militarnie.

Tak krwawa interwencja zniszczyłaby też resztki prestiżu ZSRS. W związku z tym, że ZSRS z różnych względów nie stać było na wkroczenie do Polski, postanowiono rozprawić się z Solidarnością innymi metodami – to polscy towarzysze mieli to zrobić własnymi rękoma. Przy czym nie ma wątpliwości, że Sowieci wywierali duży nacisk na władze PRL, aby wprowadzić stan wojenny.

Jak bardzo gen. Jaruzelski zabiegał o pomoc ze strony „wielkiego brata”?

Bardzo. Wiemy przecież, że na posiedzeniu komitetu ministrów obrony Układu Warszawskiego na początku grudnia 1981 r. gen. Florian Siwicki, jego najbliższy współpracownik, starał się wpłynąć na uczestników, by w komunikacie końcowym znalazło się choćby zawołane stwierdzenie, iż wojska Układu Warszawskiego mogą interweniować w Polsce w obronie socjalizmu. Polskim komunistom nie udało się jednak uzyskać nawet takiego wsparcia. Powód był cały czas ten sam: strach przed sankcjami Zachodu, który działał odstraszająco nie tylko na Związek Sowiecki, lecz także na państwa satelickie.

Był chyba wśród nich jeden wyjątek – NRD. Erich Honecker nie wahałby się chyba poprzeć interwencji w Polsce.



Pancerne wozy bojowe gotowe do akcji

FOT. MAREK MICHALAK/EAST NEWS

Tak, myślę, że Honecker nie miałby tu żadnych wątpliwości. Bał się bowiem, że wypadnięcie Polski z obozu socjalistycznego oddzieli NRD od Sowietów, a ponadto osłabi NRD-owską gospodarkę. Polski węgiel kamienny i stal stanowiły przecież ważny element wschodniemieckiej gospodarki. Dlatego tak przerażała go wizja destabilizacji sytuacji w PRL.

Jeszcze rok wcześniej sytuacja wyglądała jednak zupełnie inaczej – Związek Sowiecki był gotów interweniować w PRL w obronie socjalizmu.

Na początku grudnia 1980 r. odbyła się w Moskwie narada szefów sztabów generalnych państw bloku wschodniego, podczas której podjęto decyzję, że jeszcze w tym samym miesiącu odbę-

dą się w Polsce ćwiczenia „Sojuz '80”. Oczywiście wymyślono dla nich jakiś cel wojskowy, ale każdy wiedział, o co tak naprawdę chodzi. Generał Tadeusz Hupałowski, który był wówczas pierwszym zastępcą szefa Sztabu Generalnego, dostał w Moskwie do ręki mapę, na której pokazano, jak rozlokowane zostaną wojska sowieckie i armie sojusznicze: czechosłowacka i NRD. Siły te miały zająć pozycje w newralgicznych miejscach, czyli w okolicy dużych aglomeracji. Wojska sowieckie miały stacjonować wokół Warszawy, Krakowa czy Bydgoszczy. Z kolei dywizja NRD miała stacjonować w rejonie Szczecina, a Czechosłowacy na Górnym Śląsku. Każdy wiedział, że były to przygotowania do interwencji.

Jak przyjęły to ówczesne władze Polski Ludowej?

Wywołało to popłoch wśród towarzyszy w Warszawie. Co ciekawe, najbardziej bulwersowało ich to, że planowano wkroczenie wojsk NRD. Polacy próbowali wyperswadować to Sowietom. Stanisław Kania po otrzymaniu informacji o przygotowaniach do „Sojuza '80” próbował za pośrednictwem ambasadora ZSRS w Warszawie umówić się na rozmowę z Leonidem Breżniewem, ale spotkał się z odmową. Polaków uradowało wtedy przed Sowietami to, że informacje o „Sojuszu '80” przedostały się na Zachód. Za sprawą Amerykanów doszło do kilku przecieków i prasa amerykańska pokazała mapy z kierunkami sowieckiego uderzenia na Polskę. Silne ostrzeżenie wysłane na Kreml sprawiło, że ćwiczenia zostały odwołane. To wielka zasługa płk. Ryszarda Kuklińskiego.

A także Zbigniewa Brzezińskiego.

Oczywiście. Nie zapominajmy również o roli Jana Pawła II. Brzeziński wymusił niemal na prezydencie Carterze wystosowanie ostrego przekazu, który dzięki ultymatywnemu brzmieniu znalazł posłuch na Kremlu. To wszystko ostudziło zapał Sowietów. Skoro nie mogli interweniować, to postanowili wymóc na władzach PRL rozwiązanie problemu Solidarności w ich zakresie. Stanisław Kania bardzo się opierał, nie chciał wprowadzać stanu wojennego. W związku z ogromną presją ze strony marszałka Wiktora Kulikowa Kania odszedł ze stanowiska I sekretarza PZPR. Jaruzelski zastąpił go jako ten, który miał dać gwarancję, że stan wojenny zostanie wprowadzony.

I jak się z tego początkowo wywiązywał?

Nie najlepiej. Sowietci byli bardzo zdziwieni, gdy okazało się, że Jaruzelski się wahał. Ostatecznie jednak udało im się go skutecznie przekonać, żeby własnymi siłami złamał polskie społeczeństwo.

Jaruzelski nie wierzył w siłę LWP?

Bardzo się bał, że sobie nie poradzi, że podległe mu siły nie dadzą rady spacyfikować oporu społecznego. Pamiętajmy, że Solidarność to było 10 mln Polaków. Jednocześnie wiedział, że nadszedł czas, aby wyjaśnić sytuację w kraju. Po zjeździe Solidarności w hali Olivia w Gdańsku, który odbył się we wrześniu

■ 1981 r., było jasne, że jest to ogromny ruch społeczny, którego nie uda się wkomponować w system polityczny PRL. Jeszcze wcześniej, bo po IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR, rozpoczęto w niej czystkę, w której wyniku działaczy skłonnych do kompromisu zastąpili tzw. twarogłowi, dążący do konfrontacji. Sam Jaruzelski w przemówieniu z 13 grudnia o wprowadzeniu stanu wojennego oznajmił, że „socjalizmu będziemy bronić jak niepodległości”. Nie mieściła mu się w głowie idea Polski, która nie będzie socjalistyczna. Obawiał się, że Solidarność zmienia się z ruchu robotniczego w siłę polityczną zmierzającą do odrzucenia socjalizmu. Nie wyobrażał sobie koegzystencji z taką siłą. Chciał ją złamać, ale do samego końca bał się, że opór będzie zbyt silny.

Kiedy odetchnął?

Przez pierwszy tydzień bardzo się niepokoił, wydawało mu się, że wszystko mogło się jeszcze zdarzyć. Dopiero w okresie świątecznym mógł odetchnąć – widać było, że udało mu się spacyfikować społeczeństwo. Okazało się bowiem, że wprowadzenie stanu wojennego przebiegło łagodniej w porównaniu z tym, czego Jaruzelski tak bardzo się obawiał. Mord w kopalni Wujek jasno dał ludziom do zrozumienia, że władza nie cofnie się przed masowym zabijaniem robotników. Masowy opór społeczny został dość szybko złamany przez ten terror.

Jak do tego wszystkiego w ogóle doszło? Jakim cudem chłopak z dobrej ziemiańskiej rodziny zaczął wiernie służyć komunistom?

To bardzo ciekawy przypadek pokazujący, jak niesamowicie mogą się układać ludzkie losy. Można podejrzewać, że gdyby w 1939 r. Jaruzelski był parę lat starszy, gdyby walczył w Wojsku Polskim, to być może pozostałby wierny przedwojennej Polsce. Pochodził przecież faktycznie z domu, który był programowo antykomunistyczny.

I do tego nie był witany w ZSRS kwiatami, tylko sam doświadczył tam potworności tego systemu.

We wrześniu 1939 r. 16-letni Wojciech najpierw uciekał przed Niemcami, a potem przed Sowieci. Był świadkiem terrorku, jaki siali na kresach żydowscy komuniści, którzy wyłapywali polskich oficerów, np. w Dereczynie. Szczęśliwie trafił wówczas na grupę kawalerii ppłk.

Jerzego Dąbrowskiego, która wycofywała się z Wołkowyska. Wojsko Polskie spacyfikowało tę rewoltę. Co ciekawe, Jaruzelski do końca życia pozostał w stosunku do Żydów bardzo... ostrożny.

Pod koniec lat 60. ta „ostrożność” dała o sobie znać, kiedy nadzorował czystkę antysemicką w LWP...

W dużej mierze ta antysemicka operacja w LWP była jego inicjatywą. Wracając do wojny: podczas ucieczki przed Sowieciami dotarł do Grodna i wpadł tam w sam środek walk polsko-sowieckich. Był świadkiem tego, jak sowieckie czołgi masakrują Polaków. Zanim więc trafił do ZSRS, widział na własne oczy, co niesie ze sobą ten system i jakie metody stosuje. Nie da się obronić tezy, że był wtedy nieświadomym dzieckiem.

Rosja jest takim molochem, iż Polacy są po prostu skazani na życie w jej cieniu. Dużą rolę w procesie przechodzenia na stronę komunizmu na pewno odegrała jego nauka w szkole oficerskiej w Riazaniu, gdzie Sowieci odpowiednio „pracowali” nad swoimi ludźmi.

Trochę trudno w to uwierzyć, ale Jaruzelski stał się głęboko ideowym komunistą w przeciwieństwie do wielu oportunistów, których nie brakowało w PRL-owskim aparacie.

Ma pan rację, trudno w to uwierzyć.

Myślę, że Jaruzelski jeszcze w Rosji sowieckiej nie był przekonany komunistą. Stał się nim dopiero po powrocie do Polski. Jego ojciec zmarł w Bijsku na Syberii, matka z siostrą były jeszcze w ZSRS. Jaruzelski nie miał dokąd



„Bratnie spotkanie” gen. Jaruzelskiego z sowieckim gensekiem Leonidem Breżniewem. FOT. SIPA PRESS/EAST NEWS

A mimo to przeszedł na ich stronę. Dlaczego?

Stało się tak najpewniej pod wpływem przeżyć wojennych, tego, co widział na Syberii. To jednak nie stało się od razu. Deportacja na Syberię była przez rodzinę Jaruzelskich niejako wyczekiwana, doszło do niej w czerwcu 1941 r. Zresztą jego dziad – to po nim dostał imię – również był wywieziony na Syberię, tak więc rodzina Jaruzelskiego od lat doświadczała ze strony Rosji jak najgorszych rzeczy. Wygląda na to, że chciał on dołączyć do wojska gen. Andersa, ale po prostu nie zdążył, podobnie jak wielu innych. Wydaje się, że właśnie wtedy w głębi ZSRS – mimo doświadczenia ze strony Sowieców potworności – Jaruzelski stwierdził, że

wracać – dom w Polsce został zniszczony. Postanowił wtedy przebudować swój światopogląd, stać się zupełnie nowym człowiekiem, do czego zresztą mocno zachęcał komunizm. Niektórzy śmieją się nawet, że w Rosji sowieckiej ktoś podmienił Jaruzelskiego. Ja jednak myślę, że była to autentyczna metamorfoza. O tym, że nie był koniunkturalistą, świadczy dobrze to, że po drodze nie popełnił żadnego błędu. Nie można się było w jego przypadku przyczepić do niczego. Jaruzelski zresztą bardzo dbał o swoją reputację – nie pił alkoholu właśnie dlatego, żeby nie „chlapnąć” czegoś niestosownego. Bał się siebie samego po alkoholu...

Wiadomo, jak racjonalizował sobie walkę z żołnierzami podziemia niepodległościowego?

Tłumaczył to sobie tym, że przecież przeciwnik zabija chłopów korzystających z reformy rolnej, mierniczych, działaczy PPR. Traktował to naprawdę jako wojnę domową. Był na pierwszej linii walki, zwalczał podziemie niepodległościowe najpierw w Piotrkowskim, potem na Hrubieszowszczyźnie, gdzie przede wszystkim walczył z UPA, a także z oddziałami polskiego podziemia. Osobiście przesłuchiwał wielu zatrzymanych żołnierzy. W jego meldunkach pojawiają się nazwiska dziesiątek schwytanych przez jego ludzi żołnierzy podziemia niepodległościowego. Będziemy teraz w Wojskowym Biurze Historycznym, wraz z IPN, wyjaśniać ich losy. Na pewno część z nich została skazana na śmierć lub wieloletnie więzienie.

Co ciekawe, w żadnym wywiadzie nie odpowiedział na pytanie, czy brał udział w zniewoleniu Polski. Takie pytanie w ogóle do niego nie docierało. Nigdzie nie znalazłem takiej refleksji. Dla niego była to walka o wyciągnięcie Polski z zaścianki, o reformy społeczne. Jaruzelski naprawdę w to wierzył, to nie była mimikra. Wychował się w domu pełnym ideałów, był za młodu ministrem. Myślę, że ten idealizm poszedł potem w drugą stronę. Nie zgodziłbym się z tezą, że był tylko karierowiczem. W tym, co robił, chciał być zawsze najlepszy. Z punktu widzenia swoich towarzyszy nie miał żadnej plamy na życiorysie. No, może poza pochodzeniem.

Zmył ją jednak szybko współpracą z Informacją Wojskową.

Tak. IW wystawiła mu świadectwo: Jaruzelski pochodził wprawdzie „z polskich panów”, ale przejrzał na oczy i robi dla nas więcej, niż musi.

Gdyby nie współpracował z IW, to z takim pochodzeniem chyba szybko pożegnałby się z LWP?

Myślę, że co najmniej trudno byłoby mu pozostać w armii z takim pochodzeniem. W latach 50. był duży odsiew oficerów „obcych” klasowo, którzy wywodzili się z „byłych” klas, np. z ziemiaństwa, tak jak Jaruzelski. W tamtym okresie nawet pochodzenie kułackie stanowiło problem w LWP.

Jak bardzo szkodził innym swoją współpracą z IW?

Jaruzelski rozpoczął współpracę z IW w 1946 r. Przyszłość tego systemu była wówczas jeszcze w Polsce niepewna. Potrzebni byli ludzie, którzy będą informować o nastrojach w jednostkach wojskowych, o kolegach oficerach, co miało pomóc w przeprowadzeniu „odsiewu”. Możemy się tylko domyślać, jak był gorliwy w donoszeniu, na podstawie oceny jego meldunków, ponieważ one same się nie zachowały. Oceniano go jako dobrego współpracownika, więc myślę, że dostarczył IW sporo materiału. Jaruzelski na pewno miał zmysł obserwacyjny, jak na tamte standardy w LWP był dosyć dobrze wykształcony, bystry.

Zgodzi się pan z twierdzeniem, że Informacja Wojskowa to był UB do kwadratu?

IW powstała podczas wojny na fundamencie oficerów sowieckiego Smiersza, oddelegowanych do tzw. odrodzonego Wojska Polskiego na wschodzie. Mimo że ta armia była ludowa, Polacy byli uważani przez Sowietów za niepewnych. Sowietów w Informacji Wojskowej służyli jeszcze w latach 50. Z kolei UB, poza kadrami kierowniczą, opierał się na Polakach. Smiersz, jak wiadomo, słynął z nieprawdopodobnej wręcz brutalności działań.

Jaruzelski w wieku 33 lat był już generałem. To niezwykle nawet jak na komunistyczne podejście do awansów. Czemu zawdzięczał tak ekspresową karierę?

Był oddany tamtemu systemowi sercem i duszą. Jego przełożeni wiedzieli, że nie oszukuje, bo jego czyny to potwierdzały. Już na początku kariery w wojsku Jaruzelski znalazł swojego patrona – wiceministra obrony narodowej gen. Stanisława Popławskiego, który prowadził go przez kręte drogi kariery w LWP. Popławski był Polakiem ze Związku Sowieckiego. Jaruzelski wybijał się na tle innych oficerów: składowo myślał, bardzo dobrze mu wychodziło pisanie raportów. Zwrócił tym samym uwagę Popławskiego. Po 1956 r. wysyłano Jaruzelskiego na najtrudniejsze odcinki w LWP. Wszędzie wykazywał się nieprawdopodobną gorliwością.

Na przykład?

Gdy na początku lat 60. został szefem Głównego Zarządu Politycznego LWP, rozpoczął ogromną kampanię przeciwko klerykom w ramach zintensyfikowania przez Gomułkę walki z Kościołem. Nawet w bardzo ponurych latach 50. na

podstawie umowy z Kościołem nie brano kleryków do wojska. Jaruzelski to zmienił. Postanowił wcielać do LWP kandydatów na księży, aby w związku z naciskami i szykanami przestali myśleć o powrocie do seminariów. Przypomnę tylko, że za tą inicjatywą stał były ministrant i wychowanek kolegium marianów na Bielanach. Jaruzelski był we władzach PRL jednym z największych przeciwników Kościoła i takim człowiekiem pozostał do końca. Przyjął w całości marksistowski dogmat walki z Kościołem. Nie musiał tego robić, ale chciał.

Szedł po trupach?

Na swojej drodze poznał kilku oficerów pochodzenia żydowskiego, np. płk. Michała Sadykiewicza, który w czasie, kiedy Jaruzelski dowodził 12. Dywizją Zmechanizowaną w Szczecinie, był jego szefem sztabu. To on znał się na tym, jak kierować takim liczącym ponad 10 tys. żołnierzy związkiem taktycznym, i był bardzo pomocny dowódcy, ponieważ Jaruzelski nie miał doświadczenia w dowodzeniu większymi oddziałami wojska. Zanim stanął na czele dywizji, dowodził tylko kompanią liczącą ok. 100–150 ludzi... Jednak w czasie nadzorowanych przez Jaruzelskiego czystek antysemitów oficerowie ci zostali zmuszeni do opuszczenia kraju. Jaruzelski ich nie bronił.

Kogo miał obronić stan wojenny w pojęciu Jaruzelskiego?

Nie mogę się zgodzić z często pojawiającą się opinią, że Jaruzelski wprowadził stan wojenny tylko po to, żeby ochronić siebie i swoich kolegów przed utratą władzy. To oczywiście również było celem, ale Jaruzelski naprawdę chciał obronić socjalizm przed Solidarnością. Polska mogła być w jego pojęciu tylko socjalistyczna. Inna Polska była dla niego nie do pomyślenia. Widział świat dwubiegunowo: można było wtedy służyć Waszyngtonowi albo Moskwie. On do końca trwał przy Moskwie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Paweł Piotrowski

– jest specjalistą od historii Ludowego Wojska Polskiego, pracownikiem Wojskowego Biura Historycznego, autorem m.in. przełomowej publikacji pt. „Sprawa współpracy Wojciecha Jaruzelskiego z Informacją Wojskową”



ZOMO – bijące serce partii

Tytuł, którym opatrzyliśmy kilka zamieszczonych tu zdjęć, był powiedzeniem z czasów stanu wojennego. Dokładnie oddawał to, czym były oddziały brutalnej przemocy wobec społeczeństwa dla mającej monopol na władzę Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i czym w istocie była ta partia. Zmotoryzowane Oddziały Milicji Obywatelskiej zostały utworzone od razu po tzw. Październiku, który przyniósł rzekomą demokratyzację systemu komunistycznego w 1956 r. Właśnie ZOMO, które pałowało studentów w 1968 r., zabijało robotników w 1970 r., urządziło im „ścieżki zdrowia” w 1976 r., a w 1981 r. przystąpiło do wojny z narodem, okazało się najtrwalszym dorobkiem komunistów. Z lat 1981–1983 pochodzi najwięcej fotografii tych junaków, którzy w ciężkim rynsztunku złożonym z hełmów, pałek bojowych, tarcz i pistoletów maszynowych Kałasznikowa potrafili okrutnie traktować rodaków, w tym młodzież i kobiety...

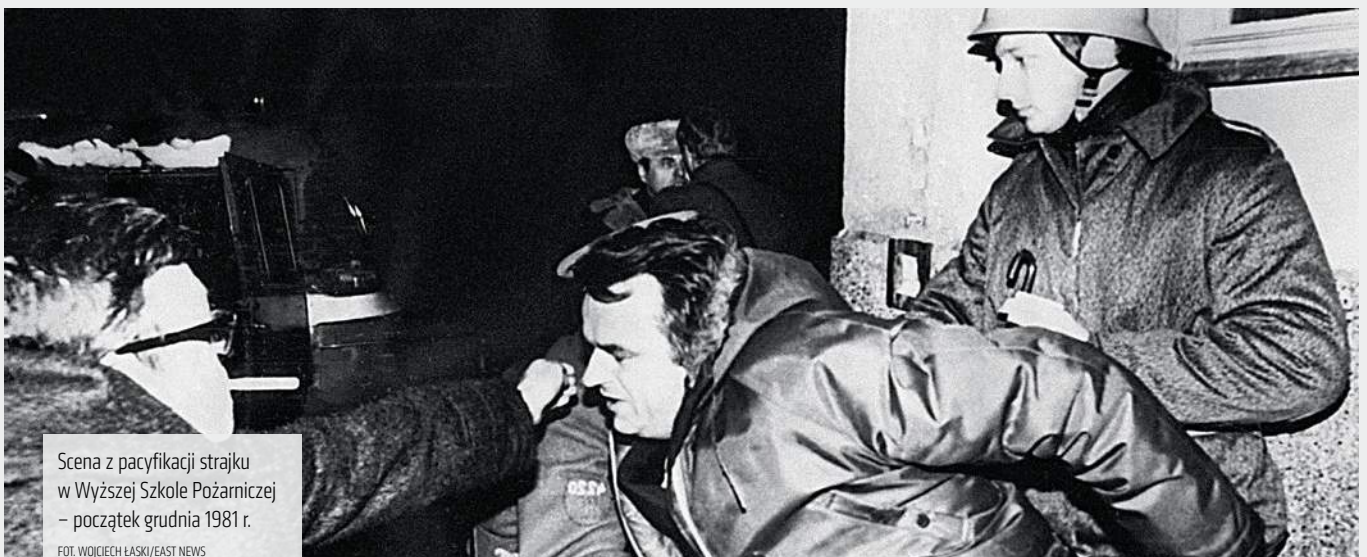


Manifestanci na pl. Zamkowym w Warszawie rozpędzeni przez ZOMO i zaatakowani z armatki wodnej FOT. AP/EAST NEWS



„Wstąp do ZOMO, wyjdiesz na ludzi” – humor dopisywał Polakom jak podczas okupacji

FOT. WOJCIECH ŁASKI/EAST NEWS



Scena z pacyfikacji strajku w Wyższej Szkole Pożarniczej – początek grudnia 1981 r.

FOT. WOJCIECH ŁASKI/EAST NEWS



Pułkownik Kukliński stoi obok gen. Jaruzelskiego podczas obrad sztabowych FOT. IPN

Kukliński – przed 13 grudnia



Sławomir Cenckiewicz

Administracja USA uznała, że najskuteczniejszą formą obrony Polski przed sowiecką interwencją będzie wprowadzenie stanu wojennego bez sowieckiego wsparcia. Ujawnione dokumenty amerykańskie potwierdzają tę smutną prawdę...

XVI

Od sierpnia 1980 r. płk Ryszard Kukliński zdawał sobie sprawę, że armia, a osobiście gen. Wojciech Jaruzelski i otaczająca go grupa wysokich oficerów (w której był też Kukliński) skupiona wokół sekretariatu Komitetu Obrony Kraju, to w zasadzie jedyny gwarant utrzymania sowieckiej dominacji nad Polską. Dzięki niemu Amerykanie na bieżąco analizowali „polski kryzys”,

odnotowując już we wrześniu 1980 r. szczególną aktywność wojskowych, którą wiązali z planami sowieckiej interwencji, a przynajmniej z formą nacisku Moskwy na I sekretarza KC PZPR Stanisława Kanię, by ten zdołał w kraju „zaprowadzić porządek”.

SPISKOWCY

Z chwilą włączenia Kuklińskiego w prace specjalnego sztabu partyjno-rządowego w końcu sierpnia 1980 r. było już oczywiste, że w rozgrywce z rodzącą się Solidarnością to LWP i minister obrony narodowej Jaruzelski odegrają rolę decydującą. Jako czołowy planista Zarządu I Sztabu Generalnego stał się w ten sposób jednym z najbliższych współpracowników Jaruzelskiego i otaczających go generałów, będących architektami przyszłego stanu wojennego: Floriana Siwickiego, Czesława Kiszczaka, Michała Janiszewskiego, Tadeusza Tuczapskiego i Jerzego Skalskiego. W opracowaniu dla CIA Kukliński pisał: „W lecie 1980 roku, w związku z kryzysem społecznym w Polsce tylko ja, obok I Sekretarza Komitetu Centralnego PZPR, niektórych członków Biura Politycznego i wąskiego kierownictwa Ministerstwa Obrony Narodowej, uczestniczyłem w sporządzaniu planów wprowadzenia stanu wojennego w Polsce. Dodatkowo brałem udział w przygotowaniach materiałów na odprawę w tej kwestii dla przywódców sowieckiego. Kiedy te plany się skryształizowały, mniej więcej od wiosny 1981 roku aż do mojego wyjazdu z Polski byłem szefem zespołu, który planował stan wojenny w Polsce”.

SOWIECI

Początkowo przygotowywano w Moskwie wariant interwencyjny, którego częścią miała być organizacja na terytorium Polski manewrów Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego o kryptonimie Sojuz '80 (ostatecznie odwołanych) pod dowództwem marszałka Kulikowa. „Bratnie armie” zaczęły się nawet przymierzać do interwencji na własną rękę, organizując ćwiczenia w strefie przygranicznej z PRL. Kukliński robił wszystko, by rozpoznać tę dramatyczną sytuację. Tak o tym zeznawał w 1997 r.: „Krytycznym momentem był koniec listopada i początek grudnia [1980 r.], kiedy Sowieci przygotowywali inwazję. 30 listopada rozmawiali z Jaruzelskim. Zarzucali mu brak zdecydowania w rozprawie [z Solidarnością], oddawanie

wszystkiego, tolerowanie kontrrewolucji i żądali zgody na wprowadzenie wielkich sił Układu Warszawskiego – 15 dywizji sowieckich, 2 dywizje czeskie i 1 dywizja niemiecka. I nakazali zamknięcie Wojska Polskiego w koszarach. To były najbardziej dramatyczne rozmowy Jaruzelskiego z Rosjanami. I ten człowiek to przeżył. Tak wyczerpany, że był kompletnie bez życia. [...] Dowiedziałem się tego samego dnia, że na polecenie Jaruzelskiego do Moskwy leci gen. Tadeusz Hupałowski, z-ca szefa Sztabu Generalnego, i płk Puchała [zastępca szefa Zarządu I Operacyjnego SG i szef Oddziału Gotowości Bojowej]. Jadą, ażeby uzyskać informacje o zamierzeniach sowieckich wprowadzenia sił inwazyjnych”.

Pełen obaw Kukliński raportował CIA, że wprawdzie „szefostwo Sztabu Generalnego docenia wagę zagrożenia”, ale jednocześnie „nie podjęło nawet najmniejszych kroków zmierzających do przeciwdziałania się zbrojnej interwencji ze strony ZSRS”. Ustalił też kulisy rozmów prowadzonych na ten temat w Moskwie, a nawet wielkość potencjału sił interwencyjnych (zawyżając aż do 15 dywizji siły sowieckie) oraz prawdopodobną datę inwazji. Raport, o którym opowiadał polskim prokuratorom w 1997 r., brzmiał następująco: „Na polecenie ministra obrony, Jaruzelskiego, gen. Hupałowski i płk Puchała zatwierdzili w siedzibie Sztabu Generalnego ZSRR plan wprowadzenia (pod pretekstem manewrów) oddziałów Armii Czerwonej, armii NRD i armii czechosłowackiej na terytorium Polski”.

PRESJA MOSKWY

Trzy dni później informacje o możliwości sowieckiej inwazji na Polskę przekazane przez Kuklińskiego decyzją prezydenta Cartera zostały w formie poufnych depesz przekazane władzom Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii.

Na krótko przed objęciem przez Jaruzelskiego stanowiska premiera rządu PRL (w lutym 1981) Moskwa ostatecznie zdecydowała: to właśnie LWP „udzieli swej partii i państwu, zagrożonym przez siły antysocjalistyczne i kontrrewolucyjne, odpowiedniej pomocy”. Zbędna więc będzie „bratnia interwencja” w Polsce, gdyż ludowa armia „sama da sobie radę”, stając się po raz kolejny wewnętrznym interwentem. „W oparciu o tę ocenę Moskwa pokładała szczególnie w Jaruzelskim, który zachował również tękę ministra obrony narodowej, zaś w październiku 1981 r.

został też I sekretarzem KC PZPR, największe nadzieje na »ponowne zaprowadzenie ładu« – twierdził Kukliński. Mimo takiego poparcia, które przybierało często formy zdecydowanej presji, Jaruzelski nieustannie się jednak wahał i aż do 13 grudnia 1981 r. prosił Moskwę o gwarancję militarnej pomocy, jeśli siły LWP same nie dadzą sobie rady z wewnętrzną „kontrrewolucją”.

Rozwój sytuacji w kraju, ostateczna rezygnacja Moskwy z interwencji w Polsce i ciągła presja Sowieców na „polskie kierownictwo”, by własnymi siłami poskromiło „kontrrewolucję”, sprawiły, że Zarząd I Operacyjny Sztabu Generalnego (a więc również płk Ryszard Kukliński) został włączony w decydującą fazę zakulisowych prac nad wprowadzeniem stanu wojennego, choć zapoczątkowano je w zasadzie już w październiku 1980 r. To właśnie spod ręki Kuklińskiego w lutym 1981 r. wyszedł jeden z pierwszych planów ramowych stanu wojennego zatytułowany „Informacja o stanie przygotowań państwa na wypadek konieczności wprowadzenia stanu wojennego i wnioski z gry decyzyjnej”, który zawierał ogólny zarys trybu przeprowadzenia operacji i udziału w niej poszczególnych ministerstw. Nic więc dziwnego, że z chwilą wdrożenia całej operacji wojennej przeciwko Solidarności Kukliński miał zostać szefem zespołu planowania obronnego w Sztabie Generalnym. Na razie jednak przygotowywał stan wojenny i – jak pisał później – zyskał unikatową „sposobność do oceny postawy Jaruzelskiego w kwestii rozwiązania kryzysu w Polsce”.

GRA

Kukliński obserwował z bliską grą Sowieców wokół Jaruzelskiego, który konsekwentnie dążył do pełni władzy państwowej i partyjnej. Domagał się też zwiększenia budżetu armii, a jednocześnie bał się konfrontacji ze społeczeństwem i sowieckiej presji. Wystraszony Jaruzelski słał Sowiecom do konsultacji kolejne partie dokumentów potwierdzających przygotowania do stanu wojennego. W tajemnicy spotykał się też z szefem KGB Jurijem Andropowem i marszałkiem Dmitrijem Ustinowem (choćby w nocy z 3 na 4 kwietnia 1981 r. w wagonie kolejowym koło Brześcia), a Sowieci wciąż strofowali go za złe pomysły (np. uważali, że konieczne będzie zawieszenie obowiązywania Konstytucji PRL). Krytykowali też za opieszałość i straszili organizacją kolejnych manewrów („So-

■ już '81" i „Zapad '81"). Kukliński zaś raportował o tym wszystkim CIA.

Kukliński stał się wówczas jednym z najlepiej poinformowanych ludzi w PRL. Regularnie uczestniczył w partyjnych i międzyresortowych naradach kierownictwa MON i MSW (z udziałem członków Komitetu Centralnego PZPR), poświęconych „ocenie działalności NSZZ »Solidarność«" i koncepcjom wprowadzenia w Polsce stanu wojennego. Współredagował wiele kluczowych dokumentów i znał treść wielu innych (także opracowanych w MSW), opisujących szczegóły supertajnej operacji dezintegracji, agenturalnej infiltracji i fizycznej rozprawy z Solidarnością, takich jak „Myśl przewodnia wprowadzenia na terytorium PRL stanu wojennego ze względu na bezpieczeństwo państwa", „Ocena aktualnej sytuacji wewnętrznej w kraju oraz hipotetyczny rozwój wydarzeń kryzysowych przed i po wprowadzeniu stanu wojennego", „Myśl przewodnia gry decyzyjnej organów partyjnych i rządowych PRL", „Centralny plan działania organów politycznych władzy i administracji państwowej", „Ramowy plan działania Sił Zbrojnych", „Plan udziału wojska w przeciwdziałaniu marszom protestacyjnym", „Informacja o stanie przygotowań państwa na wypadek konieczności wprowadzenia stanu wojennego oraz zasadniczych skutkach tego przedsięwzięcia" itd. Szef WSW gen. Edward Poradko nie miał wątpliwości, że szeroki zakres tajnej wiedzy pozwalał Kuklińskiemu „z dużym prawdopodobieństwem określić termin" wprowadzenia stanu wojennego.

SONDA CIA

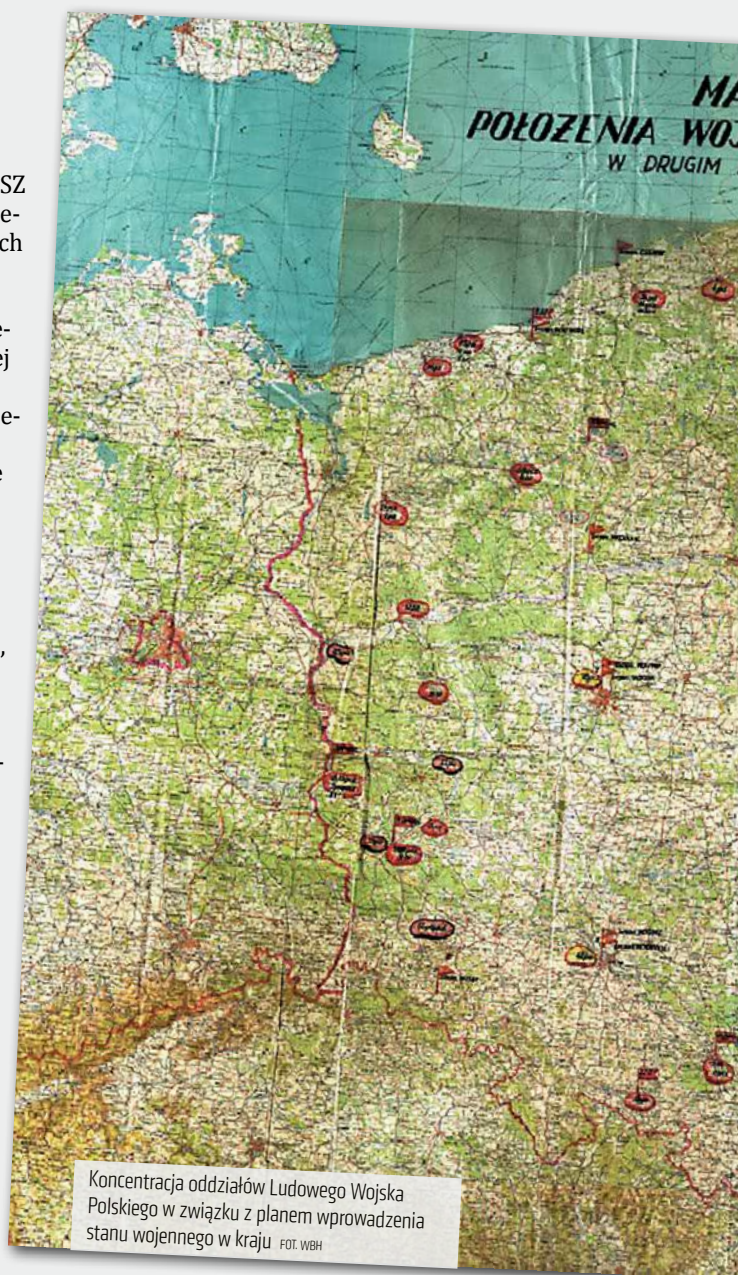
Bezpośredni udział w przygotowaniu operacji stanu wojennego i zniszczenia Solidarności uczynił z Kuklińskiego najważniejsze źródło wywiadu amerykańskiego, dostarczające bieżących informacji o „polskim kryzysie". Pewnie dlatego wielu przedstawicieli amerykańskiej administracji z okresu prezydentur Cartera i Reagana do dziś sądzi, że Kukliński był „najwyżej postawionym źródłem, jakie agencja [CIA] miała za żelazną kurtyną". Trudno rozsądzić, czy tak było w rzeczywistości i czy te opinie należy rozciągać na wszystkie obszary działalności szpiegowskiej Kuklińskiego. Być może to płytkie rozpoznanie przez CIA szeroko rozumianego sowieckiego sektora militarnego (nie tylko tajnych

służb, lecz także Sztabu Generalnego Armii Sowieckiej i ZSZ Układu Warszawskiego) uczyniło w oczach Amerykanów z Kuklińskiego kogoś zupełnie wyjątkowego. Tak przynajmniej zdają się sugerować czołowi politycy amerykańscy odpowiedzialni za narodowe bezpieczeństwo i tajne służby.

Prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa Zbigniew Brzeziński, który jako jeden z niewielu na bieżąco czytał raporty „Jacka Stronga", a nawet poznał personalia Kuklińskiego, powiedział kiedyś, że Kukliński „okazał się bardzo pożyteczny, pozwalając Stanom Zjednoczonym lepiej zrozumieć plany wojenne Układu Warszawskiego, radzieckie plany ataku na Europę Zachodnią – włącznie, nawiasem mówiąc, z mało znanym planem wykorzystania broni nuklearnej od pierwszego dnia ataku na Europę Zachodnią". Podobnie rzecz ujął Robert M. Gates, szef amerykańskiego wywiadu i sekretarz obrony, pisząc w swoich wspomnieniach, że Kukliński „był jednym z najważniejszych źródeł informacji CIA na temat armii sowieckiej w okresie zimnej wojny".

PERSPEKTYWA WASZYNGTONU

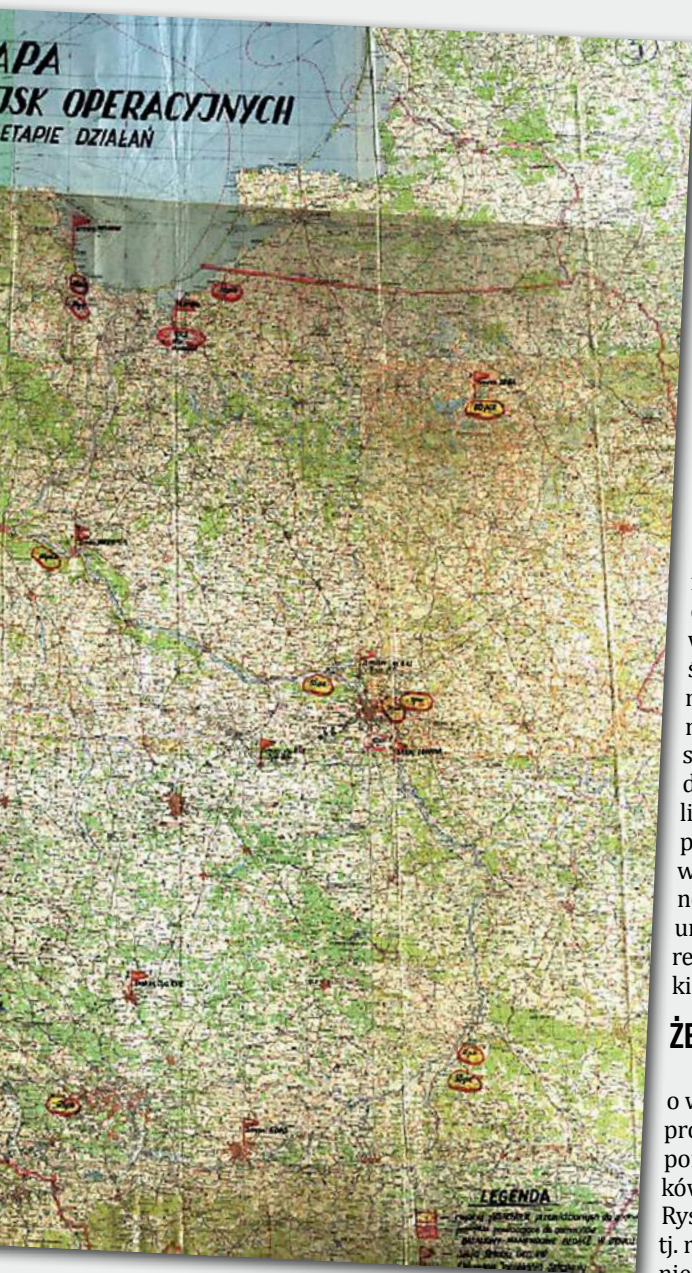
„Kryzys polski" był dla Waszyngtonu o tyle ważny, o ile Polsce groziła sowiecka i „sojusznicza" interwencja militarna. Imperatywem amerykańskiej polityki w latach 1980–1981 (i nie tylko) była zasada geopolitycznej stabilności i status quo w relacjach z Sowietami. Zawierała ona również koncepcję powstrzymania Moskwy od zbrojnej interwencji



Koncentracja oddziałów Ludowego Wojska Polskiego w związku z planem wprowadzenia stanu wojennego w kraju. FOT. WGB

w Polsce. Jednak administracja zarówno Cartera, jak i Reagana uznały wówczas, że najskuteczniejszą formą obrony Polski przed sowiecką interwencją będzie wprowadzenie stanu wojennego bez sowieckiego wsparcia. Niestety, ujawnione jakiś czas temu memoranda amerykańskiego Biura Wywiadu i Studiów Departamentu Stanu dla sekretarza stanu Edmunda Muskiego i Alexandra Haiga jedynie potwierdzają tę smutną prawdę. Świadczą też o sporej ignorancji w odniesieniu do polskich aspiracji wolnościowych i Solidarności.

Są także dowodem na dość cyniczne obchodzenie się Amerykanów z informacjami przekazywanymi na ten temat przez Kuklińskiego. W jednym z memorandumów, adresowanym do sekretarza



inwazję. Pod koniec marca wydawało się, że Polacy myślą o wprowadzeniu stanu wojennego, gdyby »Solidarność« zrealizowała groźbę ogólnokrajowego strajku. Rosjanie zdawali się przygotowywać do interwencji w ramach wsparcia, gdyby Polacy nie mogli lub nie chcieli opłacać sytuacji na własną rękę. Jednak ogłoszenie stanu wojennego w tym momencie byłoby czymś innym; stan wojenny miałby być środkiem na zapobieżenie niepokojom społecznym, pozbawiając tym samym Rosjan pretekstu do interwencji. Pozwoliłby również utrzymać polskie siły zbrojne w stanie podwyższonej gotowości bojowej, umożliwiając im szybszą reakcję w razie radzieckiego posunięcia”.

ŻELAZNE ZASADY BHP

W świetle powyższego o wiele łatwiej zrozumieć problem tak często eksponowany przez krytyków i przeciwników płk. Ryszarda Kuklińskiego, tj. rzekome ukrycie przez niego planów wprowadzenia stanu wojennego przed

Solidarnością. Abstrahując od intencji i kompetencji osób wygłaszających podobne sądy, należy stanowczo podkreślić, że lojalność wobec amerykańskiej służby wywiadowczej, względy bezpieczeństwa i żelazne zasady konspiracji wykluczały jakąkolwiek możliwość skontaktowania się Kuklińskiego z władzami Solidarności. Dysponentami wiedzy, którą „Jack Strong” przekazywał CIA, byli wyłącznie Amerykanie i waszyngtońska administracja rządu, która i tak opowiadała się za wprowadzeniem stanu wojennego jako skuteczną alternatywą dla sowieckiej interwencji [choćby w charakterze wsparcia dla ekipy tzw. Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego

(WRON) już po rozpoczęciu operacji stanu wojennego, o co zresztą prosił Sowieci sam Jaruzelski].

Podjęcie choćby najmniejszej próby nawiązania kontaktu z kimś z władz krajowych NSZZ „Solidarność” przekreśliłoby sens dziewięcioletniej misji wywiadowczej realizowanej przez Kuklińskiego zawsze w pojedynkę. Naraziłoby go także na niemal pewną dekonspirację. Poza tym sam ruch Solidarności był na tyle zinfiltrowany przez bezpiekę, pogrążony w walkach frakcyjnych i wewnętrznym chaosie, że trudno w ogóle wyobrazić sobie sytuację, by szukał on kontaktu z jakąś osobą mającą istotny wpływ na działalność związku. Nie wykluczone, że dodatkowo paraliżowało go „zdradzone przywództwo” uwikłanego w nieformalne związki z władzą i bezpieczeńką Lecha Wałęsy oraz jego doradców. W każdym razie z wielu tych okoliczności Kukliński zdawał sobie sprawę.

Warto również pamiętać o przykładzie kpt. Adama Hodysza z gdańskiej SB, który poinformował czołowych działaczy Solidarności o dacie wprowadzenia stanu wojennego – mimo przekazania tej informacji Wałęsie nie miała ona w zasadzie jakiegokolwiek znaczenia dla Solidarności ani bezpieczeństwa jej działaczy. Zresztą już wcześniej, w grudniu 1980 r., kiedy to Sowieci straszili Polskę „bratnią pomocą”, Zbigniew Brzeziński poprzez Jana Nowaka-Jeziorańskiego wysyłał działaczom Solidarności ostrzeżenia. Nie miały jednak większego znaczenia ze względu na powszechne wręcz poczucie przewagi Solidarności nad ignorowaną siłą obozu władzy PRL.

Jesienią 1981 r. okazało się zresztą, że to właśnie przedstawiciele waszyngtońskiej administracji, którzy nie byli w stanie politycznie spożytkować w całości dorobku bohaterskiej misji szpiegowskiej płk. Ryszarda Kuklińskiego, przez własną niefrasobliwość doprowadzili do jego dekonspiracji. Gdyby nie skuteczna ewakuacja z kraju, zakończyłaby się ona dla niego tragicznie. Zanim jednak wojskowa bezpieka zaostrzyła kontrolę Sztabu Generalnego i zaczęła Kuklińskiemu deptać po piętach, Amerykanie zdecydowali się na ewakuację z Polski swoich dwóch cennych agentów, również oficerów LWP. Jeden z nich okazał się protegowanym Kiszczaka, a drugi sąsiadem i bliskim kolegą „Jacka Stronga”. Było więc jasne, że niebawem przyjdzie też kolej na Kuklińskiego...

Haiga w dniu 15 czerwca 1981 r., tę szkodliwą dla Polski koncepcję polityki amerykańskiej wyłożono expressis verbis: „Pierwszym sposobem obrony Polski przed interwencją sowiecką byłaby próba zniechęcenia poprzez okazanie jedności narodowej, która sugerowałaby maksymalny opór. Polacy mogliby się uciec do ogłoszenia stanu wojennego i rozmieścić oddziały armii w kluczowych miejscach nie po to, by powstrzymać ruch robotniczy, lecz by zmaksymalizować czynnik odstrasżający, przygotowując się do obrony przez atak. W miarę narastania napięć Jaruzelski może dodatkowo ogłosić stan wyjątkowy lub jakiś wariant stanu wojennego, aby przygotować naród na groźącą sowiecką



E-PODPIS

BEZPIECZNY KROK W PRZYSZŁOŚĆ

- Od lat nieustannie poszukujemy innowacyjnych rozwiązań i dynamicznie dostosowujemy naszą ofertę do zmieniającego się świata usług cyfrowych.
- Centrum Usług Zaufania Sigillum jest naszą odpowiedzią na potrzeby nowoczesnego biznesu.
- Od 2002 roku Centrum oferuje e-podpis wszystkim, którzy cenią swój czas, bezpieczeństwo i wygodę pracy.
- Podpis elektroniczny jest wykorzystywany w kontaktach z administracją publiczną i w relacjach biznesowych, m.in. do zdalnego zawierania umów cywilno-prawnych, udziału w przetargach, elektronicznego obiegu faktur, uwierzytelniania i szyfrowania korespondencji.

Twoje trzy kroki w przyszłość:

1. Wejdź na stronę sigillum.pl i zarejestruj się.
2. Umów się na wizytę z inspektorem i potwierdź swoją tożsamość.
3. Zaczynaj korzystać z e-podpisu.



Minimum formalności
Bezpieczeństwo i wygoda
Zaufany i doświadczony dostawca



Brawo my!

Dawniej złu stawiali czoła rycerze Okrągłego Stołu. Dzisiaj ludzkość może liczyć aż na dwie ekipy herosów. W skład pierwszej, walczącej w barwach Marvela, wchodzi m.in. Iron Man, Hulk i Kapitan Ameryka. Pod sztandarem DC Comics produkują się zaś tacy superbohaterowie jak Batman, Superman i Flash. Być może, w obliczu ostateczności, zjednoczą siły, na razie jednak w temacie walki o ocalenie świata przed zagładą panuje ostra rywalizacja. Chwilowo górą jest Marvel, bo wcześniej odkrył pozytywki płynące z autoironii oraz działania zespołowego. DC dopiero się rozkręca. W „Lidze Sprawiedliwości” fabuła jest zwichro-

wana, efekty specjalne rażą sztucznością, a zło, czające się na peryferiach cywilizowanego świata (czyli w Rosji), przybrało groteskową postać brzydala z toporkiem. Wyrażane z ekranu obawy o finał zmagania ze Steppenwolfem trąca kokieterią.



★★★★★
REŻ. ZACK SNYDER
„LIGA SPRAWIEDLIWOŚCI”
(„JUSTICE LEAGUE”)
USA 2017

wyst. Ben Affleck,
Gal Gadot, Ezra
Miller, Jason Momoa

Zagrożeniem nie są też „reakyjni terroryści”. W pojedynkę skopie im tyłki Wonder Woman. Ma najwięcej charyzmy, co skutkuje propozycją objęcia przywództwa Ligi. W ogóle film jest najlepszy, gdy koleżeństwo zamiast głądzić o etyce, próbuje ustalić zasady współżycia i kolejność dziobania. Są w tym arcyłudzcy, co dobrze wróży na przyszłość. ©©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „HOMEWORLD: DESERTS OF KHARAK”

Gdy w 1999 r. światło dzienne ujrzała pierwsza odsłona „Homeworld”, RTS-y nie były już takie same. Bezkręgosłupa, spójna fabuła, pełne 3D i bitwy na epicką skalę – to kilka z elementów składowych produkcji, przekładających się na niezliczone nagrody branżowe. Może ze względu na przyzwyczaje-

nie do „kosmicznego” charakteru serii z lekkimi obawami przywołujemy „Deserts of Kharak”, które sprawdzą nas na ziemi. A dokładniej na pustynną i obumierającą planetę Kharak, 106 lat przed wydarzeniami z oryginalnego „Homeworld”. Obawy były nad wyrost – klimat, historia,



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wojenna zawierucha – to wszystko urzeka nadal. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** RTS
- **Platforma:** PC
- **Producent, dystrybutor:** Blackbird/Techland
- **Klasyfikacja wiekowa PEGI:** 7+

TATO JAK MARZENIE

Francuska wersja meksykańskiego przeboju sprzed kilku lat. Beztroskiego kobieciana odwiedza nie spodziewanie jedna z dawnych kochanek i pozostawia mu niemowlę. W pogoni za wyrodną matką Samuel trafia do Londynu, gdzie zrzędzeniem losu zostanie na dłużej, robiąc karierę jako kaskader i opiekując się córką. Do momentu, aż po latach matka nie powróci, roszcząc sobie prawa do dziecka. Meksykańska wersja była komedią z niespodziewaną dramatyczną puentą, w wersji francuskiej akcenty rozłożono nieco równomierniej, choć historia pozostaje ta sama. Wiele rzeczy wydaje się naciąganych, ale bądźmy wyrozumiali: to po prostu bajka o najlepszym tacie na świecie i wielkie marzenie o tym, byśmy szybko i łatwo potrafili zmieniać się na lepsze. Mimo parady niedorzeczności film ogląda się dobrze, głównie dzięki charyzmatycznemu i zabawnemu Omarowi Sy w roli głównej. Świetnie wypada też mała Gloria Colston w roli córki. ©©



★★★★★
REŻ. HUGO GÉLIN
„JUTRO BĘDZIEMY SZCZĘŚLIWI”
(„DEMAIN TOUT COMMENCE”)
FRANCJA 2016,
MONOLITH

wyst. Omar Sy, Clémence Poésy,
Antoine Bertrand

CHŁOPAK Z SĄSIEDZTWA

Spider-Man zalicza trzeci start w ciągu 15 lat. Teraz w roli głównej widzimy Toma Hollanda, który pojawił się już gościnnie w filmie „Kapitan Ameryka: Wojna bohaterów”, a teraz dostał własny film (pierwszy z kilku planowanych) wmontowany w uniwersum kinowe Marvela. „Homecoming” to zdecydowanie film dla



★★★★★
REŻ. JON WATTS
„SPIDER-MAN: HOMECOMING”
USA 2017,
IMPERIAL

wyst. Tom Holland, Michael Keaton,
Robert Downey Jr.

dzieciaków. Spider-Man jest tu zaledwie 14-latką i ma typowe dla swego wieku problemy: pierwsza dziewczyna, szkolni prześladowcy, nadmiar ambicji i niedostatek cierpliwości. Szczęście w nieszczęściu, że nie jest to kolejna opowieść o ratowaniu świata – przeciwnikiem Spider-Mana jest grany przez Michaela Keatona złodziej, który wykrada z magazynów rządowych pozaziemskie technologie, żeby zarabiać na ich sprzedaży przestępcom. Keaton jest świetny, reszta filmu – średnia. Przesłanie głupie – że kapitaliści są najgorsi. Jednak sfilm zarobił prawie 900 mln dol. ©© **recenzuje Piotr Gociak**

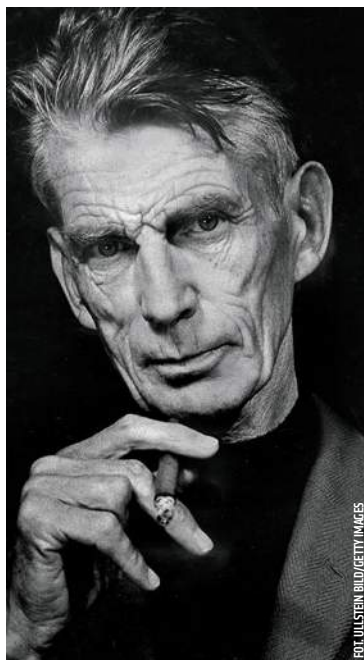
KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Mówimy Beckett, a w domyśle Libera

Siedem lat temu w Państwowym Instytucie Wydawniczym ukazał się jednatomowy wybór utworów Samuela Becketta w przekładzie Antoniego Libery, od jednej prozy sławnego Irlandczyka, noblisty z 1969 r., zatytułowany „No właśnie co”. Wyborowi temu towarzyszyła krótka rozmowa, jaką z twórcą tego wyboru przeprowadził Sebastian Duda, filozof i teolog związany z Katolickim Uniwersytetem w Lowanium w Belgii. Na jego, nawiązujące do dorobku autora „Czekając na Godota”, pytanie: „Czy w świecie nieuchronnie zepsutym, w kolistości wiecznego powrotu objawia się jakaś wolność?”, Antoni Libera odparł:

„Sądzę, że tak, aczkolwiek nie umiem powiedzieć, na czym by miała ona polegać i na czym się zasadzać. Nie wiem, czym jest akt wolnej woli, stwierdzam jednak, że coś takiego istnieje. Zresztą nawet fizycy skłaniają się ku temu, stwierdzając, że w pewnych warunkach nie da się przewidzieć, w którą stronę podąży mikrocząsteczka – »w prawo« czy »w lewo«. Inaczej mówiąc, że świat nie jest w pełni zdeterminowany. Beckett interesował się niegdyś tą sprawą w sposób szczególny – z powodów osobistych. W 1937 r., gdy późnym wieczorem wracał w Paryżu do domu, ni stąd, ni zowąd został zaatakowany przez kłozarda i poważnie zraniony przez niego nożem (ostrze trafiło w płuco, tuż obok serca). Kłozard trafił do więzienia, a pisarz do szpitala, gdzie głównie trafił go powód napaści. Kiedy wyzdrowiał, postanowił dowiedzieć się tego z pierwszej ręki. Z niemałym trudem odnalazł kłozarda w więzieniu, uzyskał zgodę na widzenie i wreszcie spotkał



FOT. ULLSTEIN BILD/CITY IMAGES

się z nim. Oświadczył na wstępie, że nie żywi do niego urazy, ale chciałby wiedzieć, dlaczego tamten to zrobił. Kłozard po długim milczeniu odrzekł: »Ba! Żebym to ja wiedział!«.

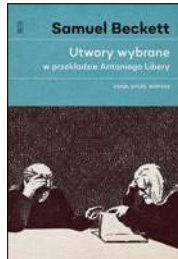
Gdyby jednak ktoś był ciekawy, dlaczego Antoni Libera niemal całe swoje twórcze życie poświęcił dramatom oraz prozie jednego, choćby i najwybitniejszego pisarza, znalazłby na to pytanie odpowiedź w świetnej książce „Godot i jego cień”, autoironicznej i przenikliwej historii pewnego olśnienia, które swój początek miało – a gdzie by indziej! – w teatrze, dokładnie w Teatrze Współczesnym w Warszawie, gdzie pewne dziecko, bo dzieckiem był wtedy Libera, po raz pierwszy ujrzało na scenie sławny spektakl „Czekając na Godota”. Reżyserował go Jerzy Kreczmar, a grali w nim Tadeusz Fijewski, Józef Kondrat, Jerzy Koecher i Adam Mularczyk.

Oraz, oczywiście, Dziecko, którym najbardziej był zainteresowany dzisiejszy autor potężnego, dwutomowego wyboru dzieł Samuela Becketta, wydane znów w tym samym Państwowym Instytucie Wydawniczym. Znajdziemy tu 20 dramatów, dwa razy więcej niż w „No właśnie co”, i 17 utworów prozatorskich w stosunku do 10 z tamtej edycji. Drugi tom wyboru, m.in. ze sławną powieścią „Molloy”, uzupełniają eseje i wiersze autora „Ostatniej taśmy”.

Pamiętają, państwo, bohatera tego dramatu – Krappa? Tego, jak pisał Antoni Libera, „dumnego maksymalisty, który zbrzydzone życiem – wszechobecnym chaosem i nieustanną ułudą – zbuntował się przeciw niemu i wyrzekł prawie wszystkiego, by w ciszy i samotności drążyć samego siebie i dotrzeć w ten sposób do czegoś, co byłoby wreszcie trwałe, niepodważalne, pewne – do rdzenia egzystencji, twardej pestki istnienia – i by ją z siebie wydobyć w postaci dzieła sztuki”. I jego klęskę – „fiasko zuchwałej próby”.

Antoni Libera może mówić o wielkim szczęściu, że swoją życiową pasję i powołanie odkrył tak wcześnie, że ze swoim – prozę wybaczyć tę wyświechtaną nazwę – idolem dane mu było się spotkać, że mógł osobiście poznać Samuela Becketta w Paryżu w 1978 r. (noblista zmarł w roku 1989), że otrzymywał od niego wskazówki i wyjaśnienia interpretacyjne, pomocne w reżyserowaniu sztuk mistrza, a czynił to wielokrotnie w Polsce, a także w Wielkiej Brytanii, Irlandii i Stanach Zjednoczonych.

To prawda, był i jest Antoni Libera cieniem Samuela Becketta. Jednak to wyłącznie powód do dumy. ©©



★★★★★
SAMUEL BECKETT
„UTWORY
WYBRANE
W PRZEKŁADZIE
ANTONIEGO
LIBERY”, T. 1-2
PAŃSTWOWY
INSTYTUT
WYDAWNICZY
2017



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Słowiański patos plus tango

Dziwna to książka. Mnóstwo w niej wiedzy o historii jednego z najsłynniejszych polskich zespołów, smacznych szczegółów i zapomnianych anegdot. A jednocześnie jest to pozycja napisana pod hasłem: „Byle nikomu się nie narazić”, co ładnie oddaje zdanie z początku rozdziału o gitarzyście Marku Radulim: „Będziemy opowiadać szczerze, choć – siłą rzeczy – kładąc nacisk na to, co było dobre, a nie ciemne”.

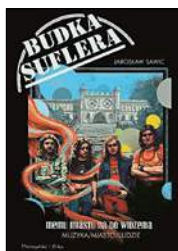
Obszerna i pięknie ilustrowana monografia „Memu miastu na do widzenia” jest bowiem pozycją autoryzowaną i powstałą z inspiracji menedżera grupy. Ze wszystkimi plusami i minusami, jakie niesie ze sobą to rozwiązanie. Z jednej strony dostęp do prywatnych archiwów, ułatwiony dostęp do dawnych i obecnych przyjaciół zespołu. Z drugiej – ominięcie tego, co kontrowersyjne, i odstępianie od opukiwania spraw, o których liderzy zespołu mówić nie chcą. Tak jest np. z rodzinną przeszłością kompozytora Romualda Lipki. Kiedy dochodzimy do niego, autor komunikuje, że „bohater rozdziału chce pozostawić pewne obszary swej biografii intymnie... anonimowe”. I tyle.

Na szczęście i tak czyta się całą tę historię świetnie, a w innych miejscach szczeroci nie brakuje, jak choćby przy

rozpatrywaniu, dlaczego wielka sesja nagraniowa w Kalifornii z udziałem Marcusa Millera zakończyła się artystycznym fiaskiem płyty „Jest”. Dla młodszych słuchaczy kojarzących Budkę jedynie z radiowymi przebojami typu „Takie tango” szokiem będzie odkrywanie innej twarzy zespołu, bluesowo-rockowych korzeni, monumentalnych brzmień z lat 70. Inni będą kręcić ze zdumieniem głową nad tym, jak wielką jednoosobową fabryką przebojów był Lipko, który pisał dla Anny Jantar, Izabeli Trojanowskiej, Urszuli i mrowia innych wykonawców.

Nie było drugiego takiego zespołu w dziejach polskiego rocka. I pewnie nie będzie. Holenderska prasa podziwiała ich za „słowiański patos”, porażona potężnym głosem Krzysztofa Cugowskiego. Amerykański recenzent „New York Timesa” kręcił nosem, że zespół gra „napuszonego rocka”, a „wokalista wygląda trochę jak Meatloaf”.

Dla sowieckiej publiczności stanowili coś pośredniego między „zgniłym” Zachodem a „zdrowym” socjalistycznym społeczeństwem. A ja, teraz mogę to przyznać, jako 13-latek zrezygnowałem z trzech obiadów stołowych, żeby zaoszczędzone pieniądze wydać na album „Za ostatni grosz”. Nie żałuję. ©



★★★★★
JAROSŁAW SAWIC
„BUDKA SUFLERA. MEMU MIASTU NA DO WIDZENIA”
PRÓSZYŃSKI I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE

Zbiór krótkich form mistrza w wyborze jego syna, Tomasa. Tytułowe opowiadanie to zapomniana proza z 1947 r., tom zamyka mało znany drobiazg „Czarne i białe”. A pomiędzy nimi 18 znanych i klasycznych już tekstów.



STANISŁAW LEM
„OGRÓD CIEMNOŚCI”
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Autor gawędziarskich książek z serii „Bieszczady w PRL-u” tym razem bardziej poważnie i bardziej boleśnie – o stalinowskich wysiedleniach znad Bugu i z Bieszczadów. Rok 1951 i zlecone przez dyktatora „poprawianie granicy”.



KRZYSZTOF POTACZAŁA
„TO NIE JEST MIEJSCE DO ŻYCIA”
PRÓSZYŃSKI I S-KA

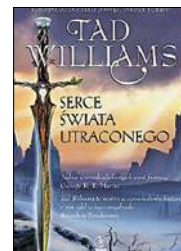
Pięta powieść z serii o Benym Griesselu. Jak zwykle u Meyera świetne połączenie kryminału i opowieści o współczesnej RPA. A zaczyna się od zagadkowej śmierci właściciela popularnego serwisu internetowego.



DEON MEYER
„IKAR”
SONIA DRAGA

Po niemal ćwierćwieczu autor wraca do krainy Osten Ard, czyli kontynuuje swoje największe dzieło: cykl fantasy „Pamięć, smutek i cień”. Nowy, czwarty tom nie będzie ostatni, w zapowiedziach jest już kolejny. Klasyka. ©

poleca Piotr Gociek



TAD WILLIAMS
„SERCE ŚWIATA UTRACONEGO”
REBIS

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- Camilla Läckberg, „Czarownica” (Czarna Owca)** – 10. tom cyklu kryminałów, którego bohaterami są Erika Falck i Patrik Hedström.
- Dan Brown, „Początek” (Sonia Draga)** – piąta powieść serii o Robercie Langdonie, której najbardziej znaną częścią był „Kod Leonarda da Vinci”.
- Regina Brett, „Kochaj” (Insignis)** – nowa książka autorki m.in. bestsellerów „Bóg nigdy nie mruga” i „Jesteś cudem”. Poradnik krzepiący i motywacyjny.
- Zygmunt Miłoszewski, „Jak zawsze” (WAB)** – skrzyżowanie political fiction i romansu, niestety poniżej poziomu cyklu o komisarzu Szackim.
- Carlos Ruiz Zafón, „Labirynt duchów” (Muza)** – nowa powieść autora bestsellera „Cień wiatru”, zamknięcie cyklu „Cmentarz Zapomnianych Książek”.

(Najchętniej kupowane książki w sieci Empik od 30 października do 12 listopada 2017 r.)



JAN POSPESZALSKI

KONTRA/BASEM

Jazzmani,
wara od szkół

Absolwenci wyższych szkół muzycznych na kierunkach jazzowych nie będą mogli uczyć w szkołach muzycznych. Nowa interpretacja ministerialnych regulacji uderza nie tylko w jazzmanów, lecz także w tych, którzy ukończyli kierunek muzyki dawnej, a nawet wychowania muzycznego.

To dyskryminacja i absurd, piszą na profilach społecznościowych muzycy.

Wymowny jest przypadek perkusisty Bartka Staromiejskiego. Absolwent podstawowej szkoły muzycznej w klasie fortepianu wybrał w szkole średniej perkusję. Po ukończeniu szkoły średniej dostał się do Akademii Muzycznej w Katowicach na najbardziej pre-

stizowy wydział: Jazzu i Muzyki Rozrywkowej. Po dyplomie podjął pracę jako nauczyciel w szkole muzycznej I stopnia w Jabłonce na Orawie.

– To nie ja szukałem pracy – mówi Bartek. – Gram z wieloma artystami, m.in. z Moniką Kuszyńską, Markiem Bałatą, Milagros Abreu, Madame Jean Pierre, z Fabryką Zabawek. To dyrekcja zabiegała, aby mnie zatrudnić, więc od czterech lat uczę tam perkusji, dojeżdżając 100 km. W sierpniu Centrum Edukacji Artystycznej zakwestionowało moje kwalifikacje. Nie ma to nic wspólnego z realnymi kompetencjami, z oceną jakości pracy ani z moimi dydaktycznymi osiągnięciami. Tracą również prawa absol-

wenci kierunków instrumentów dawnych, a absolwenci edukacji artystycznej nie będą mogli uczyć teorii. Mimo wcześniej uzyskanych potwierdzeń z MKiDN blokowane są teraz awanse zawodowe, czyli egzaminy na nauczyciela mianowanego, dyplomowanego. Najgorsze jest to, że nagle zostają nam odebrane prawa, bez żadnej możliwości ewentualnego nadrobienia rzekomych braków – mówi muzyk.

Stanowisko Departamentu Edukacji Artystycznej spotkało się jednak z poparciem części przedstawicieli szkół i uczelni. Jak poinformowano mnie w MKiDN, przedstawiciele resortu widzą problem, więc sprawa jest szeroko konsultowana. ©©



Perkusista Bartek Staromiejski po dyplomie podjął pracę jako nauczyciel w szkole muzycznej I stopnia. FOT. SZYMON KAMYKOWSKI

GRZEGORZ
BRZOWICZ

NA SŁUCH

Najważniejsze
czy najpopularniejsze?

Monumentalna, 700-stronicowa praca z podtytułem: „200 najważniejszych utworów polskiego rocka”.

Autorzy omawiają ze znanstwem każdy z nich, cytują wypowiedzi twórców, sypią anegdotami, dzięki czemu czyta się książkę wyśmienicie. Dodatkowo opisują słowa klucze z tekstów, przedstawiają wydawnictwa, na których nagrano dany utwór, oraz wyliczają wersje coverowe.

Wybrane piosenki w większości były przebojami i mają charakter poprockowy. Jeśli zatem Maryla Rodowicz (0 piosenek) jest mało rockowa, to czy Czerwone Gitary (6 utworów) są mniej od niej popo-

wi? Kolejne pytania nasuwają się same. Jeśli bowiem w podtytule jest „najważniejsze”, to dlaczego są tylko dwie piosenki Grechuty, po jednej Bartosiewicza, Kukiza i Pidzamy Porno? Nie ma nic Świątlickiego, Kleyffa i Maleńczuka (nie liczę marginalnego utworu Püdelców). W wielu przypadkach nie ten utwór powinien reprezentować danego twórcę. W podtytule powinno zatem widnieć „najpopularniejsze”, a nie „najważniejsze”. Zaledwie 10 proc. omówionych utworów pochodzi z XXI w. Połowa piosenek jest autorstwa artystów z długim stażem (m.in. Lady Pank, TSA, Voo Voo). Panowie, polski rock to nie tylko Lista Przebojów Trójki! ©©

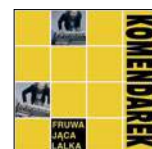


★★★★★
JAN SKARADZIŃSKI,
KONRAD
WOJCIECHOWSKI
„PIOSENKA MUSI
POSIADAĆ TEKST.
I MUZYKĘ”
IN ROCK



★★★★★
KRZYSZTOF
KRAWCZYK
„WIECZNIE MŁODY
– PIOSENKI BOBA
DYLANA”
SONY

Po Cohenie Krawczyk śpiewa Dylana. Zawodzi jak to on, aranżacje są bluesowo-rockowe, pojawia się Poznański Chór Chłopięcy, a całość idealnie pasuje do Mrągowa. Najciekawsze są tłumaczenia Daniela Wyszogrodzkiego. Inne niż Łobodzińskiego. ©©



★★★★★
WŁADYSŁAW
KOMENDAREK
„HIBERNACJA NR 1”,
„FRUWAJĄCA LALA”
GAD

Dwa albumy wirtuozów klawiatur z początku lat 90. Na pierwszym wykorzystując samplery, penetruje brzmienia choćby brytyjskiego Art Of Noise. Na drugim jest bardziej „progresywny” i wkracza nawet do świata muzyki ambientnej. ©©

LAKE HILL
RESORT & SPA

ZAINWESTUJ W APARTAMENT
**Z WIDOKIEM NA JEZIORO
W SERCU KARKONOSZY**



TERMIN REALIZACJI **LIPIEC 2018**

8%

stopa zwrotu

10 lat

umowa najmu
z operatorem

30 lat

doświadczenia
operatora



widok na góry
i jezioro



wykończenie
i wyposażenie w cenie



22 299 11 55

sprzedaz@lakehill.pl

www.lakehill.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu art. 66 § 1 Kodeksu cywilnego.



Piotr Gociek

„Analfabet III RP” – moja nowa książka – traktuje nie tylko o polityce. Dzisiaj w „Do Rzeczy” spojrzenie na obóz rządzący przy okazji półmetka tej kadencji Zjednoczonej Prawicy

A DLACZEGO ANALFABET

Bo zwykły alfabet do niczego w Polsce nie pasuje. Za dużo rzeczy jest u nas na opak.

Pomyślcie sami. Komunista Leszek Miller obniżał podatki i był o krok od wprowadzenia podatku liniowego. Thatcherowski (podobno) liberał Donald Tusk podatki podnosił i ogłosił, że serce ma po lewej stronie. Hanna Gronkiewicz-Waltz, działaczka Ruchu Odnowy w Duchu Świętym, jako prezydent Warszawy wyrzuciła z pracy lekarza, który nie chciał zabijać dzieci nienarodzonych. Rząd głoszący potrzebę repolonizacji sektora bankowego, a stworzony przez koalicję pravicową pod patronatem Jarosława Kaczyńskiego, sprowadził do Polski amerykański bank JP Morgan. Największy nadwiślański wróg Unii Europejskiej – Janusz Korwin-Mikke – w przerwach głoszenia, że UE jest gorsza od islamistów, pobiera sute pensje jako poseł do Parlamentu Europejskiego. Czy coś tutaj jest zwyczajne?

ADAMCZYK ANDRZEJ

Minister, który lubuje się w bardzo długich odpowiedziach na krótkie pytania. Jest patriotą gospodarczym, bo swoje skórzane czarne teczki kupuje u polskiego rzemieślnika w Krakowie.

Robi w infrastrukturze i budownictwie. Z powodu tej pierwszej jego stanowisko jest obiektem ciągłych podchodów ze strony konkurencyjnych grup wpływu w rządzie, bo dzieli się tam gigantyczne pieniądze na drogi, koleje itd. Nieustannie powracają też plotki, że infrastrukturę trzeba oddać pod kontrolę Ministerstwa Rozwoju, czyli nadpremiera Mateusza



Analfabet

Morawieckiego. Który włączyłby te wszystkie drogowe miliardy do swojej strategii odpowiedzialnego rozwoju.

Budownictwo wzbudzało do niedawna mniejsze emocje, ale stało się niezwykle ważne, bo to tam ma wyrosnąć nowy sukces rządu, czyli „Mieszkanie Plus”. Sukces rośnie powoli, a Kaczor-Dyktator chciałby, żeby rosło szybciej. Ponadto wiewiórki z Nowogrodzkiej opowiadają, że prezes ceni Adamczyka, bo uważa go za jednego z niewielu kumatych ludzi w rządzie. I bądź tu mądry.

ANTYSYSTEMOWCY

Dobra zmiana ma przeciw sobie nie tylko Eine Totalopposition, lecz także tych, którzy wykrzykują „PiS-PO – jedno zło!”, czyli antysystemowców. Kiedyś mówiło się na takich „opozycja antyustrojowa”.

Dzisiejsi kontestatorzy nie mówią o obaleniu ustroju, tylko systemu. Słusznie, ponieważ nie wiadomo, jaki właściwie w Polsce panuje ustrój, więc nie wiadomo byłoby, jak go obalać. Antysystemowcy mają jednak kłopot. Żeby naprawić system, muszą działać wewnątrz systemu, no, chyba żeby postanowili po prostu podkładać bomby i prowadzić partyzantkę w Górach Świętokrzyskich, ewentualnie guerillę w pubach Warszawy, tak jak kawiorowa lewica.

Życie antysystemowca często kończy się w ławach rządowych, wtedy dawny kontestator zamienia się w konserwatora. Sprawy toczą się wówczas wedle słów z piosenki Jonasza Kofty: „Czy świat się wiele zmieni, gdy z młodych gniewnych wyrosną starzy wkurwieni?”

BLASZCZAK MARIUSZ

Pewnego razu zdarzyło mi się prowadzić „Sygnały Dnia” w stanie poważnego zaziębienia, czego irytującym dowodem były napady suchego kaszlu. Traf chciał, że tego dnia gościem radiowej Jedynki był minister Błaszczak. Po dwóch czy trzech pytaniach zacząłem się dusić. Żeby nie kaszleć w mikrofon, wstałem szybko z fotela i poszedłem do kąta studia, poza zasięg kamer, gdzie przez dłuższy czas rzeźbiłem w kułak.

W tym czasie Mariusz Błaszczak kontynuował odpowiedź na pytanie, które zdążyłem zadać przed atakiem. Odpowiadał tak i odpowiadał, a kiedy zauważył, że umieram w pozycji stojącej, sam zadał sobie jakąś pokrewną kwestię do



rozważenia i odpowiadał tak, odpowiadał, aż pół czasu na wywiad minęło, a ja opanowałem odruchy kaszlowe na tyle, że byłem w stanie wrócić na swoje miejsce i zduszonym, zachrypłym głosem zadać kolejne pytanie.

Na korzyść Błaszczaka przemawia także to, że nawet „Misio” Kamiński nie był w stanie powiedzieć o nim złego słowa, układając swój alfabet ludzi PiS-owskich w książce „Koniec PiS-u”, a jak wiadomo, „Misio” potrafi mówić złe rzeczy o każdym i z dowolnego powodu. Jednak życie to nie bajka – w imieniu naszych licznych wiewiórek muszę skierować do ministra Błaszczaka petycję, by bardzo uważnie przyglądał się sytuacji w policji, gdzie starzy wyjadacze owinęli sobie wokół palca wiceministra Zielińskiego. A szczególnie uważnie powinien przyjrzeć się stołecznej komendzie, gdzie działa wielki fanklub Hanki Gronkiewicz-Waltz.

DOBRA ZMIANA

Ludzie nie lubią zmian, bo bardziej boją się stracić to, co mają, niż zyskać to, co zyskać by mogli. Sztab wyborczy Zjednoczonej Prawicy musiał wziąć się z tym problemem za bary w roku 2015, gdy nadchodziły wybory parlamentarne. Z jednej strony wyniki wyborów prezydenckich (i przebieg kampanii) pokazywały, że zwolennicy zmian stanowią wśród wyborców większość. Z drugiej – wszelkie badania przeprowadzane na użytek sztabu

dobrej zmiany

pokazywały, że ludzie alergicznie reagują na słowo „zmiana”.

Stąd wzięło się rozwiązanie w postaci hasła „dobra zmiana”. Chodziło o upewnienie głosujących, że gorzej nie będzie. Właściwy pomysł i żelazna konsekwencja przyniosły skutek, złowrogie słowo „zmiana” udało się opakować tak, by stało się akceptowalne.

Z hasłem jest jednak pewien kłopot. Jak właściwie je kontynuować? W kolejnych wyborach będzie „jeszcze bardziej dobra zmiana”? Slogan łatwo też obrócić przeciw jego autorom. Wystarczy wypisać na sztandarach: „Zamiast dobrej zmiany potrzebna jest zmiana na lepsze”. Na szczęście się tak nie zdarzy, bo niniejszym informuję o moim autorstwie tego sloganu i przestrzegam, że kto po niego sięgnie, ten będzie ścigany sędawnie. Szczególnie PO.

GOWIN JAROSŁAW – długi marsz

Poradził sobie lepiej niż inni skazani w PO na banicję lub sami wybierający wygnanie. Jest wicepremierem oraz ministrem nauki i szkolnictwa wyższego, a jego ugrupowanie wchodzi w skład koalicji rządzącej.

Dzieje inicjatywy Gowina pokazały, że polityka wciąż jest ważniejsza od polityków. Pojedyncze frondy, nawet głośnie, są przedsięwzięciami ryzykownymi i ci, którzy się na nie decydowali, zwykle słono za to płacili. Pojedynczy bohaterowie



transferów sławni są bowiem jedynie przez chwilę i przez chwilę tylko potrzebni, jako wizerunkowy sukces kupującego. Potem zaczynają się kłopoty. Ciężko się pracuje z łatką farbowanego lisa, bez politycznych przyjaciół, bez własnego zaplecza w partii. Lepiej mieć więc własną partię i coś do utargowania.

KEMPA BEATA – zwana też Saską Kempą

Do mojego analfabetu zakwalifikowała się rzutem na taśmę dzięki temu, że udała się jej rzecz wyjątkowa – jest jedynym gościem, po którego wizycie w „Sygnałach Dnia” odbieraliśmy telefony od zdziwionych słuchaczy, którzy pytali, dlaczego pani minister krzyczała na pana redaktora Goćka i nie pozwalała mu dojść do głosu.



Jej droga do kancelarii Szydło była długa i kręta, bo wiodła przez Solidarną Polskę. W czasach, gdy ta partia pozycjonowała się w ostrej kontrze do ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego, Kempa nosiła się z zamiarem napisania książki o swoich trudnych latach w PiS – o tym, jak ciężko tam mają porządni ludzie i jakie autokratyczne jest przywództwo, takie tam. Niestety, książka nie powstała, co smuci mnie z dwóch powodów. Po pierwsze, uwielbiam thrillery. Po drugie, ciekawy byłby wpływ takiej publikacji na późniejsze szanse ministerialne Kempy w obozie Zjednoczonej Prawicy, do której przecież Solidarna Polska w końcu wróciła.

KACZYŃSKI JAROSŁAW – najważniejszy polityk III RP

Można się z nim zgadzać lub nie, można go podziwiać lub nienawidzić, ale to on jest najważniejszym politykiem ostatnich trzech dekad w Polsce. To on skonstruował koalicję, która umożliwiła powstanie rządu Mazowieckiego. To on uniemożliwił michnikowszczyźnie i geremkowszczyźnie zawłaszczenie sceny politycznej przez stworzenie nowego obozu jednności narodowej. Dzięki niemu Wałęsa rzucił hasło przyśpieszenia, dzięki niemu Lech Kaczyński został prezydentem Warszawy, a potem Polski. Był ojcem sukcesu PiS w la-



tach 2005 i 2015. Gdyby nie jego decyzja, by usunąć się w cień, Andrzej Duda nie zostałby prezydentem, a Beata Szydło – premierem. Nawet jego wrogowie skrzykują się nie w imię własnych interesów, lecz na pohybel Kaczyńskiemu. Czyli także dla nich jest najważniejszy.

Swoich politycznych przeciwników autentycznie przeraża. Przyczyny tego strachu określiłem pewną sentencją ładnych kilka lat temu, zanim jeszcze komukolwiek zaczęło się wydawać możliwe, że PiS wygra wybory. Brzmi ona: wrogowie PiS nie boją się tego, że ta partia wygra wybory i będzie rządzić. Boją się tego, że jej się uda. Co się uda? Zrealizować choćby część swoich zapowiedzi bez wywołania krajowej, światowej lub wszechświatowej katastrofy. Oznaczało to będzie kres narracji, wedle której monopol na dobre posunięcia mają ci, którzy rządili wcześniej.

Demontaż III RP i budowa IV RP nie jest dla Kaczyńskiego jedynie pustym wyborczym hasłem. Uczynił z tego zadania swoją ostatnią wielką misję i zamierza zrealizować ją bez względu na to, czy on sam poniesie jej polityczne i wizerunkowe koszty, czy może przy okazji zużyje się też jego polityczny wehikuł, czyli Prawo i Sprawiedliwość. Ta determinacja sprawia, że pozostaje jedyną ważną figurą prawicy, do której wyborcy mają zaufanie. Jednocześnie ta sama determinacja sprawia, że przedwcześnie uruchomił się po prawej stronie mechanizm walki o sukces. Wszyscy kandydaci do przejęcia rządu dusz po Kaczyńskim chcieliby skorzystać z dobrych skutków jego szarży, ale uniknąć płacenia jej kosztów. Stąd już teraz manewry o zajęcie odpowiedniej pozycji, których ważnym elementem jest wypychanie go na stanowisko premiera.

KOWALCZYK HENRYK

Złośliwi mówią, że jako minister bez resortu ma zbyt dużo czasu na myślenie i ciągle wymyśla jakieś niewygodne dla dobrej zmiany ustawy. Problem w tym, że pomysły Kowalczyka głupie dotąd nie bywały, a fakt, że trafiły do kosza, pokazuje tylko, jak bardzo się zmieniają i ścierają koncepcje dalszych reform. Na przykład pomysł ujednolicenia składki emerytalnej, zdrowotnej i tej trzeciej, o której nikt nie pamięta, po co właściwie jest, był świetny. Zaczęto jednak pomysł Kowalczyka ulepszać, poprzez usunięcie z niego przedsięwzięć, a potem w ogóle przez skasowanie projektu.

Kowalczykowi zdarza się też powiedzieć publicznie coś oczywistego, co potem wywołuje burze. Na przykład, że dzisiejszy system emerytalny jest tak niewydolny, iż niedługo padnie na pysk, więc trzeba coś z nim zrobić. Stwierdzenia takie są traktowane jako propaganda czarnowidztwa oraz wychodzenie przed szereg. Co tylko dowodzi, że z ZUS jest większy problem, niż ktokolwiek przypuszcza, i że jak to wszystko łupnie, to odłamki polecą aż na Księżyc.

MACIEREWICZ ANTONI – wielki hetman koronny

Najzabawniejsi są ci, którzy twierdzą, że szef MON, zwany w naszej rubryce „Dwaj panowie G” „wielkim hetmanem koronnym” lub po prostu „krwawym Antonim”, nie dba o wizerunek. To naprawdę śmieszne, bo Macierewicz jest jedną z nielicznych osób w rządzie, które wizerunek posiadają. Jest to wizerunek radykalnego czyściciela i gościa, który w nosie ma to, co się do niego mówi, bo sam wie najlepiej.

Czy możliwy jest rząd PiS bez Macierewicza? Oczywiście. Jednak co dalej? Przecież każde inne stanowisko rządowe (poza funkcją premiera czy wicepremier – ale jakiego, bez teki?) byłoby degradacją. Szef MSW zamiast Błaszczaka? Nadzorca służb specjalnych zamiast Kamińskiego?



Przeciwnicy Macierewicza mówią, że zbyt wiele robi na pokaz – akademie, wstęgi, pomniki. Zwolennicy – że tylko z wnętrza resortu widać, jak daleko sięgają

wprowadzane przez niego zmiany. Jedno jest pewne – pracowitości i zaangażowania trudno Macierewiczowi odmówić. Podobnie jak konsekwencji w ukierunkowaniu na pewne tematy. – Redaktor Gociek napisał właśnie książkę o Krecie – powiedział do Macierewicza radiowy wydawca przed wywiadem w Jedyńce. – O, to ciekawe! – odrzekł Macierewicz. – O którym?

MORAWIECKI MATEUSZ – sławny syn słynnego ojca

Oficjalnie dementuję – to nieprawda, żeby kwaśny uśmiech wicepremiera nadpremiera Morawieckiego wywołany był brakiem cukru w organizmie. To prawda, od ponad 20 lat cukru nie używa, ale kawę słodzi, tyle że miodem polskim, najchętniej spadziowym.

Słynny grymas Morawieckiego jest raczej wyrazem jego nadprzeciętnej inteligencji. Nadpremier bardzo nie lubi lania wody i wciskania kitu, a tego we współczesnej polityce i mediach jest aż nadto. Wbrew obiegowej opinii posiada poczucie humoru i poza anteną jest niesłychanie błyskotliwym i zabawnym rozmówcą.



„Sławny syn słynnego ojca” – tak nazywamy go w rubryce. W programie „Przybliżenie”, który prowadziłem w Rafałem A. Ziemkiewiczem w TVP2, mieli pewnego razu pojawić się obaj – Kornel i Mateusz Morawieccy, pierwszy taki wspólny wywiad w dziejach. Do ostatniej chwili wszystko zdawało się potwierdzone, ostatecznie Mateusz odwołał wizytę. Może i słusznie. Bo przecież jedno z pierwszych pytań musiałyby brzmieć: „Czy ma pan pretensję do ojca, że nie widział go przez kilka lat?”

Mam wrażenie, że jest między nimi pakt o nieagresji i współpracy, że ciężko pracują, by coś sobie nawzajem udowodnić. Polska na tej konkurencji może tylko skorzystać.

RAFALSKA ELŻBIETA – dobry anioł PiS

Mimo długotrwałego knucia i napuszczania rozmaitych wiewiórek nie udało mi się znaleźć w jej resorcie (Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej) chętnych do oczerniania, opluwania i obmawia-



nia. Pora zmierzyć się ze strasliwą prawdą – Rafalska może być po prostu bardzo dobrym urzędnikiem państwowym.

Nawet zagorzali przeciwnicy rządu PiS nie są w stanie skutecznie jej nadgryźć, bo nie ma za co. Nic więc dziwnego, że bywa nazywana dobrym aniołem PiS (to sformułowanie ukuł Paweł Kowal).

Ciekawostka sportowa – kiedy uprawiała koszykówkę (a robiła to na profesjonalnym poziomie), podobno ważyła 15 kg mniej niż dziś. Trudno to sobie wyobrazić, bo przecież jest najchudszy ministrem rządu.

RZECZNIK – funkcja absurdalna

Rzecznicy zapraszani są tymczasem do mediów równie często jak politycy, dla których pracują, co oczywiście nie ma sensu, bo nigdy nie mają do powiedzenia nic poza przygotowanymi wcześniej zgrabnymi formułkami. A czasem nie potrafią powiedzieć nawet tego.

Nie mam do nich o to wcale pretensji. Żał mi ich nawet, bo są wysyłani na pożarcie, żeby powiedzieć cokolwiek „Cokolwiek” nie znaczy jeszcze „nowe” albo „ciekawe” (w każdym razie nie znaczyło, kiedy ostatnio sprawdzałem w słowniku). Dlatego prowadzenie wywiadu z rzecznikiem/rzeczniką przypomina trochę bicie dziecka w ramach kary za coś, czego nie zrobiło. „Feluś, skąd wzięliście ten kamień, żeby rzucić w samochód?”. „Nie wiem”. „Czy to Józus rzucał kamieniem?”. „Jak Józus przyjdzie, to powie”. „Widziałeś kiedyś kamienie?”. „Wacuś widział”. „Gdzie Wacuś je widział?”. „Jak Wacuś przyjdzie, to powie”.

SZYDŁO BEATA – żelazna premier

To nie szyderstwo. Beata Szydło odkryła, że dla premiera najważniejsza jest żelazna cierpliwość. Konieczna, gdy niektórzy ministrowie chadzą samopas, a inni uważają ją za zwierzchnika zastępczego. No i gdy pracuje się w cieniu nieustannych debat o tym, kiedy i z jakiego powodu zostanie zdymisjonowana.

Szydło okazała się zręcznym administratorem, a jej styl wiecznie zmęczonej matki narodu trafił do większości prawicowego elektoratu, który doskonale

rozumie sytuację: Jarosław Kaczyński jest konstruktorem i patronem większości rządowej, a Beata Szydło jednym z wielu graczy, których wysłał na boisko. I może on zmienić skład drużyny w każdej chwili. Żadna sensacja, rzecz oczywista dla Szydło, dla Kaczyńskiego i dla ich wyborców.

Ważne przypomnienie: sytuacja, w której szef zwycięskiego ugrupowania nie stoi na czele rządu, wcale nie była taka wyjątkowa w dziejach III RP. Jan Krzysztof Bielecki jako premier nie był przewodniczącym KLD, Hanna Suchocka



nie była przewodniczącą Unii Demokratycznej, a Jerzy Buzek nie dowodził Akcją Wyborczą Solidarność. Dobrze, powie ktoś, ale to były gabinety koalicyjne. A gabinet Szydło nie?

UCHO PREZESA – wielki sukces Jarosława Kaczyńskiego

Powiedzmy sobie szczerze: przecież gdyby ktoś w dowolnym momencie długiej politycznej kariery Jarosława Kaczyńskiego powiedział, że zostanie on głównym bohaterem popularnego serialu (popularnego naprawdę, czyli oglądanego przez miliony), odpowiedzią byłoby znaczące pukanie się w głowę.

Jakkolwiek obruszałiby się zwolennicy PiS na to, że Górski wyszydza ich ulubionych ministrów i kpi z samego prezesa, Jarosław Kaczyński z „Ucha Prezesa” nie jest ani nowym Stalinem, ani nawet drugim Erdoğanem. A to, w jaki sposób góruje nad niezbyt rozgarniętą gromadką pozostałych bohaterów serialu, tylko utwierdza widzów w przekonaniu, że jest w tym całym rozgardiaszu jedyną figurą godną zaufania.

WASZCZYKOWSKI WITOLD – Srebrny Lis Dyplomacji

Czytelnicy naszej rubryki w „Do Rzeczy” mogą czasem odnieść wrażenie, że resort spraw zagranicznych jest stajnią Augiasza, a Witold Waszczykowski, zwany przez nas Srebrnym Lisem Dyplomacji – ministrem szczególnie nieudanym. Co do pierwszej kwestii – tak, resort jest stajnią Augiasza. Co do kwestii drugiej, czyli odpowiedzi na pytanie, jakim ministrem

jest Waszczykowski, z czystym sumieniem mogę odpowiedzieć: nie wiadomo.

Minister spraw zagranicznych to funkcja szczególna, oprócz talentów dyplomatycznych musi być mocno osadzony w swoim środowisku politycznym, tak by być jak najlepszym wyrazicielem woli rządzącej większości. Waszczykowski tymczasem zbyt często zaskakiwany jest rozmaitymi inicjatywami. Oznacza to, że nie należy do bardzo wąskiego kręgu decyzyjnego, w którym wykuwają się kierunki prowadzonej przez Zjednoczoną Prawicę polityki. Zbyt często musi świecić oczami za cudze pomysły.

Waszczykowski – nieważne, czy w rządzie, czy poza rządem – pozostaje pod ścisłym nadzorem naszych wiewiórek. Nadzór jest zrozumiały – musimy patrzeć, co robi człowiek, którego zdaniem linia programowa tygodnika „Do Rzeczy” składa się tylko z dwóch punktów: iść z Hitlerem na Moskwę i rozwalić PiS.

ZALEWSKA ANNA – prymuska w czerwonych spodniach

Sprężynka-prymuska, która zawsze w szkole miała najlepsze stopnie i udzielała się dodatkowo na wszelkich możliwych frontach: samorząd szkol-



ny, gazetki, prace społeczne. Jej znak rozpoznawczy to wypowiedziane zdecydowanym tonem zdanie: „Wszystko mam policzone”. Uwaga! Bywała też buntowniczką! Farbowwała sobie w szkole spodnie na czerwono!

Minister Zalewska jest twarzą reformy edukacji, czyli likwidacji gimnazjów, za co wylano na nią tyle kubłów pomyj, że owego surowca powinno już w Polsce zabraknąć. Tymczasem twarde dane pokazują, że miała rację – etatów nauczycielskich przybywa. A miały być armagedon i masowe zwolnienia.

Minister Zalewska wykorzystuje swoje zamiłowanie do wyliczania wszystkiego, uprawiając ciekawe hobby – bowling, czyli po polsku kręgle. Zdradzę

tajemnicę jej sukcesów: potrafi podkrecać i wie, pod jakim kątem. Jest też bardzo lojalna – prywatnie bardzo lubi nosić broszki, ale od kiedy jest ministrem rządu dobrej zmiany, przestała – pozostawiając to pani premier.

ZIOBRO ZBIGNIEW – od delfina do rekina

Błyskawicznie wiąże krawat, i to bez lustra. Jednak nie z tego powodu przejdzie do historii. Przez osiem lat rządów PO-PSL był ulubionym obiektem polowań urządzanych przez sympaty-



zujące z dzisiejszą Ein Totalopposition prokuratury i sądy. Tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu ciągały go po całym kraju, żeby składał wyjaśnienia w jakichś dętych sprawach – rzekomych zbrodniach z czasów pierwszego PiS. Dzisiaj nadszedł dzień odpłaty.

Czasu w opozycji nie zmarnował, bo dziś jest politykiem zmyślniejszym niż kiedyś. Mniej pokazuje się w mediach (woli wysyłać Patryka Jakiego), bardziej waży słowa i preferuje działania zakulisowe. Im bardziej jego najbliższe otoczenie zapewnia, że nie ma ambicji, by zostać premierem lub prezydentem, tym bardziej w te zapewnienia nie wierzę. Ziobro jest politykiem ambitnym i jak na polskie warunki młodym – wszystko przed nim. A Jarosław Kaczyński nie jest wieczny. Każdy, kto pamięta czasy, kiedy prezes PiS publicznie strofował Ziobrę, każąc mu uczyć się języków, rozumie, że takich rzeczy się nie zapomina i że pewne zadry zostają

w człowieku na zawsze. Ziobro chwilowo wybrał strategię: „Ciszej jedziesz, dalej zajedziesz”, ale na pewno jest przekonany, że jego czas dopiero nadejdzie.

O Ziobrze można mówić per „Wielki Wychowawca”. Kiedy jeszcze częściej chodził po mediach, zwykł mówić, że to on wychował zarówno Andrzeja Dudę, jak i Beatę Szydło. Jedynym politykiem prawicy, którego nie udało mu się wychować, jest Jarosław Kaczyński.



PIOTR GOCIEK
„ANALFABET
III RP”
ZYSK I S-KA 2017



Łukasz Warzecha

Donald Tusk po zakończeniu kadencji przewodniczącego Rady Europejskiej będzie miał kilka opcji. Jedną z nich jest start w wyborach prezydenckich

Maj 2020 r. Minęło ponad pół roku od wyborów parlamentarnych, w których Prawo i Sprawiedliwość (jako Zjednoczona Prawica) znów wygrało, ale nie zdobyło ponownie samodzielnej większości. Zmęczony Jarosław Kaczyński, wyczerpany już pełnieniem funkcji premiera w poprzedniej kadencji, kieruje koalicyjnym rządem, w którego składzie są ugrupowanie Kukiz'15 oraz PSL. Druga w wyścigu parlamentarnym była Nowoczesna Platforma, powstała z połączenia dawnej Nowoczesnej, kierowanej przez Katarzynę Lubnauer (obecnie wiceprzewodniczącą NP) oraz dawnej PO pod wodzą Grzegorza Schetyny (przewodniczącego NP). Przewaga PiS nad NP była zaledwie dwupunktowa, nowa opozycyjna partia zbierała punkty za jedność oraz opracowany w końcu liberalno-lewicowy program, będący czymś więcej niż tylko propozycją powrotu do tego, co było.

GŁADKI EUROPEJCZYK

Sytuacja koalicyjnego rządu jest niełatwa nie tylko dlatego, że kierować nim znacznie trudniej niż rządem jednopartyjnym. Do tego globalna dekonstrukcja i drenowanie budżetu w związku z programem „500+” oraz wcześniejszymi emeryturami spowodowały, że wprowadzono dwa nowe progi podatkowe, stawiając na agresywną redystrybucję i jeszcze mocniej dociskając szczątkową klasę średnią oraz przedsiębiorców. Jakby tego było mało, w drugiej połowie 2019 r. swoją kadencję jako przewodniczący Rady Europejskiej nieco przed czasem zakończył Donald Tusk, żeby wejść do prezydenckiego wyścigu w kraju. Pierwsze sondaże pokazywały jego kilkunastopunktową przewagę nad Andrzejem Dudą, z czasem jednak notowania się wyrównały.

Tusk zawczasu zawarł układ ze swoim głównym wrogiem w kraju, Grzegorzem Schetyną. Ostrożnie, jeszcze jako przewodniczący RE, wspierał proces jednoczenia

Opcje Tuska

się opozycji, w zamian otrzymał cichą obietnicę pomocy w starcie w wyborach prezydenckich. W dniu konwencji, podczas której Tusk ogłosił swój start, dawni przeciwnicy partyjni objęli się serdecznie na scenie (a przynajmniej tak to wyglądało). Przychylnie Tuskowi media wykorzystwały ten obraz, żeby dodatkowo wzmocnić przekaz o jedności, którą wyborcy zawsze premiowali, tak jak to się stało w przypadku Zjednoczonej Prawicy w 2015 r. „Dwaj odwieczni rywale zakopują wojenny topór, żeby wspólnie walczyć o Polskę znów w Europie, znów na Zachodzie, wolną od PiS” – pisał w „Gazecie Wyborczej” Jarosław Kurski.

Sztab Tuska, kierowany przez Igora Ostachowicza, wykorzystał wszystkie atuty kandydata, bardzo sprytnie rozgrywając kampanię.

Po pierwsze – powtarzano, że rezygnując z lukratywnej posady oraz perspektywy dalszej kariery międzynarodowej na rzecz wyścigu prezydenckiego w Polsce, Tusk pokazał, że zależy mu na kraju i jest gotów zrzec się osobistych korzyści, aby z pozycji prezydenta RP zastopować – jak to określał obóz opozycji – dalsze demolowanie państwa przez PiS. Wprawdzie zakulisowe informacje wskazywały, że Tusk i tak na żadne inne lukratywne stanowisko szans nie miał, zatem ewakuował się do kraju w dobrym momencie. Podliczano też, ile

zdażył zarobić jako przewodniczący RE i jaką dostanie emeryturę. Jako że te skądinąd zasadne oceny powtarzały głównie media standardowo uprawiające prorządową propagandę, nie robiły one specjalnego wrażenia.

Po drugie – Tusk znakomicie wykorzystał nimb światowca. W swojej kampanii użył wszystkich swoich spotkań, fotografii z mężami stanu, przedstawił się jako główny rozgrywający w UE, który – w roli głowy państwa – będzie w stanie załatwić dla Polski Bóg wie co dzięki swoim kontaktom i osobistym relacjom z najważniejszymi politykami Europy oraz świata. Ten obraz był oczywiście mocno przesadzony, by nie rzec – całkowicie nieprawdziwy – jednak w oczach wyborców, zmęczonych nieustannym czołganiem Polski rządzonej przez PiS przez Komisję Europejską, Parlament Europejski i niektórych unijnych przywódców, Tusk wyrastał na zbawcę. Socjologowie tłumaczyli, że działa tu najzwyczajniejsze zmęczenie wyborców złą atmosferą wokół Polski, która utrzymywała się nawet mimo zamknięcia sprawy przymusowej relokacji imigrantów. W części był to rezultat gry niechętnych rządowi PiS sił na wywołanie takiego właśnie efektu znużenia, ale też sam gabinet Kaczyńskiego dawał co chwila dogodne preteksty, nie będąc w stanie wyjść poza ramy konfrontacyjnej polityki unijnej.



z anachronicznej ciszy wyborczej) pokazywały obu kandydatów w II turze idących łeb w łeb.

ZAGRA NA SIEBIE

P.T. czytelników proszę o wybaczenie za ten epizod political fiction. Gdy latem 2014 r. okazało się, że Donald Tusk wyjedzie rychło do Brukseli, by objąć posadę przewodniczącego RE, pisałem, że może mu to dać kapitał, który pozwoli mu wrócić do Polski jako atrakcyjnemu kandydatowi w wyborach prezydenckich po niemal pięciu latach urzędowania w UE. Wkrótce wielu komentatorów – w tym i ja – doszło jednak do wniosku, że wiele przemawia za tym, iż Tusk nie będzie miał ochoty ponownie zanurzać się w rodzimym bagnie politycznym. Brukselska posada za duże pieniądze rozleniwia, a Tusk nigdy do ludzi przesadnie pracowitych nie należał. Po zakończeniu kadencji z pewnością będzie w stanie wygodnie się urządzić, nawet jeżeli nie otrzyma propozycji równie atrakcyjnej jak miejsce przewodniczącego RE. Na doradztwie i wykładach można zarobić przynajmniej tyle samo, nie ponosząc żadnej odpowiedzialności, przy nieporównywalnie mniejszym wysiłku.

Ten wariant wciąż wydaje się bardziej prawdopodobny, ale pierwsza część tego tekstu pokazuje, że gdyby chciał, Tusk mógłby próbować zdyskontować swoje niespełna pięć lat w Brukseli również na rodzimej scenie. Wiele zależałoby, rzecz jasna, od okoliczności – przed wyborami prezydenckimi mamy serię trzech elekcji: lokalną, europejską i parlamentarną. Po drodze pojawi się jeszcze kwestia obietnicy zaprojektowania nowej konstytucji, złożona przez Andrzeja Dudę. To może się stać porażką albo sukcesem prezydenta.

Ci, którzy twierdzą, że istnieją przeważające powody, dla których Tusk nie będzie chciał podejmować walki w kraju – przede wszystkim potencjalne akty oskarżenia w sprawie działań po katastrofie smoleńskiej (sam jestem zwolennikiem postawienia Tuska przed Trybunałem Stanu) czy w sprawie Amber Gold – zapominają, że działania prokuratury, obojętnie – podporządkowanej ministrowi sprawiedliwości czy tzw. niezawistej – w tego typu sprawach zawsze są odbiciem sytuacji politycznej. Jeżeli pojawi się jakakolwiek wątpliwość co do trwałości obecnego układu – np. w wyniku wyborów w 2019 r. – spadnie też gorliwość prokuratorów.

Sceptycy nie biorą też pod uwagę czynnika czasu. W roku 2020 PiS będzie w trakcie ewentualnej drugiej kadencji sprawowania władzy. Nie wiemy, jaka będzie wówczas sytuacja gospodarcza oraz czy PiS uda się utrzymać hojność w rozdawaniu pieniędzy bez drastycznego przykręcania fiskalnej śruby. Niebagatelne znaczenie może mieć czynnik znużenia wyborców stanem ciągłej wojny, napięcia, atakami na Polskę. Tusk był zawsze genialnym oportunistą – jeżeli ujrzy okazję, to może chciał ją wykorzystać. Wątpliwe, żeby chciał przychodzić z pomocą obecnej opozycji, o ile ona sama nie będzie w stanie się zmobilizować, ale jeżeli to nastąpi (a zakładanie, że nigdy się tak nie stanie, jest krótkowzroczne), to może chciał użyć jej jako trampoliny. Tusk w gruncie rzeczy zawsze grał i nadal grać będzie na siebie. Pokierowanie pogrążoną w kryzysie opozycją nie jest z tego punktu widzenia ani trochę atrakcyjne, ale wykorzystanie jej, gdy nabrałaby sił, jako napędu w kampanii prezydenckiej to już inna sprawa. Z kolei wsparcie go w kampanii prezydenckiej przy obietnicy, że będzie się trzymał z dala od spraw partyjnych, może być dla Schetyny korzystnym układem.

ODWIECZNY WRÓG

Nie zapominajmy też o czynniku psychologicznym. Wkalkulowanie go w równanie bywa ryzykowne, tutaj ma jednak znaczenie trwająca od dawna rywalizacja pomiędzy Jarosławem Kaczyńskim a Donaldem Tuskiem. Dzisiaj w pewnym sensie obaj są wygrani, ale tylko dlatego, że się minęli. Tusk osiągnął status czysto prestiżowy, który dla Kaczyńskiego nigdy nie będzie osiągalny, który też prezesa PiS kompletnie nie interesuje. To Kaczyński ma dzisiaj autentyczną moc sprawczą i zmienia Polskę według swoich planów, podczas gdy Tusk pomaga zakładać marynarkę straszliwie zmęczonemu szefowi Komisji Europejskiej. Tuska musi to uwierać, nawet jeżeli uważa się za człowieka sukcesu. I ten właśnie czynnik może się w którymś momencie okazać decydujący.

Lekceważenie przeciwnika jest zawsze błędem. Tuska lekcewać na pewno nie należy. Z dzisiejszej perspektywy widać, że jego wyjazd do Brukseli nastąpił w idealnym momencie z punktu widzenia jego interesów. Były premier ma i będzie miał pod koniec swojej kadencji dużo opcji do wyboru. Nie bądźmy zaskoczeni, jeżeli wybierze tę krajową. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Po trzecie – Tusk wyciągnął z zanadru swój największy sukces: serię działań, które doprowadziły do znaczącego opóźnienia, a w następstwie porzucenia budowy Nord Stream 2. „To udało się osiągnąć dzięki spokojnym zakulisowym działaniom, a nie głośnym, czczym pokrzykiwaniami” – mówili byli już przewodniczący RE na jednej z konferencji prasowych. Politycy z obozu Andrzeja Dudy argumentowali, częściowo słusznie, że NS2 nie zostałby połączony bez politycznej decyzji Niemiec, ale faktem było, że działania Tuska także odegrały tu znaczącą rolę.

Po czwarte – Tusk atakował Dudę za rozmaite jego działania (sądy) lub zaniechania (frankowicze), sam będąc przecież od dawna poza polską polityką. Jego przeciwnikom brakowało zatem świeżej amunicji krajowego asortymentu – pozostało im wskazywanie działań Tuska w roli przewodniczącego RE. Jednak sześciolatnia nieobecność Tuska w Polsce wymazała skutecznie pamięć o jego wątpliwych dokonaniach u znacznej części wyborców, a do tego czynne prawa wyborcze zdążyło zdobyć pokolenie, dla którego Tusk nie był już wcale dawnym premierem, a jedynie gładkim Europejczykiem, poklepywanym po plecach przez różnych ważnych polityków.

Ostatnie sondaże przedwyborcze (w Polsce wciąż nie zrezygnowano



Robert Bogdański

Ataków na Kościół w Polsce będzie przybywało, bo taki jest kierunek obrany przez środowiska, które chcą zaistnieć politycznie

W kościele św. Barbary, największym kościele w centrum Warszawy, w południe 11 listopada organizatorzy Marszu Niepodległości zamówili mszę świętą. Zjawiła się na niej także aktywistka ruchu Obywatele RP, Gabriela Lazarek, która w czasie kazania rozwinęła transparent z cytatem z Jana Pawła II piętnującym rasizm. Transparent został zwinięty przez mężczyzn, którzy wyprosił ją z kościoła. Ona sama twierdzi, że została poturbowana, ale na nagraniu wideo tego nie widać. Być może zdarzyło się to poza zasięgiem kamery. Informacja o „popychaniu i kopaniu” znajduje się za to w opisie całego incydentu, który w Internecie zamieścił inny aktywista obecny wtedy u św. Barbary. Jak widać, cieszyńska aktywistka nie zjawiła się na mszy sama: towarzyszyło jej co najmniej dwoje ludzi, którzy mieli dokumentować wydarzenie. Im zawdzięczamy spisanie tekstu kazania i filmik pokazujący moment rozwijania transparentu oraz interwencji uczestników mszy.

Z tych dwóch źródeł wynika, że rozwinięcie transparentu nastąpiło w zupełnie nieprzystającym do jego treści momencie: w czasie, gdy ksiądz głoszący kazanie mówił o tym, że Jan Paweł II i polski Kościół bronili prześladowanych w latach 80. Samo zaś kazanie nie zawierało akcentów rasistowskich czy ksenofobicznych. W kościele nie było też widać żadnych transparentów, które mogłyby świadczyć o ekstremizmie. Przeciwnie czemu więc protestowała Gabriela Lazarek, wznosząc swój transparent?

Bez szczególnej przesady można powiedzieć, że zaplanowała swój „spontaniczny” protest wcześniej i zrealizowała go, mając nadzieję, że jej opowieść o brutalności, jaką napotkała w kościele, trafi do ludzi, którzy bez sprawdzenia zechcą ją ponieść dalej, i w ogólnym

Katolikom mniej wolno?

zamieszaniu stanie się jednym z elementów budujących obraz pełnego przemocy oraz nienawiści środowiska skupionego wokół Marszu Niepodległości. Owszem, ci, którzy z góry zakładali, że inaczej być nie może, podali tę relację dalej. Wielu ludzi dobrej woli dało się na tę prowokację nabrać.

Cała akcja, choć jej bohaterka doczekała się nawet szybkiej noty biograficznej w „Gazecie Wyborczej”, zgasała jednak dość prędko i nie nabrała impetu medialnego, na jaki zapewne liczyła inicjator. Czy można wobec tego uznać ją za incydent pozbawiony znaczenia? Nie sądzę.

Wydaje się, że środowiska protestu (tak nazywam tych, którzy pod różnymi szyldami protestują przeciwko konse-

kwencjom wyniku wyborczego sprzed dwóch lat) testują granice tego, jak daleko mogą się posunąć w odniesieniu do Kościoła i ludzi wierzących. I dzieje się to nie od dziś.

PRZYSZŁY, ABY WYJŚĆ

Mało kto pamięta zapewne głośny wiosną 2016 r. incydent związany z wyjściem z kościoła św. Anny w Warszawie osób, które przyszły na mszę tylko po to, aby z niej demonstracyjnie wyjść podczas odczytywania listu episkopatu o ochronie życia. Jedną z nich, działaczką homoseksualną Anna Zawadzka, przez kilka minut krzyczała, stojąc w ławce i jakby czekając na to, aż ktoś zacznie ją wypychać z kościoła. Czekają też na to kamery, a niezawodna „Gazeta Wyborcza”



temu rabin Moskowitz zwrócił się do Jana Pawła II per „pan papież”. W języku polskim i w polskim obyczaju oznacza to zniewagę, jednak wiele osób tłumaczyło wówczas rabina tym, że czas od zakończenia wojny spędził poza Polską i mógł nie rozumieć kontekstu, w jakim jego słowa zostaną odczytane.

PAN KARDYNAŁ, PAN PAPIEŻ...

Z pewnością jednak ten kontekst rozumiał doskonale profesor nauk humanistycznych Jacek Leociak z PAN, gdy w czerwcu tego roku pisał do kard. Nycza list, adresując go „Szanowny Panie Kardynale”. Oburzenie, jakie się wówczas podniosło, kwitował pełnym obłudnego zdziwienia zdaniem, że przecież nie może być nieuprzejme, gdy kogoś tytułuje się „szanownym”.

Używanie wobec osoby duchownej w polskim środowisku językowo-kulturowym współcześnie formy „pan” jest oczywistym faux pas i nie tylko dla kogoś, kto jest wykształconym kulturoznawcą, oznacza chęć obniżenia rangi osoby, do której się w taki sposób zwraca. List prof. Leociaka był ewidentną próbą pokazania księciu Kościoła, „gdzie jest jego miejsce”. Był, używając języka bliskiemu zapewne profesorowi, transgresją mającą na celu obniżenie rangi przedstawiciela wspólnoty wierzących.

W ten sposób intelektualista utwierdza mniej wykształconych w przekonaniu, że szanse, które zdobywają, nie zasługują wcale na szczególne traktowanie, zaś aktywiści umocnieni świadomością umysłowego znaczenia swojego zaplecza dokonują symbolicznych aktów zawłaszczenia przestrzeni, która do tej pory powszechnie uznawana była za nietykalną. Nawet w czasach komuny bezpieczeństwa, o ile naruszała te przestrzenie, a czyniła to inwigilując i nagrywając, nigdy nie robiła tego otwarcie, zawsze w sekrecie. Akty, do jakich dochodzi teraz, stanowią jakościową zmianę.

„OCZYSZCZENIE” ZAŁATWI SPRAWĘ?

Z pewnością wielu ludzi, także z wewnątrz Kościoła, odpowie, że takie działania są wyłącznie efektem politycznego zaangażowania księży i tego, że niektórzy z duchownych udzielają lub udzielali schronienia ruchom ekstremistycznym. Padnie tu z pewnością nazwisko Jacka Międlara, który sam występował na wiecach narodowców i wygłaszał radykalne

przemówienia, z których zdawało się wynikać, że młodzież narodowo-radykalna to nieledwie najlepsi uczniowie Chrystusa. Padną przykłady wypowiedzi duchownych, które odwoływały się do stereotypu Polaka katolika, jak choćby ks. Tadeusza Rydzyka. I zanim się obejrzymy, wejdziemy w wir sporu dzielącego „katolików otwartych” i „katolików zamkniętych”. I ci „otwarcy” będą bronili tezy, że żadne demonstracje nie przydadzą się w Kościele, który nie będzie się „mieszał do polityki”. W Kościele głoszącym wyłącznie czystą Ewangelię.

Tyle że Międlar nie jest już księdzem. Tyle że Anna Zawadzka i jej koleżanki nie wychodziły demonstracyjnie z kościoła, w którym odczytywano jakieś ekstremistyczne manifesty, a list biskupów. Tyle że w kościele św. Barbary 11 listopada nie było transparentów narodowych i kazanie, w czasie którego uznała za stosowne rozwinąć swój transparent aktywistka, nie zawierało treści politycznych. A choćby chwila rozmowy z ludźmi popierającymi demonstracje w kościołach, choćby pobieżne przejrzenie wpisów, jakie zamieszczają w mediach społecznościowych, każe wyzbyć się złudzeń, że chodzi im o czystość głoszenia Ewangelii. Oni przychodzą do kościoła zazwyczaj wtedy, gdy zamierzają nagrywać lub z niego demonstracyjnie wyjść.

To, z czym mamy do czynienia obecnie, to moim zdaniem tylko preludeum, a podobne prowokacje w kościołach będą się zdarzać coraz częściej. Ci, którzy sądzą, że można będzie się przed nimi zabezpieczyć, usuwając akcenty patriotyczne lub uznawane za narodowe, srodze się zawiodą. Aktywiści spokojnie skonsumują owoce swojego zwycięstwa i zażądają więcej. I będą patrzyli uzbrojeni w kamery i dyktafony, w jaki sposób katolicy realizują nakaz niesprzeciwiania się złu przemocy. Mając nadzieję, że ludziom stojącym w nawach i walczącym z własnymi słabościami wreszcie kiedyś puszcza nerwy, a wtedy oni z triumfem będą mogli dowodzić, iż przecież katolikom wolno mniej, bo ich religia... itd. Co zrobimy, gdy nasze kościoły stracą społeczny nimb nietykalności i staną się miejscem regularnych demonstracji ludzi, którzy na użytek chwili będą się przedstawiać jako jedyni obrońcy czystości wiary? Dobrze byłoby zastanowić się nad tym, zanim będzie za późno.

opublikowała w sieci film z tego zajścia. Groteskowe było to, że kobieta krzyczała, iż chce wyjść, czego jej nikt nie zabraniał, wręcz przeciwnie – wszyscy czekali na to, aż wreszcie wyjdzie. Ową „wyjście” miało posłużyć stworzeniu wrażenia, że w protestie przeciwko stanowisku biskupów w sprawie aborcji „wierni wychodzą z kościoła”. Taką narrację znajdzie dziś w Internecie ktoś, kto będzie zainteresowany powrotem do tamtych wydarzeń. Będzie musiał poświęcić czas, aby zorientować się, że ci, którzy wyszli z kościoła, nigdy w nim duchowo nie przebywali, a przyszli do niego wyłącznie po to, aby wyjść...

Testowanie granic ma także charakter językowy oraz kulturowy i niekoniecznie musi odbywać się w formie bezpośredniej akcji w kościołach. Kilkanaście lat



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Futbol i Lego

Jest taka postać zaludniająca wiele seriali i filmów. To facet w średnim wieku albo ciut starszy, który pieczołowicie nagrywa mecz ulubionych rozgrywek ligowych i wieczorem zasiada przed telewizorem z butelką piwa w rękę. I jest wtedy naprawdę szczęśliwy.

Ponieważ nie piję piwa, dość długo nie dostrzegałem, że ten 50-latek to ja. Jednak w amerykańskich serialach tacy faceci popijają też szklką albo burbona z lodem. No i musiałem spojrzeć prawdzie w oczy: stałem się stereotypem. Banalnym stereotypem, bo żebym chociaż umiłował jakąś oryginalną dyscyplinę sportu. Gdybym pasjonował się snookerem albo przynajmniej szlachetnym tenisem. Lub śledził hinduską ligę krykieta. Nic z tych rzeczy. Kiedy rodzina idzie spać, ja oglądam piłkę nożną – acz nie podupadłem tak bardzo, by śledzić krajowe rozgrywki. Trzeba się czymś pocieszać.

Przez pewien czas myślałem, czy raczej miałem nadzieję, że transmisje meczów będę oglądał z moim synem, który ma obecnie osiem lat. Nic z tych rzeczy. Młody jest bardzo usportowiony. Powiedziałbym nawet, że jest atletą. Uprawia krav magę, pływa, biega w runmageddonach (a nawet je wygrywa), ale żywi przemożną niechęć do piłki nożnej. Podczas eliminacji do mistrzostw świata zabraliśmy go na Stadion Narodowy na mecz z Rumunią. Kiedy Lewandowski strzelał pierwszego

gola i cała publika szalała, on ze znużoną miną pakował sobie do ust garść popcornu. Gdyby nie ten popcorn, to chyba nie wysiedziałyby do końca. Postanowiliśmy go zatem więcej nie uszczęśliwiać na siłę i nie marnować pieniędzy na bilety.

Ta niechęć do piłki nożnej początkowo mnie irytowała, bo często przegrywałem z młodym batalię o telewizor. Ja chciałem mecz, on chciał „Lego Ninjago”, więc oczywiście byłem bez szans, bo rządząca w domu osoba, czyli moja żona, stawiała po stronie naszego syna. Jednak potem zacząłem mu... kibicować. Futbol jest bowiem – oczywiście – najpopularniejszą dyscypliną wśród chłopców z trzeciej klasy. Większość kolegów Tymona albo chodzi na treningi, albo grywa chociaż na przerwach, no i wszyscy zapamiętali dyskutując o wyższości Ronaldo nad Messim. Albo na odwrót.

Odwracając się od piłki, Tymon postawił się w bardzo słabej sytuacji towarzyskiej. Najprościej byłoby po prostu dostosować się do grupy i pokochać futbol z rozsądku. To bardzo ułatwiłoby mu życie. Byłby bliżej kolegów, na których sympatii i akceptacji mu zależę. A jednak nie poszedł tą drogą. Może po prostu piłka nudzi go aż tak bardzo. Ja jednak wolę myśleć, że nie jest konformistą.

W przeciwieństwie do mnie. Bo tak bardzo chcę z młodym wspólnie coś oglądać, że wkręciłem się w „Lego Ninjago”. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Valmy

Pod górującym nad okolicą wiatrakami w Valmy 20 września 1792 r. rozegrała się jedna z decydujących bitew w historii Francji, a prawdopodobnie i ludzkości. Rzemieślniczo-chłopska armia generałów Dumourieza i Kellermana starła się z siłami koalicji ogólnoeuropejskiej pod dowództwem Karola, księcia Brunshwiku. Pojedynk artyleryjski przerwała ulewa, ale wojska przeciwników ustąpiły pola. Rewolucja była uratowana. Jednak czy na szczęście?

I tak ideowcy powyrzynali się nawzajem, a zastąpili ich złodzieje, miernoty...

W obozie rewolucyjnym zwyciężyła tendencja drogi na skróty. Prawo i wartości wypisane na trójkolorowych sztandarach przestały być tak istotne jak czysta władza i wola stworzenia Państwa Rozumu – bez króla, którego zgilotynowano, i Boga, któremu dość brutalnie podziękowano.

Dalsza walka o nowy lepszy świat przyniosła zbrodnie nienotowane w dziejach. Utopiono we krwi wierną katolicyzmowi Wandę, zmasakrowano Lyon, w publicznych egzekucjach dziennie ginęło więcej ofiar niż przez całe wieki tyranii Burbonów. W dodatku

obóz rewolucyjnej zmiany podzielił się dramatycznie. W sytuacji, gdy wróg zewnętrzny przestał być groźny, rozpoczęło się polowanie na wroga wewnętrznego. Spadały łby z prawa i lewa. Jako jeden z pierwszych zginął Filip Orleański „Księżę Równość”, jeden z głównych inspiratorów rewolucji. Rewolucja pożerała własne dzieci. W koszykach lądowały kolejno łby rojalistów, żyrondistów, hebertystów, zginął trybun ludu Danton, a potem przyszła kolej na jakobinów z Robespierre'em na czele. I tak ideowcy powyrzynali się nawzajem, a zastąpili ich miernoty, nieudacznicy, aferyści, złodzieje. Oni to zorganizują termidor, zatrzymają rewolucyjne szaleństwo, a na koniec sięgną po Napoleona Bonaparte, żeby przywrócić porządek.

Kto wie, jak potoczyłyby się losy Europy bez sukcesu spod Valmy? Pewnie 20 parę lat wcześniej nastąpiłaby restauracja monarchii. Czy jednak całkowicie zaprzeczono by dorobek pierwszych lat rewolucji? Czy dałoby się powrócić do feudalnych zasad, anulować prawa człowieka i obywatela? Jeśli tak, to zapewne na krótko. Postęp dokonywałby się może wolniej, ale spokojniej. I być może Burbonowie jako konstytucyjni monarchowie rządząliby do dziś, a Francja ze stumilionową populacją byłaby pierwszą potęgą Europy? Valmy...

Cóż. Czasami zbyt wielki sukces może skłaniać do przekonania, że teraz wszystko wolno. ©©

POGODĘ NA INTERII **SPRAWDZA** **5 MILIONÓW POLAKÓW***

**PROGNOZA NA 25 DNI DLA 3 MILIONÓW
MIEJSC W POLSCE I NA ŚWIECIE**

TERAZ TAKŻE **DANE SMOGOWE
DLA NAJWIĘKSZYCH MIAST**

interia **POGODA**



SPRAWDZA SIĘ!

*Wg Gemius/PBI , lipiec 2017

Balansowanie Watykanu na granicy apostazji

[recenzja nowej książki Pawła Lisickiego]



Nicolás Gómez Dávila: „Posoborowy Kościół próbuje przyciągać do «owczarni» przekładając «postępowe» komunały współczesnego dziennikarstwa na język kancelarii watykańskiej, a «postępowi» hierarchowie katoliccy przekształcają katolicyzm w humanitarny agnostycyzm operujący chrześcijańską nomenklaturą”



Waldemar
Łysiak

Obrzez Niemca Matthiasa Grünewalda „**Scholar i zakonnic**”, kończony akurat wtedy, gdy Luter zaczynał układać swych 95 kontrrzymskich (kontrkatolickich) tez — dałem na stronę tytułową niniejszej recenzji nieprzypadkowo. Albowiem 13 czerwca 1525 roku erfurcki „scholar” Marcin Luter (noszący tytuł „magister artium” mnich augustiański, doktor teologii, oraz profesor dialektyki, etyki i egzegezy Uniwersytetu Wittenberskiego) poślubił — w ramach swej propagandy i działalności kontrmonastycznej — mniszkę Katarzynę von Bora. O czym można przeczytać z detalami w najnowszej książce Pawła Lisickiego „**Luter. Ciemna strona rewolucji**”.



Lisicki to swoisty „człowiek Renesansu”. Wyborny biblista („najwybitniejszy po II wojnie światowej polski eseista metafizyczny” — werdykt Czesława Miłosza), nadto historyk, dramaturg, powieściopisarz, tłumacz, analityk literacki, wreszcie antysalonowy publicysta, twardo wojujący przeciwko politycznemu lewactwu, zarówno światowemu, jak i rodzime. Wspólnym mianownikiem wielu jego tekstów są sprawy religijne i kościelne. Taka też jest — rozpatrująca istotne dziś dla globu (a zwłaszcza dla Europy) problemy katolicyzmu i Watykanu — ostatnia książka Lisickiego, nie mniej znakomita (klarownie i chwilami porywająco pisana) niż poprzednie. Chronologicznie celowana przez autora w punkt: wydana dokładnie w 500. rocznicę ogłoszenia 95 tez Lutra, które zbudowały protestantyzm dzieląc Stary Kontynent na pół — na dwa wrogie sobie religijne obozy, toczące krwawe zapasy długi czas, a później trwającą kilka stuleci „zimną wojnę” kultową.

Książka jest podzielona na sześć części (każda zawiera kilka lub kilkanaście rozdziałów, największa piętnaście), z czego części środkowe (od drugiej do piątej) to biografia Lutra i monograficzny obraz Niemiec, Watykanu tudzież szarpanej protestantyzmem Europy w dobie Lutra — wykład ten jest kompletny (co nie dziwi u znawcy literatury przedmiotu) i nienaganny projekcyjnie, więc nie chcę się nim zajmować piórem komentatora woluminu, odsyłam Czytelników do tych książkowych treści. Dla mnie bardziej pasjonujące są tam część ostatnia (szósta plus „Zakończenie”), relacjonująca paskudną teologiczną/polityczną/kulturową spuściznę Lutra (tytuł: „**Mroczne dziedzictwo**”), i przede wszystkim część pierwsza, omawiająca/krytykująca święte umizgi papieża Franciszka do luteran i luteranizmu, symbolizowane zażyłą komitową rzymskiego „Papy” z panią prymas szwedzkiego Kościoła luterńskiego, arcybiskupką Antje Jackelén. Franciszek lubi brać z nią udział w „ekumenicznych” (współkultowych) nabożeństwach u ołtarzy luteranckich świątyń, ona zaś lubi wizytować go w Watykanie. Mają wiele tożsamyh poglądów, również na trzecią religię, islam, który cieszy się ich obopólną tolerancyjną sympatią — signorina Jackelén głosi m.in., że bojowy okrzyk dżihadystowskich (wysadzających ludzi i podrzynających gardła) terrorystów: „Allahu akbar!” niczym się nie różni od chrześcijańskiego: „**Bóg z nami!**”. Przykro to mówić, lecz takie głaskanie islamu, którego kultowa księga („**Koran**”) wielokrotnie nawołuje do bezlitosnego mordowania „**niewiernych**”, zaczęło się z chwilą, kiedy Jan Paweł II publicznie ową księgę ucałował.

Ludzi zatrzwożonych o dzisiejszy stan Kościoła Rzymu, a jeszcze bardziej o kierunek, w którym ten Kościół zmierza po usunięciu się Benedykta XVI, bulwersuje proluterancka pasja ekumeniczna Franciszka, pełna jego komplementów pod adresem rebelianta z Wittenbergi. Zdaniem Argentynczyka Luter miał rację, trzeba więc czerpać od Lutra tę mądrość, że Kościół katolicki winien się stale reformować postępowo. Dla strażników „**Nowego Testamentu**” brzmi to jak herezja, a dopieszczanie luteranizmu przez dzisiejszy Watykan pachnie odszczepieństwem, apostazją. W ich oczach papież wychwalający renegata-burzyciela to kogut wychwalający lisa vel baran komplementujący wilka. Lisicki bez pardonu rozprawia się w swojej książce z tym



watykańskim rehabilitowaniem Lutra, konkludując: „*Wyobraźmy sobie, że polski prezydent wpada na pomysł zbudowania z okazji 100-lecia niepodległości w centrum Warszawy pomnika Róży Luksemburg lub przywrócenia na placu Bankowym monumentu Feliksa Dzierżyńskiego (...) Pomysł, by go dzisiaj przywrócić, słusznie zostałby uznany za aberrację, przejaw niepożyteczności, może nawet za zdradę (...) Więc jak nazwać próbę przywrócenia w Kościele Lutra, tego samego Lutra, który chciał papieżstwo i duchowieństwo przepędzić i wytrącić?*”.

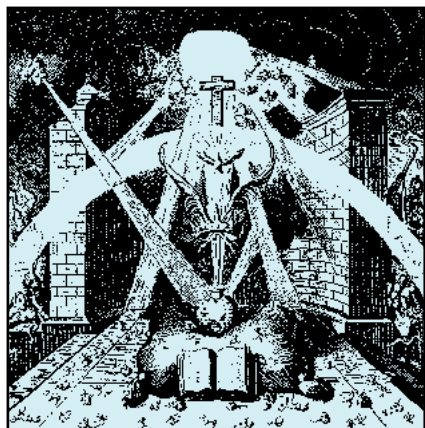
Franciszek nie jest, rzecz prosta, osamotniony w swym flircie z luteranizmem, wspiera go cały zastęp watykańskich modernistycznych hierarchów, na czele z kardynałem Walterem Kasperem, lewakiem i „*głównym teologiem Franciszka*”. Kasper, postulując przywrócenie Lutrowi glorii, tłumaczył się „*znaczącym zwrotem rehabilitującym Lutra, jakiego dokonali katolicy badacze XX wieku*”. Lisicki, który zna całą analityczną literaturę kościelną ubiegłego stulecia, dzieła wszystkich katolickich badaczy — wyśmiał to alibi Kaspera jako wierutne kłamstwo, negując w konsekwencji tezę proluteranckich kardynałów i biskupów (Kasper, Lehmann, Bode i in.), że Luter może być dla luteran i katolików „*wspólnym ojcem Kościoła*”.



Kasper i Franciszek



Marzenie modernistów o tej wspólnocie — o dwóch płonących świecach chrześcijaństwa (katolickiej i protestanckiej), których połączone płomienie dałyby jeden wielki płomień wiary, z „interkomunią” czyli wspólną Eucharystią, jak również ze wspólną liturgią mszalną — to proste następstwo „ekumenicznych szaleństw Karola Wojtyły”, obejmujących akceptowanie i przytulanie nawet animistycznych kultów dzikich plemion (sławny „ekumeniczny” zjazd bóstw i szamanów w Asyżu pod patronatem i z udziałem JP II) jako równych katolicyzmowi, co wywołało wówczas gwałtowny sprzeciw wielu



katolickich hierarchów; filipiński biskup Salvador Lazo pisał do Jana Pawła II: „Ojciec Święty! Czy powinniśmy respektować fałszywe religie? Praktykowany dziś ekumenizm stoi diametralnie w sprzeczności z tradycyjną katolicką doktryną i praktyką. Daje jedynej autentycznej religii, ustanowionej przez Pana Naszego, tę samą rangę co wszelkim religiom fałszywym. Święty Pius X ostrzegał, iż duch międzywyznaniowości jest częścią wielkiego światowego ruchu apostazji, a Leon XIII przestrzegał, że równoprawne traktowanie wszystkich wyznań i kultów zmierza do zniszczenia religii katolickiej, więc każde stawianie jej na tym samym poziomie co inne kultury przynosi mnóstwo szkód” (1998). Tego samego roku, w którym Jan Paweł II zmarł (2005), zaczęło się coraz bardziej bezkompromisowe karcenie jego przegięć ekumenicznych, również ze strony Polaków, że wymienię choćby esej Pawła Falickiego „Cywilizacja postchrześcijańska?”, bazujący m.in. na tezach Kornela Morawieckiego: „Katolicyzm zachowuje się dość ugodowo, by nie powiedzieć: mięczakowato. Traci powoli swoje zasady, rozmywa się, blaknie, stając permissywną religią epigonów starej cywilizacji łacińskiej, otwierając furtkę zwolennikom «dialogu międzywyznaniowego»”.

Papież Franciszek wszedł w tę furtkę otwartą przez Wojtyłę jak w masło, premiując ugodowością na początek luteranizm, co Paweł Lisicki swoją rozprawą kontestuje i gromi bez taryfy ulgowej. Zakończenie książki jest pełne niepokojów autora — cytuję zdania ją zamykające: „Co stanie się z Kościołem w sytuacji, w której papież zamiast być strażnikiem chroniącym wiarę przed nowością, wiernie trzymającym się dziedzictwa minionych pokoleń (...), dokonuje reinterpretacji nauk przeszłości? Odpowiedź jest jasna. Wystarczy tylko przypomnieć sobie, jaką rolę dla papieżstwa, prawdziwie zreformowanego, przewidywał Marcin Luter. Tylko wiara w opiekę Ducha Świętego i w obietnicę Chrystusa pozwala żywić nadzieję, że w nieodległej przyszłości na tronie Piotra nie zasiądzie ktoś pokroju Antjé Jackelén, ekumenicznej partnerki papieża Franciszka, i że nie nastąpi powszechny akt apostazji”.

Gdyby nastąpił — byłby to triumf szatana. Lisicki werbalizuje tę groźbę expressis verbis rozdziałem o diable (w części piątej), tak ów rozdział domykając: „Kiedy czyta się po kolei obłąkańcze niekiedy wystąpienia Lutra (...) — rodzi się podejrzenie, czy nie jest to przykład opętania. Trudno sobie wyobrazić co lepszego jeszcze mógłby wymyślić diabeł dla zniszczenia Kościoła”. Otóż to!

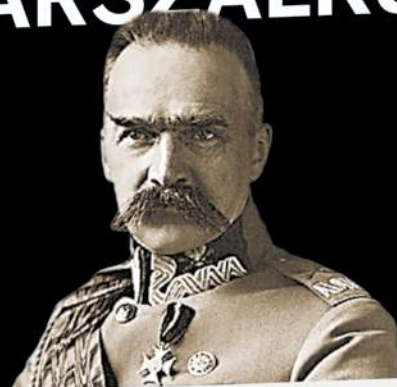
Pawle, dziękuję ci za ten wolumin. ©©



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



PRAWDA O MARSZAŁKU!



**DODATEK NA 150. ROCZNICĘ
URODZIN JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO**

- Piotr Zychowicz – **Konstanty na króla Polski**
Maciej Rosalak – **Mogliśmy pokonać Rosję!**
Adam Zamoyski – **Powstanie czy rewolucja**
Josh Dean – **Sowieckie rakiety z dna oceanu**
Marian Zacharski – **Komunistyczne ciągoty Joliot-Curie**
Sławomir Koper – **Romanse gen. Kasprzyckiego**
Tomasz Stańczyk – **Ukraiński zamach na Potockiego**
Mikołaj Iwanow – **Polak bolszewickim admirałem**
Arkadiusz Karbowski – **Spór o mord w Wierchowinach**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

„Dziurawa Kieszon Polaka 2017”

odkrywa całą prawdę o naszych finansach.

Najnowszy raport platformy MAM

Mimo deklarowanego zadowolenia z życia Polacy bardzo przejmują się stanem swoich finansów i możliwością opłacania comiesięcznych zobowiązań. Istnieją bowiem wydatki, które nie tylko obciążają ich comiesięczne budżety, lecz także z których nie mogą oni zrezygnować. Mowa o rachunkach, które – jak wynika z raportu „Dziurawa Kieszon Polaka” przygotowanego przez platformę MAM – pochłaniają większą część budżetów gospodarstw domowych niż żywność. I choć Polacy deklarują, że planują swoje wydatki, nie zalegają z opłatami, a gdy oszczędzają, wolą robić to w określonym celu, to szukają sposobu na zwiększenie wydajności swojego budżetu. Jak bardzo zatem jest dziurawa kieszon Polaków i jak radzą sobie oni z zarządzaniem swoimi finansami oraz cyklicznymi obciążeniami?

Według statystyk publicznych w ostatnich latach znacząco poprawiła się kondycja finansowa Polaków. Przyczyną pozytywnych zmian sytuacji materialnej gospodarstw domowych w Polsce jest stale rosnąca gospodarka – niski poziom bezrobocia, szybszy wzrost płac i konsumpcja prywatna. Przeciętny miesięczny dochód rozporządzalny na jedną osobę w gospodarstwach domowych w 2016 r. wyniósł 1474,56 zł i był wyższy aż o 7 proc. w stosunku do roku 2015. Dobra sytuacja finansowa gospodarstw domowych

wa gospodarstw domowych w Polsce przekłada się przede wszystkim na wzrost poziomu konsumpcji. Przeciętne miesięczne wydatki na jedną osobę w gospodarstwach domowych w 2016 r. osiągnęły 1131,64 zł, wzrastając aż o 4 proc. w stosunku do roku 2015.

Mimo poprawiającej się sytuacji materialnej Polaków wciąż bardzo daleko nam do zachodnich sąsiadów. Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest nieproporcjonalna wysokość tzw. kosztów zakontraktowanych, czyli comiesięcznych rachunków, w stosunku do wynagrodzeń Polaków.

Jak wynika z danych pochodzących z badania „Dziurawa Kieszon Polaka 2017”, przeprowadzonego na zlecenie platformy MAM, opłaty czynszowe,

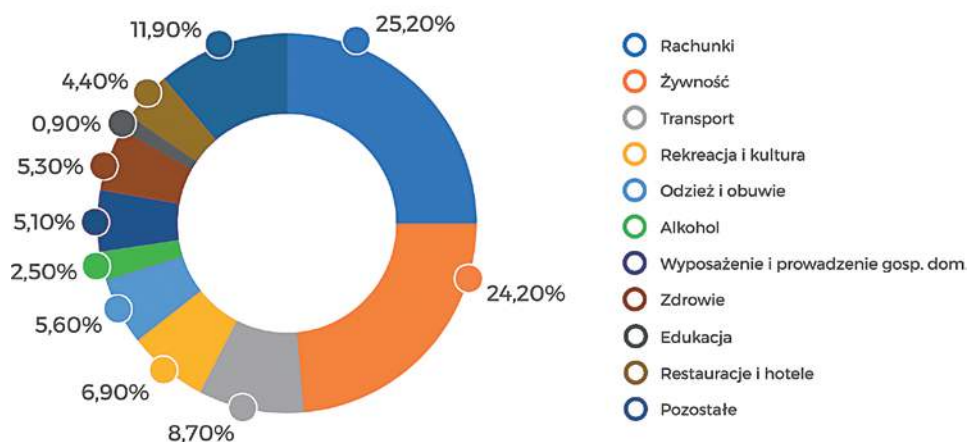
za wodę, za nośniki energii, takie jak za prąd i gaz, oraz za usługi telekomunikacyjne to ponad jedna czwarta budżetu każdego gospodarstwa domowego (25,2 proc.). Na rachunki wydajemy więcej niż na jedzenie – żywność jest dopiero na drugim miejscu.

Dla 75 proc. ankietowanych w badaniu rachunki są bardzo ważne i wpływają na ich postrzeganie w kategoriach obciążeń finansowych. Polacy uznają comiesięczne rachunki za jedną z najbardziej obciążających budżet kategorii wydatków. Jedynie 6 proc. gospodarstw domowych pozwala sobie na zaległości w ich opłacaniu. Okazuje się, że stałe opłaty – rachunki za prąd, wodę, gaz czy usługi

telekomunikacyjne – to pozycja, która dla większości Polaków jest konieczna do opłacenia. Są to zobowiązania, z których nie mogą zrezygnować.

Polacy potrzebują narzędzi, które pozwolą im wydawać mniej. Rachunki za media to jeden z największych i nieuniknionych wydatków. Dlatego postanowiliśmy właśnie dla Polaków, jako pierwszych, wprowadzić na rynek platformę, która oferuje zewnętrzne źródło finansowania tej niewygodnej kategorii comiesięcznych kosztów. Tworząc MAM, to właśnie konsumentów postanowiliśmy postawić w centrum uwagi i dać im możliwość planowania wydatków, tak by środki gromadzone przy okazji dokonywania zwykłych

Struktura przeciętnych miesięcznych wydatków na 1 osobę w gospodarstwach domowych (w % wydatków ogółem) w 2016 r.



Źródło: Opracowanie własne MAM na podstawie danych GUS „Budżety gospodarstw domowych 2016”

zakupów mogli przeznaczyć na konkretny cel – opłacenie swoich rachunków za media – mówi Marcin Walaszczyk, dyrektor zarządzający MAM.

Paradoksalnie duży udział comiesięcznych opłat w budżecie Polaków jest częściowo związany ze wzrastającym poziomem dobrobytu. Im większą ilością wolnych środków finansowych dysponują Polacy, tym więcej sprzętów generujących comiesięczne wydatki pojawia się w ich domach.

RADZIMY SOBIE, JAK MOŻEMY

Ograniczone zasoby finansowe w naturalny sposób wywołują potrzebę sprawnego planowania domowego budżetu. Aż 90 proc. ankietowanych stwierdziło, że przynajmniej połowa ich zakupów jest wcześniej zaplanowana. Zdecydowaną większość zakupów planuje 43 proc. respondentów. Niestety, tendencje do planowania i prze-myślanych zakupów wydają się być dla wielu z nas tylko teorią. Okazuje się, że większość Polaków definiuje planowanie wydatków jako prze-myślenie swoich zakupów. Właśnie w ten sposób planuje aż 85 proc. ankietowanych. Nieco mniej – 60 proc. – „narzędziem planowania” nazywa przedyskutowanie miesięcznych wydatków ze swoimi najbliższymi. Jedynie 31 proc. sporządza notatki budżetowe, 20 proc. używa do tego celu specjalnej aplikacji mobilnej, a 13 proc. oprogramowania na komputery desktopowe. Tylko 6 proc. Polaków korzysta w tej materii z pomocy specjalisty. Istotnym elementem planowania jest dla Polaków korzystanie z wyprzedaży sezonowych i planowanie konkretnych wydatków właśnie na takie okresy – takie praktyki zadeklarowało 27 proc. ankietowanych.

Aż 87 proc. Polaków uważa, że kontroluje swoje

wydatki, nie pozwalając na „wycieki” środków spowodowane niegospodarnością.

KOBIETY ZARZĄDZAJĄ PIENIĘDZMI... LEPIEJ

Deklarowaną przez Polaków wiedzę i umiejętności sprawnego zarządzania finansami udowadniają kobiety. Przywiązują szczególnie dużą wagę do planowania zakupów. Aż połowa z nich planuje większość swoich wydatków. To aż o 15 proc. więcej od zdecydowanie bardziej spontanicznych mężczyzn. Powodem może być to, że to właśnie na kobietach spoczywa większość obowiązków związanych z opłacaniem stałych zobowiązań gospodarstwa domowego. Polki, częściej niż mężczyźni, są odpowiedzialne nie tylko za opłacanie domowych rachunków. To również kobietom, rzadziej niż mężczyznom, zdarza się zapomnieć o opłaceniu rachunków. Na koniec – to kobiety, znacznie częściej niż mężczyźni, deklarują zdecydowaną zgodę ze stwierdzeniem, że w pełni panują nad swoim domowym budżetem.

Nie zaskakuje fakt, że bardziej skłonne do planowania są osoby posiadające dzieci. Aż 52 proc. (w stosunku do 32 proc. dla bezdzietnych) stwierdziło, że większość ich wydatków jest zaplanowana. Zaradność finansowa Polaków ma też odbicie w wychowaniu ich dzieci. 76 proc. polskich rodziców stwierdza, że uczy swoje dzieci, jak rozsądnie zarządzać pieniędzmi.

WSZYSTKO MUSI MIEĆ SWÓJ CEL

Polacy nie są skłonni do zmiany swoich nawyków, jeśli nie widzą jasnego, konkretnego i wymiernego celu. Do takiego wniosku można dojść, analizując deklaracje dotyczące oszczędzania, za-brane w badaniu MAM „Dziurawa Kieszeń Polaka”.

Na co oszczędzają Polacy?



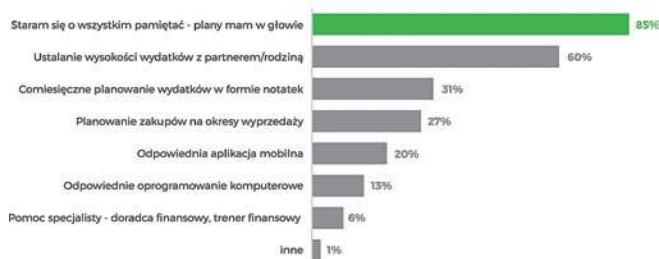
Źródło: Badanie MAM „Dziurawa Kieszeń Polaka”, Kantar TNS październik 2017 r., n=677 (oszczędzający)

Jak często Polacy planują swoje zakupy?



Źródło: Badanie MAM „Dziurawa Kieszeń Polaka”, Kantar TNS październik 2017 r., n=1000

Formy planowania wydatków u Polaków



Źródło: Badanie MAM „Dziurawa Kieszeń Polaka”, Kantar TNS październik 2017 r., n=1000

rawa Kieszeń Polaka”. Bardzo mało z nas motywuje się do dyscypliny finansowej tak po prostu, oszczędzając na czarną godzinę (prawdopodobnie stąd wyjątkowo niska stopa oszczędności Polaków). Jeśli jednak pojawi się przed nami konkretny cel, taki jak np. kupno nowego samochodu, to wówczas sytuacja zmienia się diametralnie.

Właśnie tym tropem – chęcią osiągnięcia wymiernego, niewirtualnego celu – kierowali się twórcy platformy, dostarczając użytkownikom konkretną motywację do planowania zakupów i ich realizacji za pośrednictwem MAM, w postaci środków na

opłacenie ich rachunków za media.

Najważniejsza jest chęć i bardzo cieszy nas fakt, że Polacy chcą zarządzać swoimi budżetami. Często jednak potrzebują wsparcia w swoich dążeniach. I tu pojawia się platforma MAM, która dzięki motywacji w postaci opłacenia coraz większej kwoty ich rachunków przez MAM pozwoli im krok po kroku osiągać coraz większą kontrolę nad wydatkami i ich planowaniem – komentuje Marcin Walaszczyk.

Platforma MAM jest dostępna dla wszystkich konsumentów pod adresem: www.jamam.pl.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

1917 r.: Chamy przyszły

Rosja zasługuje na znacznie lepszy los – pisze we wstępie do nowej „Karty” Zbigniew Gluza. Święte słowa! Polacy są narodem niezwykle pokrzywdzonym przez historię. Wielkie cierpienia naszej własnej wspólnoty niestety często przystanią nam cierpienia naszych sąsiadów. A te były również ogromne.

Na rewolucję bolszewicką patrzymy na ogół przez pryzmat agresji 1920 r., operacji polskiej NKWD, agresji 17 września, deportacji na Sybir czy komunistycznej okupacji po roku 1944. Warto jednak czasami spojrzeć na rewolucję oczami Rosjan. Będzie to obraz przerażający. Eksterminacja elit. Ludobójcza kolektywizacja, która kosztowała życie miliony chłopów. Łagry, w których gniło kilkadziesiąt milionów Rosjan. Terror, strach, kłamstwo i nędza. Wielka demoralizacja narodu rosyjskiego, której skutki trwają do dziś.

Zawsze powtarzam – czym często narażam się rodakom – że Rosja była pierwszą i największą ofiarą bolszewizmu. W nowym numerze „Karty” znalazłem argumenty na potwierdzenie tej tezy. Znalazły się w niej fascynujące opinie rosyjskich świadków czerwonego puczu. „Dowiedziałem się właśnie z gazet – pisał 27 października 1917 r. Aleksander Żyrkiewicz – że w Piotrogradzie Rząd Tymczasowy został obalony i cała władza przeszła w ręce bolszewików. Boże, chroń Rosję...” Niestety, Bóg nie chronił Rosji. W historii tego narodu rozpoczął się najbardziej mroczny okres.

Aoto bardzo trafna opinia historyka Gieorgija Kniaziewa: „Niech będzie przeklęta rewolucja, tak samo jak wojna. Rewolucja jest gorsza od wojny. Co się stało? Chamy zatriumfowały. Chamy przyszły”.

Poza tym w nowej „Karcie” m.in. fragmenty tekstów źródłowych dotyczących narastającego w latach 30. konfliktu między Polakami a Niemcami w Wolnym Mieście Gdańsku. A także wstrząsające wspomnienie Noacha Lasmana, żydowskiego przymusowego robotnika, który pracował w niemieckiej firmie budowlanej pod Siedlcami. Człowiek ten przeszedł przez piekło.

Jeden z najlepszych numerów „Karty” w ostatnim czasie! ©

„KARTA”
93/2017

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Obsesje Wyspiańskiego

Jak przystało na prawdziwego artystę, Stanisław Wyspiański był osobą niezwykle wrażliwą. Uważano nawet, że odczuwał wszystko dwa razy mocniej niż inni ludzie. W jego przypadku czasami zacierała się granica między wyobraźnią a realnym światem, zdarzało się, że nie był w stanie stwierdzić, co było snem, a co wydarzyło

malarskimi, stają się żywymi istotami, schodzą z obrazu i mówią do mnie”.

Nie przeszkadzało mu to być chorobliwie prawdomównym i całkowicie niezdolnym do kłamstwa. Z tego powodu miał wielu wrogów i wielokrotnie tracił intratne zlecenia, tym bardziej że bywał dość brutalny i szczery do bólu, czego osobiście doświadczyła żona pewnego bankiera z Warszawy. Zamówiła u Wyspiańskiego portret, zapłaciła z góry i pewnego dnia pojawiła się w jego pracowni.

„Mistrz usadowił damę na fotelu stojącym na podium – kontynuował Grzymała-Siedlecki – odbył zwyczajowy swój proces hipnotycznego wpatrywania się, po czym [...] podszedł do biurka, wyjął z szuflady otrzymane z góry honorarium, wręczył je zdumionej bankierowej: »Przyjrzałem się pani dokładnie i nie widzę powodu, by pani miała mieć swój portret«”.

Był skrajnym pracoholikiem, co zapewne wynikało ze świadomości tego, że nie jest mu pisane długie życie. Podczas pobytu w Paryżu zaraził się kiłą, która była wówczas praktycznie nieuleczalna. Choroba czyniła postępy i rujnowała jego organizm, a on chciał po sobie zostawić jak najwięcej i nie zmarnować choćby jednej godziny. Do końca też pozostał wierny wyznawanym poglądom. Gdy choroba odebrała mu władzę w palcach, polecił przywiązywać sobie do dłoni ołówki i w ten sposób jeszcze rysował. Zmarł w Krakowie 28 listopada 1907 r. w wieku niespełna 39 lat. ©

Omamy miewał również w czasie obcowania z wybitnymi dziełami sztuki

się naprawdę. Przyjaciele twierdzili, że „aparat jego wyobraźni pozostawał w stanie ciągłego podniecenia” i z tego powodu artysta miał „skłonności do dosłownego wizjonerstwa”. Do „stanów malignych skłonny był nawet przy niezbyt wielkiej gorączce”. Opowiadał, że w takich sytuacjach „pokoje jego napełniały się rozmaitymi postaciami”, z którymi prowadził rozmowy. Do wywołania halucynacji niepotrzebna mu była zresztą gorączka, bo omamy miewał również w czasie obcowania z wybitnymi dziełami sztuki.

„W jednym z listów do Rydla – relacjonował Adam Grzymała-Siedlecki – opisując swoje wrażenia z wielkich europejskich muzeów, stwierdza, że gdy ktoś z genialnych malowideł przejmie go w wyjątkowym stopniu, nastaje moment, kiedy figury tego obrazu przestają być twórcami

SUPER
HISTORIA.pl

TYTUŁOWA LICEUM
**DO
RZECZY**

NOWY CYKL

PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH
BOHATEROWIE

JUŻ DZIŚ OGLĄDAJ NOWY ODCINEK SERII

BOHATEROWIE.DORZECZY.PL

28 LISTOPADA

**CZĘŚĆ I Z CYKLU
„CICHOCIEMNI I WYWIAD”
„RATUNEK PRZED RZEZIĄ”**

**WŁADYSŁAW KOCHAŃSKI „BOMBA”. CICHOCIEMNY, KAPITAN AK. UDOWODNIŁ, ŻE Z UPA MOŻNA
BYŁO WALCZYĆ, WYGRYWAĆ I RATOWAĆ POLAKÓW PRZED RZEZIĄ.**

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH:



Koniec wielkiej Merkel



Jacek Przybylski

Porażka negocjacji koalicyjnych doprowadziła do największego kryzysu od czasu, kiedy 12 lat temu Angela Merkel zajęła fotel kanclerza



Najpotężniejsza kobieta świata. Takim tytułem wielokrotnie honorowały pragmatyczną Angelę Merkel największe światowe media. Tym razem wpływowa kanclerz musi stawić czoła największemu od lat kryzysowi politycznemu w Niemczech. Kryzysowi, który sama wywołała.

W wyborach z 24 września blok CDU/CSU, z którego wywodzi się kanclerz Angela Merkel, otrzymał 33 proc. To zwycięstwo nie dało chadekom powodu do radości – był to bowiem najgorszy wynik wyborczy konserwatystów od 1949 r.

Socjaldemokraci (SPD) zdobyli 20 proc. – najmniej w powojennej historii Niemiec. Po wyborach lider SPD Martin Schulz wykluczył ponowne stworzenie wielkiej koalicji rządzącej z chadekami.

Do stołu negocyjnego zasiedli zatem przedstawiciele trzech ugrupowań: bloku CDU/CSU, Zielonych (zdobyli 8 proc. głosów), Partii Wolnych Demokratów (FDP – uzyskali 10 proc. poparcia), której młodziutkim liderem jest Christian Lindner. Koalicja tych ugrupowań oraz bloku partii chadeckich CDU/CSU jest w Niemczech znana jako „Jamajka” – kolory trzech głównych partii biorących udział w rozmowach koalicyjnych (CDU/CSU – czarny, FDP – żółty, Zieloni – zielony) są bowiem takie same jak na fladze Jamajki.

POŻEGNANIE Z JAMAJKĄ

Po czterech tygodniach rokowała liberałowie wycofali się nagle z dalszych negocjacji w sprawie utworzenia koalicji rządowej. – Czterem partiom nie udało się zbudowanie fundamentu zaufania ani stworzenie wspólnej idei dla modernizacji kraju – ogłosił Christian Lindner. – Lepiej nie rządzić, niż rządzić źle – dodał lider FDP. W tłumaczeniu z języka politycznego na ludzki chodzi o to, że liderzy nie zdołali porozumieć się m.in. w kwestiach klimatycznych, a zwłaszcza w sprawie ograniczenia liczby imigrantów. Jeszcze bardziej ludzko brzmi zaś inne tłumaczenie: Lindner zaczął ponoć marzyć o zastąpieniu Angeli Merkel na stanowisku kanclerza.

Fiasko rozmów prowadzonych przez Merkel – ciesząc się dotąd opinią nadzwyczaj skutecznej negocjatorki – oznacza, że dwa miesiące po wyborach w Berlinie wciąż nie ma rządu. Tym samym uporządkowane dotąd Niemcy, cieszące się w erze silnej Merkel dużą stabilnością polityczną, dołączyły do grona państw, w których żaden scenariusz nie jest już pewny. Kanclerz Merkel otrzymała bowiem

kolejny w ostatnich miesiącach – po wrześniowych wyborach wygranych jedynie niewielką przewagą głosów – potężny cios, który może zagrozić jej karierze, a nawet doprowadzić ją do politycznego upadku. Według włoskiego dziennika „La Repubblica” w parlamentarnych kuluarach pojawił się już wariant stworzenia rządu bez Merkel, który jeszcze kilka tygodni temu był zupełnie nie do pomyślenia. Z apelem o rezygnację Angeli Merkel ze stanowiska wystąpił też publicznie Alexander Gauland – jeden z liderów antyimigranckiej i populistycznej Alternatywy dla Niemiec (AfD), czyli partii, która mogłaby najwięcej zyskać na przedterminowych wyborach (we wrześniu pierwszy raz weszła do parlamentu, otrzymując aż 13 proc. głosów). Oczywiście apel ten dla chadeków nie ma większego znaczenia. Liderzy CDU/CSU mogą jednak uznać, że Angela Merkel – która przez lata miała receptę na polityczną nieśmiertelność – jest już dla chadeckiego bloku zbyt dużym balastem, i zdecydować o wysłaniu pani kanclerz na polityczną emeryturę. Byłby to przy okazji kolejny dowód na to, że historia lubi się powtarzać – w taki sam sposób partia postąpiła w 1999 r. z Helmutem Kohlem. Słynny kanclerz wcale nie chciał podawać się wówczas do dymisji, a do jego rozstania z partią najbardziej przyczynił się niezwykle gwałtowny atak jego pupilki i protegowanej... Angeli Merkel, która na łamach „FAZ” opublikowała list, w którym publicznie zdystansowała się od swego niedawnego mistrza, doprowadzając do jego izolacji.

W przypadku Kohla gwoździem do politycznej trumny był skandal związany z nielegalnymi funduszami na działalność partii. Merkel potężną dawkę politycznej trucizny podała sobie sama, gdy w 2015 r. otworzyła granice Niemiec dla uchodźców i imigrantów ekonomicznych, swą nieodpowiedzialną polityką doprowadzając do tego, że kraj w ciągu roku został zalany przez falę 1,1 mln głównie muzułmańskich przybyszów. Paradoksalnie decyzją, która miała być kolejnym sukcesem kanclerz, chcąc prostym sposobem rozwiązać problem demograficzny, okazała się początkiem końca jej kariery politycznej. Szybko bowiem milion obcych kulturowo imigrantów, którzy w większości nie potrafili lub po prostu nie chcą się integrować z niemieckim społeczeństwem, stał się jednym z największych, jeśli nie największym obecnie problemem bogatych i starzejących się Niemiec.

Młodzi uchodźcy, azylandzi i nielegalni imigranci nie zaradzili problemom na

rynku pracy – według berlińskiego Instytutu ds. Populacji i Rozwoju w ciągu pierwszego roku pobytu pracę znalazło zaledwie ok. 10 proc. z nich. Wielu przybyszów ma bowiem zbyt niskie kwalifikacje. Jednocześnie znacząco wzrosła liczba przestępstw dokonywanych przez imigrantów, w tym tak odrażających jak gwałty. W dodatku dla zdecydowanej większości muzułmańskich azylantów i imigrantów ekonomicznych znacznie ważniejsze od wartości wpisanych do niemieckiej konstytucji jest przestrzeganie zasad zapisanych w Koranie. Tymczasem wielu Niemców wzrastającą w piorunującym tempie liczbę wierzących w Allaha traktuje jako zagrożenie.

CHORA MUTTI EUROPY

Po krótkim okresie wielkiego entuzjazmu i radosnej Willkommenskultur, w ramach której na dworcach Niemcy z prezentami czekali na przybywających imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki, podejście pragmatycznych mieszkańców Niemiec do muzułmańskich przybyszów uległo gwałtownej przemianie. Według sondaży dziś przeciwnych im jest mniej więcej dwie trzecie niemieckich wyborców, którzy poczuli się przez Angelę Merkel oszukani: okazało się bowiem, że wbrew deklaracjom kanclerz Niemcy nie są w stanie przyjąć takiej liczby obcych. Narastający problem imigrantów doprowadził również do niechęci wobec CDU/CSU oraz wzrostu popularności ruchów skrajnie prawicowych i antyimigranckich. To dzięki Merkel populistyczna AfD – postulująca wprowadzenie zakazu budowy nowych minaretów, nawoływania przez meczetów na modły, a także zakrywania twarzy – uzyskała tak niespodziewanie dobry wynik wyborczy, błyskawicznie stając się jedną z głównych sił politycznych w kraju.

Mimo to Angela Merkel wyklucza obecnie swoją dymisję, a w szeregach CDU/CSU nie widać na tyle mocnej postaci, aby ją zastąpić. Ponadto gdy Merkel 12 lat temu zajmowała fotel kanclerza, Kohl też przekonywał, że „polityczny dzieciak” nie tylko nie ma o niczym pojęcia, lecz także „nie potrafi nawet przyzwoicie jeść za pomocą noża i widelca”. Żelazna kanclerz może się ratować, formując rząd mniejszościowy. Jest jednak mało prawdopodobne, aby Merkel zdecydowała się sprawować władzę tylko w koalicji z Zielonymi. Przy próbie przyjęcia każdej ważniejszej ustawy musiałaby bowiem prowadzić trudne negocjacje z liderami innych partii, aby zapewnić sobie większość. Taki rząd byłby

więc niezwykle niestabilny. Najbardziej prawdopodobne wydaje się rozpisanie przez prezydenta nowych wyborów. Przeciwny temu jest jednak sam prezydent. – Oczekuję, że wszystkie strony wykażą odpowiedzialność. Nie można ponownie oddawać decyzji wyborcom – przestrzegali polityków Frank-Walter Steinmeier, próbując przekonać liderów partii do powrotu do stołu rozmów. Prawdopodobieństwo takiego scenariusza przy tak rozgrzanych politycznie nastrojach w Niemczech wydaje się jednak nikłe. Lider FDP pamięta na pewno, jak skończyła się koalicja liberałów z chadekami, związana podczas drugiej kadencji Merkel w 2009 r. – pani kanclerz storpedowała wówczas realizację obiecanych przez Wolną Partię Demokratyczną cięć podatkowych oraz innych postulatów FDP, przez co w 2013 r. liberałowie ponieśli tak sromotną klęskę w wyborach, że nie zdołali uratować żadnego miejsca w Bundestagu. Christian Lindner nie może więc teraz iść na żadne ustępstwa. Jeżeli zaś ustąpią mu pozostali gracze, to ich wyborcy mogą uznać, że przywódcy ich ugrupowań ulegli politycznemu szantażowi.

Jest jeszcze za wcześnie, aby ogłaszać upadek żelaznej kanclerz. Pozycja Merkel osłabła jednak na tyle, że już zaczyna się mówić o jej dymisji

Wariant nowych wyborów wydaje się najbardziej realny. Według sondaży preferuje go już dwie trzecie Niemców. Przed podjęciem ostatecznej decyzji Frank-Walter Steinmeier może zaczekać jeszcze kilka tygodni. Wówczas niemieccy wyborcy kolejny raz do urn poszliby wiosną 2018 r.

Teoretycznie możliwy jest wariant, w którym mimo wszystko powstałaby koalicja CDU/CSU z SPD. W praktyce powrót do wielkiej koalicji chadeków z nieprzychylnymi Polsce socjaldemokratami wydaje się jednak mało realny. Po pierwsze, podobnie jak w przypadku FDP, wspólne rządy CDU/CSU z SPD sprawiły, że socjaldemokraci dostali od wyborców straszliwe łanie. Po drugie, przywódca SPD Martin Schulz również ma ambicje przejęcia władzy w Niemczech – już na grudniowym zjeździe swojej partii ma zostać oficjalnie kandydatem na kanclerza – i wierzy, że

w nowych wyborach poprawi beznadziejny wewnętrzny wynik swojej partii.

STRACH PRZED WEIMAREM

Jest jeszcze za wcześnie, aby ogłaszać upadek żelaznej kanclerz. Tak poważne kłopoty Angeli Merkel – przez lata traktowanej w Niemczech niczym Mutti (matka) – sprawiają, że kraj ten jest o krok od utraty opinii jednego z niewielu państw, w których przywódca jest stabilny i przewidywalny. Sami Niemcy boją się powrotu ducha czasów Republiki Weimarskiej, z rozdrobnionym parlamentem i wybuchającymi co rusz kryzysami rządowymi. Chaos w państwie mającym ogromny wpływ na działania UE niepokoi więc wielu europejskich polityków. I to nie tylko dlatego, że opóźni np. zapowiadaną od miesięcy reformy w strefie euro.

Fiasco tzw. jamajskiej koalicji to też kiepska wiadomość dla władz w Warszawie. Taki rząd w Berlinie byłby bowiem korzystny z punktu widzenia interesów Polski. Zarówno gabinet mniejszościowy, jak i przedłużający się kryzys polityczny u naszego zachodniego sąsiada nie są dla Warszawy dobre. Jeszcze gorsze konsekwencje dla Polski może mieć dymisja Angeli Merkel. Mimo publicznie wygłaszanych krytycznych głosów wobec rządów PiS zdaje sobie ona bowiem sprawę, jak ważne jest pojednanie między Polską a Niemcami. Następny kanclerz, zapewne młodszy od obecnej szefowej rządu, może nie przykładać takiej wagi do aspektów historycznych, może też być dużo bardziej prorosyjski, na czym zyskają choćby zwolennicy szkodliwych z punktu widzenia Polski projektów typu Nord Stream 2. Niebezpieczne może być też dalsze umacnianie się skrajnej prawicy. Z punktu widzenia Warszawy pewnym plusem obecnego kryzysu może być to, że żaden rozsądny niemiecki polityk nie będzie już raczej nawoływał do polityki otwartych drzwi wobec imigrantów.

Sytuację w Berlinie bacznie obserwują także międzynarodowi inwestorzy. Niestabilna sytuacja w największym gospodarczo państwie Europy może mieć bowiem szkodliwe konsekwencje dla całej UE. Ewentualny upadek tak doświadczonego polityka jak Merkel – która w Niemczech sprawowała rządy już wtedy, kiedy obecny prezydent Francji Emmanuel Macron odbierał dopiero dyplom ukończenia studiów – nie tylko utrudni rokowania w sprawie warunków opuszczenia Unii przez Wielką Brytanię, lecz także może być dla UE bardziej destrukcyjny niż Brexit. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Po odejściu Roberta Mugabe (z prawej)
– najstarszego przywódcy na świecie – w parlamencie
Zimbabwe wybuchła wielka radość. FOT. JESSE I NJIKIZANA/AFP/EAST NEWS

Pożegnanie z władzą



FOT. PHILIPON GUANWU/REUTERS/PHOTOFEST

Pełne radości tańce tłumów na ulicach Harare, ulice pełne aut, których kierowcy dumnie trąbią ze szczęścia, oraz salwy radości w zimbabweńskim parlamencie. Tak mieszkańcy 16-milionowego południowoafrykańskiego kraju zareagowali, gdy w zeszłym tygodniu Robert Mugabe ugiął się wreszcie pod presją armii oraz parlamentu i zrezygnował z przewodzenia krajem.

Prezydent od 1987 r., a wcześniej premier od 1980 r. Początkowo polityk uważany przez czarnoskórą ludność za wielkiego bohatera – odegrał bowiem ogromną rolę w rewolucji odbierającej władzę z rąk białych – prowadził rozmaite rządy: rozwijał szkoły, reformował system opieki zdrowotnej, budował mieszkania. Szybko zaczął też krwawo zwalczać politycznych przeciwników (tylko podczas tłumienia rewolty na początku lat 80. z rąk siepaczy Mugabe zginęło ponad 20 tys. cywilów). Z dekady na dekadę autokrata wprowadzał kraj w coraz większe tarapaty ekonomiczne. Najgorsze konsekwencje dla gospodarki miała brutalna nacjonalizacja farm należących do białych i odmowa



Jacek Przybylski

Po 37 latach rządów ze stanowiska prezydenta zrezygnować musiał 93-letni Robert Mugabe. Wśród czarnych Zimbabwejczyków widziany jako bohater walki o niepodległość. Bezwzględny autokrata, który kraj doprowadził do gospodarczej ruiny

wa spłaty długu wobec MFW, do której doszło na przełomie wieku. Hiperinflacja skoczyła do miliardów procent rocznie. Drukowane w 2009 r. banknoty o nominale 100 bln dol. ledwo starczały więc na zakup bochenka chleba. Bezrobocie osiągnęło zaś poziom zbliżony do 95 proc., zmuszając miliony do emigracji.

93-letni polityk był jedynym liderem niepodległego Zimbabwe i najstarszym przywódcą na świecie. Wielu spodziewało się więc, że jako autorytarny władca dożyje swoich ostatnich dni. Po pierwsze – jak zauważają autorzy książki „When Dictators Die” – po II wojnie światowej aż 80 dyktatorów straciło rządy dopiero po śmierci. Analiza kolejnych przypadków pokazuje zaś, że im

dłużej trwają rządy dyktatora, tym większa jest szansa, iż nie zostanie on obalony. Dodatkowo za dożywotnimi rządami przemawiał fakt, że reżim Mugabe – urodzonego na misji katolickiej niedaleko Harare, stolicy ówczesnej kolonii brytyjskiej Rodezji Południowej – miał swe początki w rewolucji, a to zazwyczaj sprzyja długim, autokratycznym rządóm. Dyktatorzy, którzy przesiedzieli lata w więzieniach za walkę z poprzednim reżim (Mugabe spędził za kratkami niemal 11 lat), a na wolności kierowali partyzantką (Mugabe stał na czele Afrykańskiej Armii Narodowego Wyzwolenia Zimbabwe), są bowiem zazwyczaj bardziej odporni na wojskowe zamachy stanu. Co więc poszło nie tak? Mugabe poczuł się zbyt

pewnie. Największym błędem była próba wyeliminowania potężnego wiceprezydenta Emmersona Mnangagwy i zastąpienia go swą drugą żoną Grace, którą podstarzały dyktator chciał przygotować na przejęcie władzy. Ta decyzja spowodowała generałów do działania. Mimo to Mugabe – któremu wielokrotnie udawało się brutalnie tłumić próby rewolty – trudno było się pożegnać z myślą o dożywotnich rządach. Nawet po tym, jak w wyniku puczu władzę w stolicy przejęli wojskowi, ze stanowiska lidera usunęła go własna partia, parlament rozpoczął procedurę impeachmentu, a prezydent wraz z małżonką zostali objęci aresztem domowym, Mugabe wciąż jeszcze próbował przekonywać, że nigdy nie ustąpi. Ostateczny upadek autorytarnego władcy Zimbabwe – w piątek Mnangagwa został już zaprzysiężony na nowego prezydenta – może pociągnąć za sobą rewolucyjne zmiany również w innych afrykańskich krajach: w Ugandzie, Rwandzie, Burundi, Demokratycznej Republice Konga, a także w kilkudziesięciu innych państwach, w których władzę wciąż sprawują dyktatorzy. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Do końca życia wypierał się jakiegokolwiek udziału w mordach, choć równocześnie puszczał oko do Amerykanów, dodając, że niczego w życiu nie żałuje. Ten najsłynniejszy psychopatyczny morderca w historii USA był na tyle bezczelny, że podczas jednego z wywiadów krzyknął do dziennikarki oburzony: „Dlaczego nazywasz mnie mordercą? Przecież ja nikogo nie zabiłem!”.

W tej sprawie przysięgli nie mieli jednak żadnych wątpliwości. Za zlecenie dziewięciu zabójstw, w tym ciężarnej żony Romana Polańskiego, Manson odsiadywał karę dziewięciokrotnego dożywocia. Przez 48 lat władze stanowe 12 razy odmawiały mu warunkowego zwolnienia. Trudno się dziwić: Manson przez te blisko pół wieku kilkaset razy łamał więzienny regulamin. Wszczywał bójki, pluł strażnikom w twarz, a raz nawet próbował zalać więzienie. W 1984 r. o mało nie zginął, gdy jeden z więźniów, z którym toczył wojnę, oblał go rozpuszczalnikiem i podpalił.

Koszmarne życie Charlesa Mansona skończyło się 19 listopada, tydzień po jego 83. urodzinach. Manson, który powtarzał w wywiadach, że jest nieśmiertelny, zmarł – jak przekazano w lakonicznym komunikacie – z przyczyn naturalnych.

Na temat zbrodni kierowanej przez niego grupy wykołajeńców, nazywanej „rodziną Mansona”, powstało kilkadziesiąt książek. Jego postać pojawiała się w wielu filmach, serialach, a jedna z gwiazd amerykańskiej sceny muzycznej, uprawiający popsatanizm dla nastolatków Marilyn Manson, właśnie od niego „pożyczył” drugi człon swojego pseudonimu. Jeszcze przed ogłoszeniem informacji o jego śmierci okazało się, że swój film o Mansonie zamierza nakręcić Quentin Tarantino.

Jak ten mierzący 1,57 m życiowy nieudacznik i półanalfabeta był w stanie omotać kilkadziesiąt kobiet (to one stanowiły większość jego wyznawców i to dzięki nim przyciągał do swojej grupy nielicznych mężczyzn, oferując im ich ciała) oraz przekonać wszystkich tych ludzi do swojej pokracznej filozofii łączącej hippisizm, scjentologię i elementy hitleryzmu?

MORD W IMIĘ IDEI

Vincent Bugliosi, prokurator, który wsadził Mansona za kratki, miał na to swoją teorię. „Mamy tysiące naprawdę

Przerażał i fascynował



Piotr Włoczyk

Swoimi demonicznymi zbrodniami chciał wywołać apokaliptyczną wojnę rasową w USA. Zamiast tego udało mu się wywołać falę niezdrowej fascynacji



FOT. CAVIREF/FOCUS

złych, przebiegłych manipulatorów, mieliśmy też bardziej brutalne zabójstwa niż te popełnione przez „rodzinę Mansona”. Dlaczego więc wciąż rozmawiamy o Charlesie Mansonie? Ponieważ miał on cechę, którą ma jedna tysięczna jednego procenta ludzi. Wytwarzał wokół siebie aurę” – powiedział Bugliosi, który sam napisał o Mansonie książkę („Helter Skelter” sprzedała się w ponad 7 mln egzemplarzy).

Manson, wychowywany przez matkę kryminalistkę. Urodziła go, mając 16 lat. Najlepsze lata swojego życia spędził w poprawczakach albo w więzieniu. Już jako nastolatek gwałcił, rabował i był alfonsem. Gdy w 1967 r. wyszedł na wolność po kolejnej, tym razem sześciolatniej odsiadce, zebrał wokół siebie w Kalifornii grupę młodych wykolejeńców, którym prał mózgi podczas narkotycznych seansów. Komuna pod jego wodzą mieszkowała m.in. nieopodal Los Angeles na terenie opuszczonego „miasteczka”, w którym kręcono wcześniej westerny. Ważną rolę w zacieśnianiu więzów pomiędzy członkami „rodziny Mansona” odgrywały, według opowieści jej członków, dzikie orgie.

Poza żądzą przewodzenia swojej małej sekcje Manson miał jeszcze jedno marzenie – chciał zostać znanym muzykiem. Jeszcze podczas odsiadki w więzieniu nauczył się gry na gitarze. Jego piosenki były na tyle dobre, że zwróciły uwagę Dennisa Wilsona, perkusisty Beach Boys. Manson był pewien, że zażyła znajomość z Wilsonem otworzy mu drogę do kariery. Skończyło się wielkim zawodem. Piosenka Mansona „Cease to Exist” została przez Beach Boysów przerobiona na kawałek „Never Learn Not to Love”. Manson poczuł się okradziony.

Ostatecznie marzenia Mansona o karierze zabiło odrzucenie jego materiału przez producenta Terry’ego Melchera. Producent mieszkał nieopodal Beverly Hills w luksusowym domu, który następnie został wynajęty przez Romana Polańskiego i jego żonę. Manson znał ten dom i kojarzył mu się on jak najgorzej...

Wyznawcy Mansona (trzy kobiety i mężczyzna) zaatakowali dom przy Cielo Drive 10050 tuż po północy 9 sierpnia 1969 r. Sharon Tate, którą Roman Polański poślubił półtora roku wcześniej, była w dziewiątym miesiącu ciąży. Mordercy zadali jej 16 ciosów, a na jej brzuchu wycięli literę X. Zamordowane

zostały też cztery inne przebywające w tej posiadłości osoby, w tym Wojciech Frykowski. Roman Polański był wówczas w Londynie, gdzie kręcił film. Na drzwiach domu mordercy namalowali krwią słowo „Pig” („świnia”).

Następnej nocy grupa Mansona dokonała w innej części Los Angeles kolejnego potwornego mordu. Tym razem jej lider wziął udział w zbrodni, własnoręcznie wiążąc losowo wybrane ofiary: małżeństwo Leno i Rosemary LaBianca. Jednak również tym razem to nie on zabił. W sumie w obu mordach napastnicy zadali ofiarom 169 ciosów nożami.

Czemu to wszystko miało służyć? Manson miał nadzieję, że morderstwa staną się powodem... apokaliptycznej wojny rasowej (Słowo „pig” miało wskazywać na udział czarnoskórych ekstremistów, którzy w ten sposób nazywali wówczas białych). Tak wyczekiwany przez niego konflikt nazwał „Helter Skelter” – był to tytuł jednej z piosenek The Beatles, którą Manson, w sobie tylko znany sposób, uznał za przepowiednię rasowej apokalipsy... Liczył przy tym, że w wyniku konfliktu uda mu się przejąć władzę w kraju.

Do żadnych zamieszek rasowych nie doszło, ale całe amerykańskie społeczeństwo było zszokowane brutalnością, z jaką dokonano zabójstw.

ZA KARĘ ŚMIERCI – DOŻYWCIE

Przez kilka miesięcy policja była bezradna. Do przełomu w śledztwie doszło dopiero za sprawą gadulstwa jednej z członkiń „rodziny Mansona”, która – aresztowana za inne przestępstwo – opowiedziała o wszystkim koleżankom z celi.

Proces sekty Mansona w 1970 r. śledziła cała Ameryka. Podesądni zamienili sąd w cyrk: śmiali się jak szaleńcy i robili głupie miny w obecności kamer. To wtedy Manson wydrapał sobie literę X między oczami, którą potem zamienił w swastykę.

Cała piątka została skazana na śmierć. Jak to się więc stało, że nikt z „rodziny Mansona” nie zapłacił za zbrodnie własnym życiem? Rok po wyroku stanowy sąd najwyższy orzekł, że prawo dopuszczające karę śmierci było w ówczesnym brzmieniu niekonstytucyjne. W następstwie tego wyroku stanowa konstytucja została bardzo szybko zmieniona i kara śmierci została przywrócona, ale w międzyczasie wy-

roki śmierci zasądzone wcześniej 105 osobom, w tym „rodzinie Mansona”, musiały zostać zamienione na dożywocie. W ten sam sposób kary śmierci uniknął m.in. Sirhan Sirhan, zabójca Roberta Kennedy’ego.

Cztery lata po procesie znów zrobiło się głośno o „rodzinie Mansona”. 5 września 1975 r. Lynette Fromme, jedna z pozostałych na wolności wyznawczyń hippisowsko-hitlerowskiego guru, stanęła metr od odwiedzającego akurat stolicę Kalifornii Geralda Forda. W takich warunkach agenci Secret Service nie mieli szans: Fromme zdołała wyciągnąć pistolet i nacisnęła spust. Amerykańskiego prezydenta uratowało to, że jego niedoszła zabójczyni najwidoczniej nie umiała obsługiwać broni: w magazynku miała cztery naboje, ale w momencie naciśnięcia na spust żaden nie był w komorze amunicyjnej. Drugiego podejścia nie było: Fromme została szybko obezwładniona. Sąd skazał ją na dożywocie.

Manson doskonale wiedział, jak zza krat podsycać niezdrową fascynację swoim przypadkiem. Z chęcią zgadzał się na wywiady, więc media co i rusz nagłaśniały kolejne sensacyjnie brzmiące „wyznania” Mansona. „Moim ojcem jest wasz system.... Jestem tylko tym, czym mnie stworzyliście. Jestem tylko waszym odbiciem” – mówił w jednym z wywiadów. Gdzie indziej z kolei opowiadał, że to on stworzył Boga...

Ostatni raz przed śmiercią głośno zrobiło się o nim w 2014 r., kiedy media ogłosiły, że Manson bierze... ślub. Wybranką jego serca miała być 26-letnia wówczas Afton Elaine Burton. Manson uzyskał stosowne zgody, ale z ceremonii nic nie wyszło. 80-letni psychopata zerwał ze swoją narzeczoną, ponieważ – jak spekulowano – miał się dowiedzieć, że Burton miała wobec niego jak najgorsze zamiary – ponoć zależało jej na ślubie jedynie z powodu chęci wejścia w posiadanie ciała Mansona. Burton miała planować po jego śmierci zmumifikowanie ciała męża i wystawienie go – za odpowiednią opłatą – chętnym do obejrzenia.

Bliscy Mansona mają 10 dni na odebranie jego ciała. Jeżeli tak się nie stanie – a nic nie wskazuje na to, by miał on żyjących krewnych – to jego ciało zostanie najprawdopodobniej skremowane, a prochy rozrzucone, by nie tworzyć miejsca kultu.



PIERWSZA BARBIE W HIDŻABIE

Do sprzedaży trafi niebawem pierwszy model Barbie w hidżabie. To model z serii „Shero”, czyli linii inspirowanej kobietami, które łamały społeczne tabu. Lalka wzorowana będzie na Ibtihaj Muhammad, pierwszej amerykańskiej atлетce, która rywalizowała na olimpiadzie w muzułmańskiej chustce na głowie. Coś tu się jednak nie zgadza. Jakież to tabu złamała muzułmanka, występując w tradycyjnym stroju? W dodatku Muhammad jest szermierką, więc występowała w stroju ochronnym i zakrywającej głowę masce.

FOT. CRAIG BARRETT/GETTY IMAGES

ROSJANIE NIE POLECĄ NA TARGI

Rosjanie poskarżyli się, że organizatorzy odbywającego się w Anglii międzynarodowego salonu lotniczego Farnborough nie pozwolili, by na wystawie prezentowano rosyjski sprzęt wojskowy. Uznają, że to nieuczciwa konkurencja. Trudno się jednak Brytyjczykom – którzy wydali odmowę ze względu na regulacje eksportowe – dziwić. A bo to wiadomo, ile to samolotów chcieliby „przysłać” na wystawę? I czy czasem nie zostaliby potem z nimi jak po „wyzwoleniu” Polski na pół wieku albo jak po „zaprezentowaniu zielonych ludzików” mieszkańcom Krymu?

WICEMINISTER W BAGAŻNIKU

Fińscy policjanci poinformowali, że musieli pouczyć mężczyznę, który podróżował niezgodnie z przepisami. Dziennikarze szybko wytypowali ciekawe zdjęcie na profilu fińskiego wiceministra spraw zagranicznych. Wyszło na jaw, że Samuli Virtanen po spotkaniu z premierem chciał wyjechać, unikając zainteresowania mediów. Pojechał więc... w bagażniku samochodu.

SENIORZY I HAZARD

Grupa emerytów z domu spokojnej starości z Redditch w Wielkiej Brytanii została oskarżona o uprawianie hazardu. Poszło o to, że pensjonariusze co tydzień grali w bingo. I co tydzień za wejście do gry dawali po jednym funcie. Zwycięzca poniedziałkowej rozgrywki zgarniał wszystkie składki, a we wtorek pula składek przeznaczana była na zakup herbatek, ciasteczek i na wspólne wyjazdy. Urzędnicy stwierdzili, że seniorzy nadal mogą miło spędzać czas przy grze, pod warunkiem że nie użyją pieniędzy. – To głupie. Gramy teraz na orzeszki ziemne – skwitował 76-letni podopieczny z Redditch.

UKARANI PRZEZ ZMIANĘ CZASU

Firma obsługująca parkomaty w brytyjskim Exeter miała awarię i nie zdążyła przestawić w nich zegarów przy zmianie czasu na zimowy. W efekcie 40 zupełnie niewinnych kierowców dostało kary za parkowanie z nieważnym biletem. Po interwencji mediów firma anulowała im kary. ©

Łukasz Zboralski



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

0 młodzieży chowaniu

Do rzymskiego liceum klasycznego im. Wergiliusza uczęszczają dzieci bogatych i znanych. Wychowywane są w domu i szkole według najnowszych recept pedagogicznych. Zapewne w imię hasła: „Nic o nas bez nas” uczniowski samorząd szkolny, tzw. Kolektyw, jest partnerem ciała pedagogicznego. Chodzi o to, by dialogując, wychować obywateli odpowiedzialnych, świadomych i aktywnych.

W liceum zawiązała się część XVII-wiecznego poddasza. Samorząd uczniowski w proteście proklamował strajk i okupację budynku. Okupanci, wielu w wie-

ku lat 14, wywiesili transparent z napisem: „Antifa”, informując, że są antyfaszystami, i bawili się pysznie. Zdewastowali łazienki, zorganizowali sobie dyskotekę, na której oprócz muzyki atrakcją były narkotyki i seks.

Dyrektor wyjaśniła w „Corriere della Sera”, że w elitarnym, antyfaszystowskim liceum za sprawą „Kolektywu”, „panuje klimat mafijny, dochodzi do kastracji, a handel i używanie kokainy są na porządku dziennym. Aspirujących mafiosów wspierają rodzice”. Ci ostatni nie widzą w tej sytuacji niczego złego. Powiadają: „Lepiej, że się narkotyzują w szkole niż na ulicy”.

Natomiast w Mediolanie z okazji Międzynarodowego Dnia Studenta (17 listopada) stowarzyszenia młodzieży zorganizowały marsz na rzecz przyznawania włoskiego obywatelstwa dzieciom imigrantów. Po drodze zdewastowały: pocztę, restaurację, sklepy, wejścia do konsulatów USA i Libii, a przy okazji prefekturę.

Lewicowa ministra edukacji Valeria Fedeli, z wykształcenia nawet nie przedszkolanka, a „żłobianka”, skomentowała: „Trzeba jak najszybciej nawiązać zerwany dialog z młodzieżą”. I zapewne trzeba bardzo uważać, żeby znów czymś młodzieży nie urazić. ©

Z dbałością o Twoje zagraniczne finanse.



PRZELEWY MIĘDZYNARODOWE



KANTOR WYMIANY WALUT



PORTMONETKA WALUTOWA

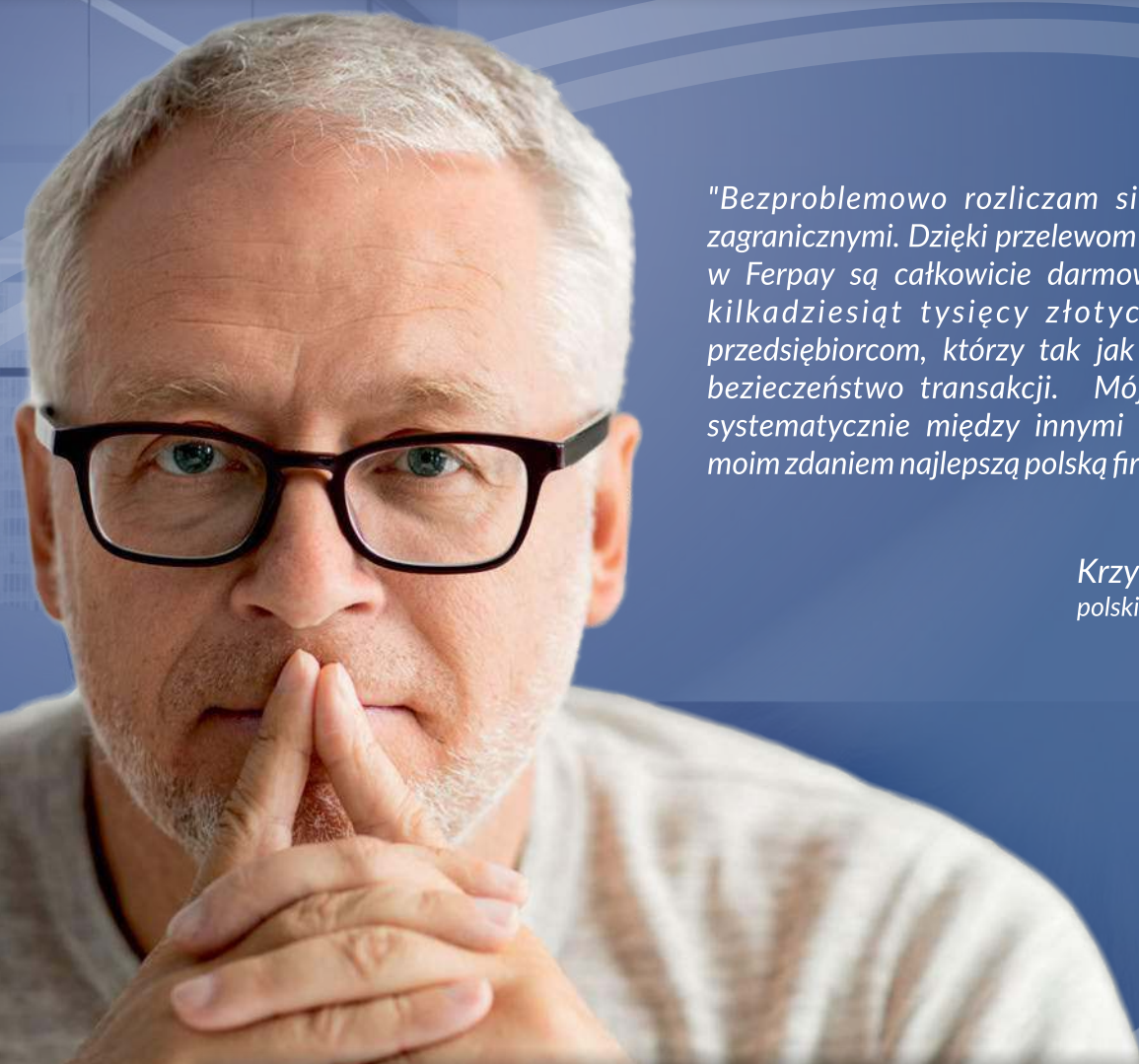
Najwyższe standardy bezpieczeństwa Twoich finansów.



Od ponad 6 lat wspieramy Polonię za granicą. Każdego roku przelewamy miliardy z Polski do każdego zakątka na świecie.



Zaufało nam już blisko 100 tysięcy klientów, którzy cenią sobie bezpieczeństwo transakcji i usługi dopasowane do ich potrzeb.



"Bezproblemowo rozliczam się z kontrahentami zagranicznymi. Dzięki przelewom z Polski do UK, które w Ferpay są całkowicie darmowe oszczędziłem już kilkadziesiąt tysięcy złotych. Polecam firmę przedsiębiorcom, którzy tak jak ja cenią szybkość i bezpieczeństwo transakcji. Mój biznes rozwija się systematycznie między innymi dzięki współpracy z moim zdaniem najlepszą polską firmą transferową."

Krzysztof,
polski przedsiębiorca z Podlasia





Od start-upów do wielkich firm – polscy przedsiębiorcy udowadniają, że dobry pomysł, upór, innowacyjne myślenie i rzetelność to nie tylko sposób na świetne produkty, lecz także już wręcz wizytówka rodzimego biznesu

Biznes po polsku

Zdumienie – to chyba jedno z najczęstszych uczuć towarzyszących oglądającym ubiegłotygodniową galę wręczenia nagród w konkursie „100% Polski Produkt” organizowanym przez tygodnik „Do Rzeczy”. Samo brzmienie tego słowa oddaje to, co można było poczuć: czyli zdziwienie i dumę jednocześnie. Zaskakuje wciąż bowiem to, jak licznie i dobrze polskie firmy konkurują z całym światem produktami, które nierzadko okazują się najbardziej innowacyjne i najciekawsze. I naprawdę można być z tego dumnym. To właśnie dlatego nasz tygodnik co roku wyróżnia najlepsze polskie produkty.

– Trzeba mieć wiarę w siebie, w to, że my, Polacy, potrafimy przekazywać

mury oraz płoty i nas te trudne historyczne doświadczenia nauczyły, iż wiemy, jak obejść reguły. Oczywiście mówię to w pozytywnym rozumieniu tego sformułowania. Odnoszę to do prawa Wilczka, w myśl którego to, co nie było zakazane, było dozwolone – mówił na rozpoczęciu gali Michał M. Lisiecki, prezes PMPG Polskie Media. I zwrócił się do laureatów zgromadzonych na sali: – Życzę wam, żebyśmy doczekali się powrotu prawa Wilczka. Żebyście rozwijali produkty, sprzedawali je na całym świecie.

Paweł Lisicki, redaktor naczelny „Do Rzeczy”, tłumaczył, że konkurs „100% Polski Produkt” był naturalnym pomysłem dla tygodnika, który

jest silnie obecny w dziedzynie polityki historycznej. – Bo jeśli zależy nam na wspieraniu dumy i pamięci, walce ze złymi stereotypami na temat Polski, to trzeba też pokazywać prawdziwą, dobrą twarz naszego kraju. I tu właśnie rodzimy biznes pokazuje, że działamy, że się liczymy na świecie. A ta nagroda udowadnia, że polskie produkty są świetne i wygrywają międzynarodową konkurencję – mówił.

Zanim przedstawiono laureatów konkursu, na scenie pojawiła się Katarzyna Gierczak-Grupińska, prezes fundacji Firmy Rodzinne, która prezesowi PMPG Michałowi M. Lisieckiemu i jego małżonce, Katarzynie Gintrowskiej, prezes spółki Orle Pióro, wydawcy „Do Rzeczy”,



Laureaci i organizatorzy konkursu „100% Polski Produkt”



Nagrodę główną „100% Polski Produkt” odebrał Tomasz Kwaśnicky z firmy Zamel za produkt Exta Life



Prezes firmy Izoterma Zbigniew Bereżański z nagrodą „100% Polski Produkt – Nowość 2017”



Za najbardziej innowacyjny produkt nagrodę odebrał wiceprezes Bioelektra Group SA Edward Magiera

wręczyła „Drzewko” – symbol, jakim fundacja wyróżnia firmy rodzinne.

NAJLEPSZE POLSKIE PRODUKTY

Nagrodę główną „100% Polski Produkt” z redaktorem naczelnym „Do Rzeczy” wręczał Paweł Dziurdzia z firmy doradczej PWC, będącej partnerem konkursu. Wyróżniono nią firmę Zamel sp. z o.o. za produkt Exta Life. – Mogę się ze wszystkimi z państwa założyć, że macie nasz produkt w swoich domach. Bo to jest dzwonek przy drzwiach. Sprzedajemy ten produkt od 28 lat – mówił odbierający nagrodę Tomasz Kwaśnicky, dyrektor ds. handlu i rozwoju Zamel. I dodawał: – Chcemy nadążyć za zmianami świata, za technologiami, dlatego stworzyliśmy ten wyróżniony produkt,

który umożliwia sterowanie urządzeniami w domu za pomocą Wi-Fi lub drogą radiową. I chciałbym, żeby tak jak dziś widzą Państwo firmę Zamel na dzwonekach swoich drzwi, tak niebawem żeby państwo widzieli ją w swoich smartfonach.

Nagroda „Najbardziej Innowacyjny Produkt – 100% Polski Produkt” została przyznana firmie Bioelektra Group SA za technologię mechaniczno-ciepłego przetwarzania odpadów RotoSTERIL. Z Pawłem Lisickim wręczał ją Andrzej Zarajczyk, prezes Ursusa. – Urodziłem się w Wielkiej Brytanii, rodzice przeszli podczas wojny przez Syberię, ojciec był ranny i skończył pod Monte Cassino. W 1990 r., gdy się zmieniło w Polsce, tak się ucieszyłem, że przyjechałem do

kraju z całą rodziną. Więc ja sam jestem naprawdę produktem polskim – mówił, odbierając wyróżnienie, Edward Magiera, wiceprezes zarządu Bioelektra Group SA. Podkreślał, że dzięki jego firmie opartej na polskim pomysle i polskich urządzeniach niebawem być może nikt nie będzie musiał już sortować śmieci, wykona to za ludzi automat.

Nagrodę „100% Polski Produkt – Nowość 2017” wręczał prezes PHN Maciej Jankiewicz i Paweł Lisicki. Otrzymała ją firma Izoterma – Zakład Produkcji Urządzeń Grzejnych za kabinę suszarniczą dezynfekcyjną typ KSD. Wyróżnienie odebrał prezes Zbigniew Bereżański.

„Do Rzeczy” wraz z Polską Agencją Inwestycji i Handlu postanowili przy-

■ znać też w tym roku nagrodę specjalną – „Ambasador Polskiej Przedsiębiorczości”. Wręczając wyróżnienie prezes PMPG Michał M. Lisiecki tłumaczył, że to docenienie dynamicznego rozwoju poza granicami i promocja polskiej myśli. Nagrodę przyznano Grupie Pietrucha.

Produkt”. Nagrodę za zestaw sztuców model „Księżstwo Warszawskie” przyznano Warszawskiej Fabryce Platerów Hefra SA – Fabryka istnieje od 200 lat, dziś działa w Legnicy. Wszystko mamy zlokalizowane w Polsce – podkreślała Ewa Bałdyga, prezes Herfa SA.



W tym roku „Do Rzeczy” z Polską Agencją Inwestycji i Handlu postanowili przyznać nagrodę specjalną „Ambasador polskiej przedsiębiorczości”. Otrzymała ją Grupa Pietrucha. Z rąk prezesa PMPG Polskie Media Michała M. Lisieckiego wyróżnienie odebrał prezes firmy – Jerzy Pietrucha. FOT. BEATA CZARNECKA /SPORTOGRAFIA.PL (S)

– Polskość jako wartość towarzyszy naszej firmie od blisko 60 lat, gdy mój dziadek założył nasze przedsiębiorstwo – mówił odbierający wyróżnienie Jerzy Pietrucha, prezes Grupy Pietrucha. – Dzisiaj jesteśmy obecni w Europie, a także w Afryce, mamy również zakład produkcyjny na Filipinach. Przyjmujemy z tą nagrodą pewne zobowiązanie, bo jako polska firma chcemy być wizytówką polskiej innowacyjności i zaradności na świecie – dodał.

POWIDŁA, STOLIK I PIWO

Oprócz nagród głównych w konkursie wręczono też wyróżnienie „100% Polski

– Niech państwa nie zmyli nazwa „śliwka węgierka”, bo produkt jest w stu procentach polski, a marka Łowicz ma już ponad 50 lat – mówiła z kolei Iwona Piasta, dyrektor marketingu działu food firmy Agros Nowa, która odebrała wyróżnienie za Powidła Śliwkowe Węgierkowe Łowicz.

Wyróżnienie za „Bezpieczny Stolik Podróżnika” dla firmy TULO KO odebrał Maciej Korwin-Dębała. – Nasza firma jest rodzinna, założyły ją dwie rodziny, a pomysł na produkt zrodził się podczas podróży – mówił. – Udowadniamy, że można założyć firmę bez dotacji i kredy-

tów za to z własnym pomysłem i kapitałem – dodał.

Odbierający nagrodę dla Zakładu Elementów Konstrukcyjnych za krawownicę KJ wiceprezes firmy Sebastian Słotwiński wyróżnienie od „Do Rzeczy” zadedykował założycielowi przedsiębiorstwa – Jerzemu Kraterskiemu.

Wyróżnienie za piwo Browar Sulewski w imieniu Przedsiębiorstwa Wielobranżowego Pryzmat odebrali Andrzej, Walery, Mirosław i Tomasz Sulewscy. Tłumaczyli, że choć zajmują się świadczeniem usług w przeładunkach i obsłudze celnej na wschodniej granicy kraju, to zakup zabytkowego budynku zainspirował ich do stworzenia nie tylko restauracji i hotelu, lecz także browaru produkującego rzemieślnicze piwa najwyższej jakości.

Redakcja „Do Rzeczy” wyróżniła też specjalną nagrodą dwa produkty. Wyróżnienie „100% Polski Produkt – »Do Rzeczy«” przyznano za domowy plac zabaw Figelo firmie IDG Krzysztof Wnęk.

– Dziękuję Bogu, że mogłem spotkać żonę i mamy trzech synów – mówił właściciel przedsiębiorstwa. – To oni sprawili, że możemy produkować plac zabaw, bo szukaliśmy czegoś, co pomoże nam rozładować energię dzieci. Jesteśmy start-upem i mam nadzieję, że nie będziemy musieli opuszczać Polski, by się rozwijać.

Drugie takie wyróżnienie nasz tygodnik przyznał firmie Lek-Am za produkt Maglek B6. Nagrodę odebrały Danuta Hanna Jakubowska, PR manager firmy, oraz Anna Stanisławska, menadżer produktu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Łukasz Zboralski

PATRONAT HONOROWY:



MINISTERSTWO
ROZWOJU



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego



Polska Agencja
Inwestycji i Handlu
Grupa PFR



Minister Rodziny,
Pracy i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY

PARTNERZY:



PARTNER MERYTORYCZNY:



PATRONI MEDIALNI:





Każdego dnia towarzyszymy ludziom w drodze do różnych celów.
Angażujemy się w działania na rzecz poprawy bezpieczeństwa i komfortu podróżowania.
Wspieramy ratowników GOPR, dostarczając wysokiej jakości paliwo - niezawodne
w ekstremalnych warunkach.


ORLEN **Najbliżej**

Rząd przyjął Konstytucję Biznesu, czyli pięć projektów ustaw. Fundamentalną ustawą jest nowe Prawo przedsiębiorców. Ma zawierać podstawowe zasady dotyczące prowadzenia działalności gospodarczej. Na przykład zapis, że co nie jest zabronione, jest dozwolone. Wpisywanie do ustawy zasady, którą można wywieść nie tylko z konstytucji, lecz także z prawa rzymskiego, może dziwić, jednak prezes Związku Przedsiębiorców i Pracodawców uważa, że było to konieczne. – Niech pan powoła się na konstytucję w urzędzie skarbowym, to oskarżą pana o próbę zamachu. Za to, że próbował pan ich zabić śmiechem – mówi Cezary Kaźmierczak.

DUŻO MAŁYCH KROKÓW

Te ustawy muszą jeszcze jednak zostać przyjęte przez parlament, a z tym może być różnie. Zostawmy więc na boku te propozycje i zastanówmy się, czy w ciągu tych dwóch lat sytuacja małych i średnich przedsiębiorców rzeczywiście się poprawiła. – Rząd stosuje metodę wprowadzania bardzo wielu bardzo małych zmian. Jednak mają one realny wpływ na funkcjonowanie przedsiębiorców – mówi „Do Rzeczy” wiceminister rozwoju oraz pełnomocnik rządu ds. małych i średnich przedsiębiorstw Andrzejka Możdżanowska.

Wiele z nich nie trafiło na pierwsze strony gazet. Na przykład od kwietnia prawie o połowę skróciła się lista maszyn budowlanych, do których obsługi potrzebny jest państwowy egzamin, co skróciło czas, jaki pracownicy musieli poświęcać na szkolenia. Do 2 mln euro wzrósł próg przychodów netto, po którym jednoosobowe firmy muszą prowadzić pełną księgowość. W nowelizacji Kodeksu postępowania administracyjnego, która weszła w życie w czerwcu, zapisano wyraźnie, że wątpliwości, których nie da się usunąć, należy rozstrzygać na korzyść strony. Z kolei pakiet wierzycielski (obowiązujący w dużej mierze od czerwca) walczy z zatorami płatniczymi i trudnościami z odzyskiwaniem długów (włączmy się w ogonie UE, jeśli chodzi o regularność płatności). Teraz łatwiej można uzyskać informację na temat kontrahenta z Biur Informacji Gospodarczej oraz z nowo utworzonego Rejestru Należności Publicznoprawnych. A gdy już się zdarzy zator płatniczy, łatwiej jest ubiegać się o jego udrożnienie dzięki zwiększeniu liczby

PiS-ie, lubisz MiŚ-e?



Stefan Sękowski

Rząd poprawia sytuację mikro-, małych i średnich przedsiębiorców metodą wielu małych kroków. Nie usunął jednak większych kłód spod nóg

przypadków rozpatrywanych w postępowaniu uproszczonym.

MNIEJ KONTROLI

Jak wskazuje resort rozwoju, spośród 115 obiecywanych ułatwień dla przedsiębiorców weszło w życie lub zostało uchwalonych już 101. Trwają prace nad kolejnymi, np. bardzo ważną kwestią uregulowania dziedziczenia firm czy skróceniem czasu przechowywania dokumentacji pracowniczej.

Jednak wielu pytanym przeze mnie przedsiębiorców w ogóle nie zauważa tych zmian. Są one bowiem z reguły szczegółowe i często dotyczą wąskiej grupy przedsiębiorców.

Aby potraktować sprawę panoramicznie, warto zajrzeć do „Raportu o przestrzeganiu praw przedsiębiorców w Polsce” wydanego w październiku 2017 r. przez ZPP. Niestety, nie obejmuje on całego okresu dotychczasowych rządów PiS, a jedynie rok 2016. Jednak i te dane wiele mówią. Organizacja reprezentująca „MiŚ-e” ocenia, że prawa przedsiębiorców w Polsce były w 2016 r. umiarkowanie przestrzegane, choć było nieco lepiej niż rok wcześniej.

Jedną z kwestii, za które warto pochwalić administrację, jest spadek liczby przeprowadzonych kontroli przez organy administracji publicznej, m.in. przez urzędy skarbowe, sanepid czy Państwową Inspekcję Pracy. Takich kontroli było w ubiegłym roku nieco ponad 45,4 tys. To duży spadek w porównaniu z 2015 r., kiedy było ich 67,5 tys., choć trzeba też zauważyć, że liczba ta spada sukcesywnie od lat – w 2013 r. było ich aż 109,5 tys. W ciągu dwóch lat liczba samych kontroli podatkowych zmalała o ponad połowę (z 79,9 tys. do 38,4 tys.). Według autorów raportu ten spadek „został osiągnięty dzięki wyspecjalizowaniu organów kontrolnych i zastosowaniu nowoczesnych narzędzi informatycznych, które pozwoliły na bardziej efektywne selekcjonowanie podmiotów poddawanych następnie kontroli”. – Urzędnicy przestali ganiać za kwiaciarkami i kontrolują głównie tam,



gdzie jest urobek – tłumaczy Kaźmierczak. Ponadto skuteczność egzekucji jest nadal na żałośnie niskim poziomie (15,8 proc.), a sprawy przed sądami trwają zbyt długo.

DRWA RĄBIĄ, WIÓRY LECĄ?

Jednym z ważnych elementów polityki finansowej rządu PiS jest uszczelnianie systemu podatkowego. Jest ono korzystne nie tylko dla fiskusa, choć wiele wskazuje na to, że wzrost

chodzi o niesłusznie przetrzymywane zwroty.

„Wiórów” może więc w praktyce nie być zbyt dużo, także jeśli chodzi o inne rozwiązania. Drakońskie kary za wyłudzenia VAT (nawet do 25 lat więzienia),

że korzystanie z niego będzie oznaczało dodatkowe koszty księgowo, a nauczanie się nowych programów zajmie czas. Dla tego dobrze, że przez listopad w urzędach skarbowych w całej Polsce organizowane były „Wtorki z JPK”, czyli darmowe kursy nowego rozwiązania. Te płatne potrafią bowiem kosztować po kilkaset złotych.

– Rząd ignoruje nasze inicjatywy, jeśli chodzi o obniżenie PIT. Jednocześnie dużym ciosem dla wielu przedsiębiorców było wprowadzenie godzinowej płacy minimalnej, która jest nie tylko sporym obciążeniem dla pracodawców, lecz także stanowi ukrytą formę podwyżki podatków – mówi „Do Rzeczy” poseł Nowoczesnej Jerzy Meysztowicz.

Jednym z nierozwiązanych do tej pory problemów jest degressywność naszego systemu podatkowo-składkowego. Za rządów PiS składka ZUS dla osób prowadzących działalność gospodarczą bije kolejne rekordy – wzrosła z 1092 zł do 1172 zł (wraz z dobrowolnym ubezpieczeniem chorobowym). Przyszłorocznej składki w chwili pisania tego artykułu jeszcze nie znamy, ale najprawdopodobniej wyniesie ponad 1,2 tys. zł. Oczywiście, nie dla wszystkich, bo mamy jeszcze mniejszą składkę obowiązującą przez dwa lata przedsiębiorców rozpoczynających działalność. Tego nie rekompensuje obniżka CIT dla części firm do 15 proc. – Ona jest bez znaczenia, bo mały biznes to przede wszystkim jednoosobowa działalność gospodarcza – mówi Kaźmierczak. Wszystkie próby zmiany tego stanu rzeczy, takie jak „mały ZUS” dla niektórych mikroprzedsiębiorców proponowany przez posła PiS Adama Abramowicza, pozostają na papierze. Koncepcja jednolitej daniny została odłożona ad acta po tym, jak jej twórca, minister Henryk Kowalczyk, próbował połączyć ogień z wodą, tzn. jednolitość podatków z wyrównywaniem nierówności za ich pomocą.

Jak więc należy ocenić podejście rządu do mikro-, małego i średniego biznesu? Odpowiedź brzmi: to zależy. Zdecydowanie warto pochwalić usuwanie przedsiębiorcom licznych kłód spod nóg. Nadal potężnym i nierozwiązanym problemem jest niewydolny system podatkowy oraz ubezpieczeń społecznych. Dopóki mamy dobrą koniunkturę, dopóty biznes tego bardzo nie odczuwa. Warto jednak przygotować się na czasy, kiedy będzie miał pod górkę.



wyposażenie Krajowej Administracji Skarbowej w spore uprawnienia – to wszystko budziło obawy przed nadmierną surowością fiskusa. Na razie jednak o ewentualnych nadużyciach nie słychać.

NASZ DROGI BIZNES

Jednocześnie rosną kolejne koszty działalności. Jedne dotyczą wybranych branż. Na przykład przedsiębiorca prowadzący firmę naprawiającą łódki i klimatyzacje opowiadał mi, że w tym roku w związku z nowelizacją „ustawy o F-gazach” jeden z pracowników musiał przejść cykl szkoleń zakończony egzaminem, które kosztowały 2 tys. zł.

Inne regulacje dotyczą całego biznesu. Od 1 stycznia 2018 r. każdy przedsiębiorca będzie musiał co miesiąc tworzyć Jednolity Plik Kontrolny, zawierający ewidencję VAT, a od 1 lipca, na żądanie, także dotyczące innych danych. Ma to pomóc w zwiększeniu ścigalności podatków. – Życie gospodarcze jest na tyle złożone, że skuteczna kontrola wymaga takich rozwiązań. Od tego nie uciekniemy – twierdzi Możdżanowska. Być może rzeczywiście wprowadzenie JPK jest nieuniknione, ale trzeba zdawać sobie sprawę z tego,

wpływów z VAT wynika nie tyle z uszczelniania, ile ze wzrostu konsumpcji. Surowe traktowanie wyłudzczy uzdrawia całą gospodarkę, bo stanowią oni nieuczciwą konkurencję dla praworządnych przedsiębiorców. Z drugiej strony istnieje zagrożenie, że gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą i że rykoszetem dostanie się także uczciwym. Czy te obawy się sprawdziły? W 2016 r. przetrzymywano zwroty VAT, by pod koniec roku hurtowo je zwracać. Także te, które mogłyby trafić do podatników również na początku tego roku – prawdopodobnie po to, by odciążyć bardziej napięty tegoroczny budżet. Czy tak jest i w tym roku? Żeby na to odpowiedzieć całościowo, trzeba poczekać na statystyki obejmujące cały rok. Kaźmierczak wskazuje jednak, że do ZPP nie trafia zbyt wiele prośb o interwencje, jeśli



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Już tylko „490+”
zamiast „500+”

Inflacja, która w grudniu ubiegłego roku, po trzech latach „nieobecności”, powróciła do Polski, zastępując jakże miłą dla kieszeni konsumentów deflację, i to powróciła w wysokości ostatnio ponad 2 proc. (mierząc rok do roku) – bez skrupułów, miesiąc w miesiąc, skubie nasze dochody.

Z tego powodu np. z programu „Rodzina 500+” po roku jego istnienia został program „Rodzina 490+” (tyle bowiem, 490 zł, wynosi teraz wartość realna tego dodatku, choć nominalna się nie zmieniła), bo 2 proc. wartości wsparcia dla dzieci już wyparowało – zżarła je inflacja. I żera dalej. To samo dzieje się z naszymi płacami i z wszelkimi innymi dochodami – bo inflacja przecież nie wybiera – tnie równo jak kosa, po wszystkich i po wszystkim.

Na domiar złego we wrześniu i w październiku skok cen był wyraźnie wyższy niż w poprzednich miesiącach (nie licząc lutego br., gdy wyniósł 2,2 proc.) – odpowiednio 2,2 proc. i 2,1 proc., mierząc rok do roku. Wcześniej inflacja o aż takim natężeniu męczyła nas (nie licząc wspomnianego lutego br.) pięć lat temu – w końcu 2012 r. Natomiast lata 2014–2016 bardzo nas pod tym względem rozpieszczyły. W 2014 r. ceny ani drgnęły, w 2015 r. – spadły o 0,9 proc., a w 2016 r. – o 0,6 proc. Zatem od podobnie wysokich jak dziś skoków cen mieliśmy się prawo odzwyczaić, a ich powrót jest tym dotkliwszy dla rodzinnych budżetów, że w ponad połowie generowane

są one przez wysokie wzrosty cen żywności, które wywinęły ostatnio aż o 5 proc. I nie chodzi wyłącznie o ceny masła i jaj.

A z inflacją, to wiadomo – nigdy nic nie wiadomo. W każdym razie należy się liczyć z kolejnymi niemiłymi niespodziankami, zwłaszcza jeśli członkowie Rady Polityki Pieniężnej nadal będą ją lekceważyć, a na to się, niestety, zanosi. Rada bowiem jasno deklaruje niechęć do podnoszenia stóp procentowych aż do końca przyszłego roku.

Tymczasem inflacja niepilnowana może szybko, i to całkiem niespodziewanie, przyspieszyć – do 3 lub 4 proc., tak począłować przez nasze portfele i portmonetki, tak je przetrzebić, że za rok, czyli pod koniec 2018 r., z niegdyśiejszego „500+” może zostać już nawet nie „480+”, ale jedynie „470+” lub wręcz „460+”. To samo może się stać z realną wartością naszych pensji i emerytur, a więc także z tym, co za nie będzie można kupić, a raczej – precyzyjnie rzecz ujmując – o ile mniej towarów i usług będzie można za nie kupić.

W końcu jeszcze w 2011 r., czyli całkiem niedawno, inflacja zjadła Polakom 4,3 proc. ich dochodów i oszczędności, a w 2000 r. – aż 10,1 proc. Prawda, że łatwo się przyzwyczaić do niskiej inflacji czy do deflacji i zapomnieć o cenie, jaką każdy z nas płaci za inflację wysoką? A przy inflacji 10 proc. z „500+” już po roku zostałoby realnie tylko „450+”.

I pytanie na koniec: Czy rząd PiS zamierza waloryzować „500+”? ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Big Data
na służbie

Technologie wykorzystujące Big Data i sztuczną inteligencję oferują ludziom ogromne korzyści. Wymieńmy niektóre: większe bezpieczeństwo podróży (np. w samolotach, już wkrótce w samochodach), lepszą opiekę lekarską (mniej błędów oraz tańsza ocena zdjęć rentgenowskich, rezonansu i USG), lepsze i tańsze kształcenie (platformy e-learningowe), personalizacja (reklamą, wybór produktów, rekomendacje), lepsza, szybsza i tańsza obsługa (wirtualny sprzedawca), wyższa jakość i niższa cena towarów (roboty zamiast ludzi w fabrykach) czy ograniczenie oszustw podatkowych.

Prawo do prywatności obywatela powinno być nadrzędne wobec interesu publicznego

Jednak wraz z coraz szybszym rozwojem technologii Big Data prędkiej czy później pojawią się także liczne, bardzo poważne zagrożenia. Możliwe są różne scenariusze. Rozważmy tylko niektóre. Na przykład dla bezpieczeństwa obywateli każdy będzie musiał nosić specjalną opaskę, podobną do zegarka iPhone, która będzie raportowała o lokalizacji jej właściciela i nagrywała wszystkie jego rozmowy. Próba wyłączenia lub zdjęcia opaski będzie traktowana

jak przestępstwo. Korzyści z opaski będą oczywiste. Gdy opaska (sztuczna inteligencja rezydująca w opasce) oceni, że jej właściciel atakuje inną osobę, będzie mogła czasowo sparaliżować agresora, do czasu przyjazdu policji. Albo gdy opaska wykryje atak serca, będzie mogła natychmiast wezwać pogotowie.

Jednak pojawiają się również pokusy dla rządzących i globalnych korporacji, które mają wpływ na rządy w wielu krajach. Gdy opaska wykryje, że jej właściciel jest krytyczny wobec rządu czy korporacji, taką osobę będzie można zneutralizować lub poddać prewencyjnemu praniu mózgu. Hakerzy będą mogli włamywać się do opasek i kontrolować działania właścicieli opasek lub wpływać na nie. Jak widać, od ogromnych korzyści z technologii Big Data do opresyjnego, totalitarnego państwa droga jest bardzo krótka.

Co można zrobić, żeby ludzie korzystali z dobrodziejstw nowych technologii, jednocześnie unikając totalitarnych scenariuszy? Przede wszystkim potrzebne są mądre regulacje, niektóre powinny być zapisane w konstytucji. Na przykład w technologiach Big Data prawo do prywatności obywatela powinno zawsze być nadrzędne nad takimi celami jak interes publiczny. To brzmi kontrowersyjnie, ale bez takiego zabezpieczenia zapisanego w konstytucji (krajowej lub globalnej) ryzyko czarnych scenariuszy będzie rosło z każdym rokiem. ©©

Autor jest rektorem Narxoz University w Alma Ate w Kazachstanie.

TEST „DO RZECZY”: HUAWEI HONOR 9

Piękna obudowa złożona z mocno połyskujących tafli szkła i podzespoły flagowca za połowę ceny smartfonów z najwyższej półki – tak najkrócej można przedstawić ten model chińskiego producenta.

Ekran o przekątnej 5,15 cala i rozdzielczości 1920 x 1080 pikseli bardzo dobrze nadaje się do oglądania filmów. Podobnie jak Samsung

Galaxy S8 czy iPhone 7 został bowiem tak skalibrowany, aby barwy były takie, jak zakładali twórcy amerykańskiego przemysłu filmowego.

Przy ładnej pogodzie podwójny tylny aparat z obiektywem o jasności f/2,2 robi świetne zdjęcia: ostre i z dużą liczbą dobrze odwzorowanych detali. Nieźle sprawdza się też tryb portretowy, w którym smartfon automatycznie rozmywa tło

za fotografowaną postacią. Niestety, w słabym oświetleniu jakość fotografii jest już tylko przeciętna. Model ten nie został bowiem wyposażony w optyczną stabilizację obrazu.

„Pod maską” Honor 9 ma ośmiordzeniowy procesor Kirin 960 (taki jak droższy Huawei P10), 4 GB pamięci RAM oraz aż 64 GB pamięci wewnętrznej. Telefon chodzi pod kontrolą

Androida 7.0. Bez problemu obsługuje więc nie tylko standardowe aplikacje, lecz także dobrze nadaje się do gier.

Przydatną cechą Honora 9 jest hybrydowy dual SIM. Błyskawicznie działa także umieszczony pod ekranem czytnik linii papilarnych. Podczas długich wieczornych sensów przydać się

zaś może funkcja pilota do telewizora (czasem łatwiej wśród poduszek odnaleźć smartfona niż właściwego pilota). Niewymienna bateria o pojemności 3200 mAh wystarcza na mniej więcej jeden dzień pracy.

To jeden z najlepszych dostępnych obecnie smartfonów ze średniej półki. Cena: 1848 zł. ©©

Jacek Przybylski



PRAWIE JAK PAPARAZZI



Znacie to uczucie, kiedy nagle, zupełnie niespodziewanie, przed waszymi oczyma przechodzi niezwykle atrakcyjna kobieta; dzieje się coś, co bezwzględnie warto jest upamiętnienia na zdjęciu lub podzielenia się z przyjaciółmi w mediach społecznościowych, ale zanim wyciągniecie aparat/komórkę, szansa na superzdjęcie przepada bezpowrotnie? Albo jesteście na rzekomo „antyfaszystowskiej” demonstracji i chcecie zarejestrować bulwersujące zdarzenia, ale boicie się wyciągnąć aparat, by nie sprowokować bojówkarzy Antify do ręcznego przybliżenia wam ich „demokratycznych” przekonań?

Projektanci „fotopstrykowej” bransoletki

Cleap dają szansę na to, by tych zaprzepaszczonej szansy na ciekawe zdjęcie było jak najmniej. Mówiąc wprost – szau jeszcze nie ma, ale gadżet może się okazać całkiem przydatny. Cleap to bowiem nic innego jak noszona na nadgarstku kamera o nie najgorszych parametrach optycznych i możliwościach rejestrowych. Cleap wykonuje i zdjęcia, i filmy: 13-megapikselowy sensor aktywowany jest pojedynczym dotknięciem, dwukrotne dotknięcie powoduje nagranie 9 sekund filmu. Wszystko to w szerokim kadrze dzięki 150-stopniowemu kątowi widzenia. Niestety, nie ma funkcji stabilizacji obrazu, nie mamy też natychmiastowego podglądu obrazu, co uniemożliwia korektę nagrywania, a bateria wystarcza tylko na 30 minut nagrywania. Jest za to możliwość przesłania obrazu do mediów

społecznościowych i swojego smartfona. Cleap będzie w sprzedaży od lipca przyszłego roku, a zamawiać go można na Kickstarterze w cenie ok. 600 zł.

ROZSZUMIAŁY SIĘ WIERZBY PŁACZĄCE...

Spokojnie, nie będzie o drzewach. Gorzej, będzie o survivalu, ewentualnie wojnie z Ruskimi, która zdaniem wielu specjalistów z NATO nadejdzie może nie tak szybko, jak ostrzega Macierewicz, ale w dłuższej perspektywie czasowej jest prawie więcej niż pewna. A skoro tak, to i miejska/leśna partyzantka, ewentualnie Wojska Obrony Terytorialnej. I tu mamy coś dla tych, którzy uciekać nie zamierzają: Sunen Power-Need – Powercap, czyli ciepłą czapkę w kolorach maskujących, uzbrojoną w cztery diody LED, o zasięgu do 13 m, emitującą bardzo jasne światło.

Co ważne, dwie świecą pod nogi, dwie w dal. A teraz już zupełnie serio: czapeczka przydatna zarówno dla tych, którzy lubią bawić się w survival, eksplorować podziemia, bunkry etc., jak i dla tych, którzy chcą zabłysnąć na fatalnie oświetlonych miejskich ulicach. Obok wersji „kamufaż” czapkę można kupić też w kolorach dyskotekowo pomarańczowym i żółtym. Cena: ok. 110 zł. ©©



Wojciech Wybranowski

NASZ TEST: KIA OPTIMA KOMBI 1,7 GT LINE

Efektowna sylwetka, dynamicznie stylizowane zderzaki, czerwone zaciski hamulcowe oraz dwie chromowane końcówki rur wydechowych – to znaki szczególnie koreańskiego kombiaka dla miłośników usportowionych aut, którzy nie chcą jednak rezygnować z możliwości przewiezienia własnym autem choinki, nart czy dalekich wyjazdów z wieloosobową rodziną.

W KABINIE

Przestronna kabina jest wykończona materiałami przyzwoitej jakości. Podobać się mogą aluminiowe elementy, choć pozytywny wizerunek psuje miejscami niezbyt piękny twardy plastik. Nie jest to więc z pewnością klasa premium, ale na tle rywali w swojej klasie Optima GT Line robi dobre wrażenie. Obszyte

rozdzielca jest uporządkowana, a 8-calowy ekran nawigacji jest intuicyjny w obsłudze, choć mapy mogłyby być wyraźniejsze.

Miejsca jest sporo zarówno z przodu, jak i z tyłu. Bagażnik ma 552 l pojemności. Nie jest to najlepszy wynik w tym segmencie, ale i tak nie ma powodów do narzekania.

JAZDA

Testowany model nie jest najmocniejszą „kijanką” na polskim rynku. Optima w wersji GT Line z silnikiem Diesla o pojemności 1,7 l oraz siedmiobiegową skrzynią automatyczną ma tylko 141 KM. Jeździ się nią jednak zaskakująco dobrze. Nie jest to demon szybkości (na przyspieszenie od 0 do 100 km/godz. potrzebuje aż 11,1 s), ale jest na tyle zwinna i żwawa, że można się już nią trochę pobawić.

Optima w wersji GT Line jest dobrze wyciszona. Na pochwałę zasługuje również dobrze zestrojone zawieszenie, które jest wystarczająco twarde, by samochód dobrze się prowadził, ale i na tyle komfortowe, aby nieźle niwelować drogowe nierówności. Auto ucieszy też oszczędnych kierowców: podczas naszego testu spalało w cyklu mieszanym średnio 6,8 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Kia Optima otrzymała komplet pięciu gwiazdek. Auto ostrzega przed pojazdami

w martwej strefie lusterek. Komputer zaalarmuje również kierowcę w przypadku ryzyka kolizji, a także jeśli wykryje niezamierzoną zmianę pasa ruchu. Przy dalekich podróżach bardzo przydaje się zwłaszcza aktywny tempomat, który w razie potrzeby potrafi samodzielnie zahamować.



Tych, którzy obawiają się samodzielnie parkować auta o długości 485,5 cm i szerokości 186 cm, ucieszy fakt, że samochód potrafi zrobić to samodzielnie.

CENA

Najtańsza Kia Optima Kombi kosztuje 93,9 tys. zł. Wersja GT Line z silnikiem Diesla o mocy 142 KM to już wydatek rzędu 143 tys. zł. Po doliczeniu panoramicznego dachu i pakietu technologicznego rachunek rośnie zaś do poziomu 154 tys. zł.

KONKURENCI

Audi A3 Sportback, Ford Mondeo Kombi ST-Line, Opel Insignia Sports Tourer, Škoda Superb Sportline, Volkswagen Passat Variant ©

Jacek Przybylski



FOT. MATERIAŁY PRASOWE (5)

czerwoną nitką, dobrze wyprofilowane skórzane fotele mogą być podgrzewane i wentylowane. Podgrzewana może być też wygodna, mięsista kierownica – również obszyta czerwoną nitką. Imponujący jest także elektronicznie sterowany olbrzymi panoramiczny szklany dach. Deska



SIXT
rent a car



Sixt. Nikt nam nie podskoczy!

(Wypożyczalnia samochodów Sixt oficjalnym partnerem transportowym
Polskiego Związku Narciarskiego)

www.sixt.pl

Tel.: +48 22 5 111 555

feel the motion.



Z Apoloniuszem Tajnerem,
prezesem Polskiego Związku Narciarskiego
rozmawia Łukasz Majchrzyk

FOT. ANDRZEJ WAWCZAK/REPORTER

Drużyna na olimpijski medal



ŁUKASZ MAJCHRZYK: Panie prezesie, nadchodzi zima, rok olimpijski, minister sportu chyba się szczególnie ciepło do pana uśmiecha, licząc na grad medali?

APOLONIUSZ TAJNER: Minister się uśmiecha zawsze tak samo, bo zna

potencjał naszych dyscyplin. Jeśli chodzi o skoki narciarskie, to wszyscy wiemy, że jest dobrze, ale niestety, nie wszędzie jesteśmy tak mocni. Będziemy mieli podczas igrzysk w Pjongczang sporo szans na medale olimpijskie, a także na

miejsca punktowane, choć znajdujące się już poza podium.

Polska coraz mocniej liczy się w sportach zimowych.

Rzadko się zdarzały igrzyska olimpijskie, na które jeździliśmy z szansami medalowymi. Przez pierwsze 80 lat rozgrywania zimowych igrzysk olimpijskich zdobyliśmy tylko cztery medale, a od 2002 r. nie ma olimpiady, z której polscy sportowcy wróciliby bez jakiegoś krążka. Nie jesteśmy potęgą w sportach zimowych, ale w kilku dyscyplinach się specjalizujemy.

Jedną ze specjalizacji są skoki narciarskie, których potęgę pan w Polsce budował. Dawid Kubacki prezentował niesamowitą formę latem. Wyrósł drugi lider kadry, obok Kamila Stocha?

Ja bym powiedział, że w tej reprezentacji jest czterech liderów: Stoch, Kubacki, Maciej Kot i Piotr Żyła. To są zawodnicy, którzy prezentują tak wysoki poziom, że nawet jeśli zdarzy im się słabszy dzień, to i tak należą do światowej czołówki. Każdy z tej czwórki może zastąpić kolegę i nawet zdobyć medal olimpijski. Tak się zdarzyło na mistrzostwach świata w Lahti, gdzie Żyła wywalczył medal, a zawodnicy, którzy byli teoretycznie w lepszej formie, nie stanęli na podium. W skokach są trzy szanse na medal podczas igrzysk: dwa w konkursach indywidualnych i jeden w drużynowym. Konkurs drużynowy wydaje się w tej chwili najpewniejszą olimpijską szansą. Uważam, że ten sezon będzie dla nas lepszy niż poprzedni. Realnie można liczyć na sukcesy.

Znowu przed startem sezonu było dużo bojów regulaminowych o stroje, o wiązania. Kilka postulatów udało się przeforsować polskiej delegacji, kilka walk udało się wygrać. Jak to wszystko teraz wygląda?

Nie powiedziałbym, że musieliśmy walczyć. Po prostu wyrażaliśmy swoje opinie co do zmian w sprzęcie. To są jednak drobne, kosmetyczne zmiany. Najważniejsze rzeczy zostały przeforsowane już wcześniej.

Boje regulaminowe o detale, których może kibice nawet nie dostrzegą w czasie zawodów, wynikają ze wspomnienia igrzysk w Vancouver, gdzie Simonowi Ammannowi bardzo pomogły nowe wiązania, które zabrał ze sobą do Kanady?

Każdy zespół bez przerwy szuka jakichś udoskonaleń. Członkowie naszego

sztabu nieustannie też coś poprawiają. Chyba należymy pod tym względem do czołówki światowej, a może nawet jesteśmy liderem „rewolucji technologicznych”. W tej chwili można udoskonalić już tylko bardzo drobne rzeczy, ale nawet, jeśli poprawimy nasze wyniki o kilka procent, to może się to okazać decydujące podczas zawodów.

Czego się szuka dzisiaj w skokach narciarskich?

Wszystkie drużyny starają się poprawić prędkość na rozbiegu i nośność skoczka – to są główne kierunki poszukiwań. Każdy skok jest filmowany – zarówno rozbieg, jak i sam lot zawodnika. Potem analizowane są fałdy kostiumu, jego ruchy w powietrzu. Korzysta się z tuneli aerodynamicznych, szuka nowych materiałów. Nieustannie trwa wyścig zbrojeń.

Zawodnicy podpowiadają, co można jeszcze usprawnić? Któryś z nich jest majsterkowiczem i może samodzielnie poprawia strój?

Wszyscy nasi skoczkowie podpowiadają lepsze rozwiązania, ale także uważnie obserwują kolegów z zagranicy. Szczególnie bacznie patrzą na Austria-

ków i Niemców, którzy również bardzo pieczołowicie poprawiają sprzęt, którego używają na skoczni. Nie tylko my podglądamy. Oni tak samo nas obserwują, bo ze swoimi kamerami i aparatami wciskają się dosłownie wszędzie.

Kiedys podobno, gdy zobaczyli, że Adam Małysz zjada bułkę z bananem, również zaczęli tak robić?

Rzeczywiście, w swoim czasie zabrało bananów i bułek w bufecie podczas zawodów, bo wszyscy obserwowali, co bierze do jedzenia Adam Małysz. Później już chodziliśmy z własnymi produktami. Podobnie robiły inne reprezentacje.

Drugi sezon naszą reprezentację prowadzi austriacki trener, a w swoim sztabie ma wielu rodaków. Co Austriacy wnieśli do polskich skoków?

Chcemy, żeby nasi zawodnicy pracowali z najlepszymi specjalistami. Doktor Harald Pernitsch zajmuje się dokładną analizą stanu fizycznego poszczególnych skoczków, każdego dnia. To pokazuje dyspozycję zawodnika, a dzięki temu pozwala lepiej dobrać obciążenia w czasie danej jednostki treningowej. Nasze treningi są bardzo precyzyjne i wiemy,

że jeśli dany rodzaj treningu mógłby zawodnikowi zaszkodzić, to natychmiast odsuwamy go od zajęć. Czasem trening jest niepotrzebny. Ćwiczenia są bardzo racjonalnie dozowane. Warto wspomnieć nie tylko o dr. Pernitschu. Inny austriacki specjalista zajmuje się przygotowaniem butów naszych zawodników. Czech Michal Doležal pilnuje kombinezonów, połączeń kombinezonów z butami. Wszędzie szukamy rezerw.

Jak wygląda rozpoznanie obiektów w Pjongczang?

Nie da się przewidzieć pogody, ale obiekty poznaliśmy bardzo dokładnie. Próbę przedolimpijską poprzedniej zimy wygrał Maciej Kot, więc skocznia olimpijska chyba naszym zawodnikom odpowiada. Najważniejsza będzie jednak forma sportowa. Oprócz czterech liderów mamy jeszcze trzech świetnych zawodników, czyli Klemensa Murańkę, Stefana Hulę i Jakuba Wolnego. Z tej siódemki trener Stefan Horngacher wybierze skład na igrzyska. Do Korei pojedzie pięciu, a w konkursach wystartuje czterech indywidualnych i w drużynie. Mamy dobrą sytuację.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



Z MYŚLĄ O BEZPIECZEŃSTWIE

**SKOLENIA LAWINOWE, SKITUROWE I SKIALPINISTYCZNE
PROWADZONE PRZEZ RATOWNIKÓW TOPR**
KURSYLAWINOWE.PL | FACEBOOK.COM/LAWINY



ORGANIZATORZY





JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Szeryf z Krasieczyna

Gdyby porównać dawną Rzeczpospolitą z Dzikim Zachodem, odpowiednikiem szeryfa i jego zastępcy byłoby: starosta grodowy tudzież jego podkomendni – podstarości i burgrabia. Starosta mianowany przez króla odpowiadał za bezpieczeństwo na terenie powiatu, posiadał tzw. prawo miecza, czyli obowiązek egzekwowania na swoim terenie wyroków sądów. Podstarości zastępował starostę w razie jego nieobecności. W praktyce, gdy starostą był magnat mający liczne obowiązki i włości, spełniał te obowiązki przez cały czas. Drugim zastępcą był burgrabia, który dbał o zamek – siedzibę starostwa, czasem jednak jego funkcja dublowała się z podstarościm – pilnował np. bezpieczeństwa na drogach.

Jednym z najbardziej znanych starostów w I poł. XVII w. był Marcin Krasicki, człowiek, który wzorem Wyatta Earpa zaprowadził porządek w polskim Tombstone, czyli w ziemi przemyskiej i biesz-

dokończyć. Najslynniejszym zaś jego dziełem na polu wyrywania chwastów było rozprawienie się z awanturniczą rodziną Stadnickich – trzema synami starego Stanisława Stadnickiego – „Diabła Łańcuckiego”, którzy zasłużyli sobie z kolei na miano prawdziwych Diabłat.



FOT. ARCHIWUM AUTORA

Ród ten był, mówiąc dzisiejszym językiem, na wskroś patologiczny. Zona, Anna, wyszła za Ludwika Poniatowskiego, awanturnika, który nawet zainscenizował jej porwanie. Synowie – Władysław, Zygmunt i Stanisław – wypędzili matkę z Łańcuta, odbierając jej włości, siostrę Felicjanę trzymali pod kluczem, a sami osiedli w mieście i okolicznych wsiach, srogo bijąc szlachtę, utrzymując swawolnego żołnierza i wywołując awantury.

Marcin Krasicki, mając w ręku królewskie mandaty zalecające mu wykonanie egzekucji na Stadnickich, zniszczył najpierw Zygmunta – średniego z braci, który urządził sobie zbójce legowisko w Rudawce na Pogórze Przemyskim. Kiedy starosta zajął wieś, Zygmunt uszedł na Śląsk i zginął tam w 1622 r. w jednej z bijatyk.

Pozostał najstarszy, Władysław, pan na Łańcucie, który wzorem ojca

kontynuował prywatną wojenkę z kasztelanem Mikołajem Ligęzą i Konstantym Korniakiem. Z pierwszym miał zatarg o jarmark w Rzeszowie, z drugim – o długi z czasów starego „Diabła”. Kiedy wspólnie z najmłodszym Stanisławem rozpoczęli sejmik w Sądowej Wiszni, Krasicki zwołał szlachtę przemyską i sanocką. Na czele zastępu żołnierzy i obywateli podszedł 21 grudnia pod Łańcut. Władysław i Stanisław nie uciekli, ale stanęli do walki. Krasicki uderzył na miasto; wkrótce okazało się, że swawolna kompania „Diabłat” uszła, nie stawiając żadnego oporu. Synowie „Diabła” także ratowali się ucieczką – Stanisławowi udało się zbiec, a Władysław, który dotarł aż do Leżajska, szukał azylu w klasztorze Bernardynów. Został jednak wydobyty, przypro- wadzony do Łańcuta, gdzie w nocy żołnierze starościńscy wyprowadzili go na brzeg Wisłoka i rozstrzelali. Głowę odpiłowano i zaniesiono starości, który wypłacił za nią zwyciężającą nagrodę – tak jak za zabicie infamisa. Zwłoki wrzucono do rzeki, ale – jak to bywa w umoralniającej przypowieści – woda nie chciała ich przyjąć i wyrzuciła je na brzeg; pogrzebano je więc w klasztorze oo. Dominikanów w Łańcucie.

Ostatni z „Diabłat” – Stanisław – wytoczył proces Krasickiemu, uniknął jednak śmierci. W 1626 r. sprzedał dobra łąncuckie Stanisławowi Lubomirskiemu za długi. Co działo się z nim potem – to już tylko domysły. Ponoć osiadł w województwie krakowskim, podobnież uduślił pierwszą żonę, drugą utopił. Miał syna Stanisława, jakże by inaczej – „Diabełka”, który w czasie „popotu” zajął Biecz i okolice, poddając się pod protekcję Karola Gustawa. Jednak został pobity i ścięty przez Jana Wielopolskiego, kasztelana krakowskiego, miejscowego starostę, godnego następcę Marcina Krasickiego. ©

Jednym z najbardziej znanych starostów w I poł. XVII w. był **starosta przemyski Marcin Krasicki**

czadzkich okolicach będących małymi Dzikimi Polami. „Jemu to ziemia [...] zawdzięcza ostateczne swoje uspokojenie i powrót do publicznego bezpieczeństwa” – pisał o bohaterze Władysław Łoziński.

Starosta przemyski znany był nie tylko jako egzekutor prawa. Zakończył budowę rezydencji w Krasieczynie, którą podziwiać możemy do dziś; podobnie jak jego ojciec był też wielkim miłośnikiem Włoch, co widać po dekoracjach i attykach budowli. Rozbudował także zamek starościński, chciał zmienić go w twierdzę, jednak nie zdołał go

HIREK WRONA, KANYE WEST I OGÓRKI KISZONE

Jestem wielkim fanem kuchni polskiej, uważam ją za jedną z dwóch, może trzech najlepszych na świecie. Polska kuchnia jest rewelacyjna, ma mnóstwo cudownych produktów. Zaczęłam ją poznawać dzięki mojej śp. babci, która robiła precudowne rzeczy. Często kryłem się w spiżarni, między zbożem przechowywanym tam na zimę, i podjadałem to, co babcia wekowała. Przepraszam, że tak otwarcie przyznaję się do łakomstwa, ale tak było.

Mój bardzo dobry kolega mieszkający w Los Angeles mówi, że najbardziej brakuje mu właśnie ekologicznej, polskiej żywności. Czasem Marcin przesyła mi zdjęcia ze spotkań z muzykami albo z urodzin u gwiazd. Ostatnio wysłał zdjęcie z Keanu Westem, co wprawiło mnie w delikatną zazdrość, ale wysłałem mu wtedy zdjęcie kiszonych ogórków i napisałem: „a ty takie masz?”.

Na poważnie jednak: bardzo się cieszę, że wiele osób wróciło do tradycji uprawy prawdziwej polskiej żywności.

Ja znalazłem swoich dostawców na bazaru na Ursynowie, niedaleko miejsca, w którym mieszkam.



FOT. KRZYSZTOF JAROSZ/FORUM

U pana Mirka kupuję warzywa. W okolicach Grójca ma plantację, gdzie uprawia m.in. zioła. Od niego dowiedziałem się, że jest więcej niż jedna odmiana bazylii. Z Podlasia przyjeżdża pan Jarek. To niesamowicie ciekawa postać, specjalista od wędlin. Z pochodzenia jest Kaszubem, a tam wędliny mocno się wędzi i przeniósł to na grunt podlaski, gdzie z kolei jest zwyczaj marynowania mięs na wzór wschodni. Pan Jarek wędzi po kaszubsku i marynuje tak, jak to się robi na wschodzie Polski, i ten miks sprawia, że wędliny są naprawdę znakomite. Są „konserwowane” tylko w marynacie i soli, zatem

nie psują się, nie pleśnią, mogą jedynie obeschnąć i dojrzeć. Od pani zza Siedlec kupuję twarożek, a od młodego małżeństwa spod Lublina – znakomity chleb. Do jego pieczenia angażują całą niewielką wieś, oni to gromadzą i przywożą w soboty do Warszawy. A że jest to prawdziwy chleb na zakwasie, to również się nie psuje.

Takich miejsc jest w Warszawie bardzo dużo, wystarczy poszukać. Polecam, bo naturalna polska kuchnia jest fantastyczna. ©© **oprac. raw**

Hieronim „Hirek” Wrona jest dziennikarzem muzycznym, DJ-em, publicystą.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Garnek dedykowany

W związku z koniecznością kupienia prezentów gwiazdkowych (liczna rodzina i przyjaciele) zaczęłam studiować ofertę sklepów internetowych z wyposażeniem kuchennym i domowym. Wszak nie samą literaturą człowiek żyje, nie wszystkim dajemy książki; jeść i gotować trzeba. Zresztą wszędzie zaczyna się wielka świąteczna akcja kupowania. Kto się nie podłączy?

Pomyślałam, że kuzynom przydałby się porządny nóż, bo widziałam, że tępo piłują ceramicznym świństwem, klnąc jak szewcy (notabene, wielkie odkrycie technologiczne sprzed paru lat – noże ceramiczne – okazało się knotem). Jednak przy nożach spotkało mnie zaskoczenie. Oto najtańszy japoński nóż mistrza Takeshi Saji ze stali proszkowanej kosztuje 1530 zł (malutki), a trochę większy – 2300 zł. Jak mówią donosy ekonomiczne, dochody w Polsce rosną i wysokie ceny powinny przestać wydawać się tak wysokie. Jednak aż tak?

Zapomnijmy o nożach, tylko wariat albo nożownik chciałby tyle wydać. Może prosty garnek? Badając rubryki z garnkami, nabierałam jednak powoli przeświadczenia, że to także nie będzie proste. Zwykły garnek jest passé. Konieczny jest garnek dedykowany, że użyję modne-go określenia. W czym innym gotuje się jajka, w czym innym szparagi, w czym innym

mleko (jeśli ktoś jeszcze gotuje mleko). Jesteś człowiekiem zapracowanym – wymagasz szybkiego, jeśli niekoniecznie – to wystarczy ci wolnowar. Bardziej profesjonalnie ugotujesz jaja w specjalnym przyrządzie służącym tylko do tego. Żeby ryż miał sens, również należy go gotować w specjalnym garnku. Jednak załóżmy, że rosół i krupnik możemy ugotować w niespecjalnym. Jeśli za zwykły

uznamy Silit Quattro Red

(średni: cena 719 zł) lub La Cintura di Orione Allessi (519 zł).

Która gospodyni nie marzy o słynnych patelniach i naczyniach do zapiekania Le Creuset, pysznych z kuchni Jamiego Olivera, Marthy Stewart,

Nigelli Lawson? No cóż, dla tych pań, które mają dłonie dostatecznie silne, aby ów sprzęt utrzymać, jest wiadomość, że naczynie o 27-centymetrowej średnicy, czyli nie tak znowu duże, to rozstanie z tysiącem złotych... A co do patelni, to trzeba być przygotowanym na to, że ta, w której usmażymy jajecznicę, nie będzie się nadawała do befsztyka. To sprzęt wyspecjalizowany. Chociaż kosztują podobnie – od 500 zł wzwyż.

Pozostaje kupić się na niezbędnej w każdym domu drobnicy. Nóż do otwierania ostrych, widelczyki do ślimaków, wykrawacz do ravioli, pierścienie do formowania deserów i przystawek.

Bez nich święta będą pozbawione smaku. ©©





MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Tusk: reaktywacja?

MARCIN MAKOWSKI: W niedzielne popołudnie 19 listopada Donald Tusk na swoim Twitterze uderzył na alarm. W Polsce umiera demokracja, a rząd Zjednoczonej Prawicy realizuje scenariusz Kremla. Jak tłumaczysz ten emocjonalny ton niespotykany w dotychczasowej komunikacji szefa Rady Europejskiej?

MATTHEW TYRMAND: Donald Tusk nieco subtelniej, ale już wielokrotnie mieszał się do polskiej polityki ze swojego unijnego stanowiska. Być może stwierdził, że nie ma sensu dłużej udawać – trzeciej kadencji i tak nie będzie, więc po prostu testuje grunt pod ewentualny powrót do Warszawy. Lewicowo-centrowa opozycja jest na tyle słaba, że można się pokusić o zagospodarowanie tego bezpańskiego elektoratu. Moim zdaniem ten plan obróci się jednak przeciwko Tuskowi. Ludzie już zaczynają dostrzegać, jak spektakularnie nadużył mandatu instytucji, która powinna być poza krajowymi sporami partyjnymi. Jednocześnie udowodnił, że Unia Europejska nie jest żadnym apolitycznym bytem, ale tworem, który dla wąskiego interesu jego notabli potrafi ingerować w sprawy wewnętrzne suwerennego kraju. Ten rodzaj

wykorzystywania urzędu do celów pozastatutowych przypomina mi rozmowy Belki oraz Sienkiewicza w Sowie i Przyjaciołach. W końcu to jego koledzy, więc i styl ten sam.

Załóżmy zatem, że były premier oddaje koronę „króla Europy” i wraca do naszego politycznego grajdołka. W jakiej roli? Kandydata na prezydenta, a może ponownego przewodniczącego PO, który zaprowadzi ją do zwycięstwa w wyborach parlamentarnych, przerywając kadencję w RE?

Jeśli Tusk wróci, to moim zdaniem tylko ze względu na prezydenturę. Nawet on musi sobie zdawać sprawę, że nie ma szans na odbicie parlamentu z rąk Zjednoczonej Prawicy, przy wcześniejszym odbiciu partii z rąk Grzegorza Schetyny. To jest tytaniczna praca i za mało czasu na podobne przetasowania. Tyczy się to również boju o Belweder, który także jest poza jego zasięgiem. Tusk może dzisiaj błyszczeć w porównaniu z – dajmy na to – Ryszardem Petru, ale nie ma już takiej siły, która odsunęłaby od niego widmo dwóch kadencji rządów Platformy. A w związku z tym wszystkich afer, za które jest

odpowiedzialna. Wyobraź sobie tylko kampanię, podczas której PiS mógłby sięgnąć po wszystkie ogra-
ne chwytły retoryczne, przekręty, śledztwo smoleńskie, wyłudzenia VAT etc. Praktycznie nikt w Polsce nie tęskni dzisiaj za PO.

Co w takim razie myślą ci wszyscy protestujący, którzy skandują: „Żeby było, jak było”? Przecież w porównaniu z autorytarnym PiS rządy Platformy to dla nich wiosna demokracji.

Dosłownego powrotu do status quo mogą chcieć tylko radykałowie pokroju Tomasza Lisa albo środowisko TVN i „Wyborczej”, które marzy o swoim dawnym uprzywilejowaniu. Tymczasem milcząca większość, jeśli już o czymś marzy, to o stabilnym i bogatym państwie oraz o świętym spokoju. Skoro ludzie chcą powrotu starego i akceptacji Zachodu, to niech Platforma ruszy do wyborów z hasłem zwiększenia wpływu Unii na rządy narodowe oraz realizacji polityki migracyjnej Berlina. Bardzo jestem ciekaw, jaki uzyska wynik.

À propos wyborów i Berlina – nie udało się zawiązać koalicji. Być może czeka nas kolejna tura głosowań i powolny zmierzch epoki Angeli Merkel.

Świetny moment, żeby raz jeszcze pochwalić się dobrą polityczną intuicją. To oczywiście nie jest koniec kariery kanclerz Merkel, ale kolejny cios w tradycyjny układ sił w Europie. Sądzę, że jeśli odbędą się przyspieszone wybory, to jeszcze większy mandat uzyska AfD. Tym samym zwiększą się wpływy partii populistycznych i eurosceptycznych. Unia Europejska skończyła się po brexicie, ale potrzeba lat, aby nastąpiła ostateczna erozja tego projektu. Niejasna sytuacja polityczna u najważniejszego gwaranta stabilności UE mówi sama za siebie odnośnie do jej przyszłości. ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



TYGODNIK WOLNYCH POLAKÓW CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

**PRENUMERATA PÓŁROCZNA
TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ 2 KSIĄŻKI**



144 zł

OSZCZĘDZASZ!

110 zł

**PRENUMERATA PÓŁROCZNA
TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ 2 KSIĄŻKI**



145 zł

OSZCZĘDZASZ!

122 zł

PRENUMERATA



OSZCZĘDZASZ!

258 zł

220 zł

**PRENUMERATA ROCZNA
TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ 3 KSIĄŻKI**

OSZCZĘDZASZ!

260 zł

194 zł

**PRENUMERATA ROCZNA
TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ MIESIĘCZNIK „HISTORIA DO RZECZY”**



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl ecac273c15



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Play it cool

WŁODZIMIERZ CZARZASTY: Rozumiem, że to ciąg dalszy konfliktu między panem Tuskiem i panem Kaczyńskim. Czy wypada wchodzić w tak otwarty konflikt z jednym z 28 krajów? Nie wiem. Myślę, że raczej nie, bo już zawsze będzie tak, jeżeli chodzi o PiS, że do końca kadencji PiS będzie go przedstawiał jako największego wroga, i ma wreszcie podstawy. Tusk miał dystans do Polski, można było liczyć na jego obiektywizm. Tym tweetem sobie to skończył.

Włodzimierz Czarzasty zbyt delikatnie, ale bardzo celnie wskazał, na czym naprawdę polega problem ze słynnym wpisem Donalda Tuska na Twitterze: „Alarm! Ostry spór z Ukrainą, izolacja w Unii Europejskiej, odejście od rządów prawa i niezawisłości sądów, atak na sektor pozarządowy i wolne media – strategia PiS czy plan Kremla? Zbyt podobne, by spać spokojnie”. A problem jest poważny i bynajmniej nie może być rozważany tylko w kategorii zasadności tak ostrej oceny czy elegancji samego wpisu.

Artykuł 15 Traktatu o Unii Europejskiej stanowi, iż Rada Europejska, której przewodniczy Donald Tusk, swoje decyzje podejmuje w drodze konsensusu,

a sam Tusk „wspomaga osiągnięcie spójności i konsensusu w Radzie Europejskiej”. Jeśli do tej pory osiągnięcie wymaganego traktatem konsensusu bywało trudne, to teraz staje się praktycznie niemożliwe, bo przewodniczący Tusk – osoba, której funkcja jest bardziej organizacyjna niż polityczna – przestał udawać wymaganą na jego stanowisku neutralność i wypowiedział jednemu z 28 krajów członkowskich Unii Europejskiej otwartą wojnę. Powodzenia w szukaniu wymaganego traktatem konsensusu po oskarżeniu rządu jednego z państw o realizację planu Kremla!

Gdyby politycy PiS umieli reagować na chłodno, gdyby mieli kogoś, kto w takich sytuacjach czuwałby nad optymalną strategią, reakcja zaatakowanego w taki sposób rządu powinna być diametralnie różna od tej żenady, jaką nam niestety zafundowali. Zamiast zbiorowej hysterii, w której Mariusz Błaszczak nazywa Tuska człowiekiem porażką, Jacek Saryusz-Wolski oświadcza, że „nie chce, ale musi” i za trzy lata jest gotów stanąć przeciwko Tuskowi o prezydenturę, a Ewa Bugała odkurza „Krzyżaków”, żeby ciemnemu ludowi zwizualizować

twitterową szarżę Tuska, prezydent lub premier powinien wystosować do Rady Europejskiej oficjalne zapytanie, czy Tusk swoim tweetem wyraził jej oficjalne stanowisko, czy „tylko” na własne życzenie, w imię personalnej wojenki z Kaczyńskim i troski o podupadającą Platformę, pozbawił się faktycznej możliwości wypracowywania konsensusu wszędzie tam, gdzie Polska będzie w jakimkolwiek konflikcie z resztą rady. Zmuszenie Rady Europejskiej do odniesienia się do całkowicie sprzecznego z jego funkcją zachowania byłoby skuteczną kontrą, wizerunkowo dla samego Tuska zabójczą, zwłaszcza jeśli udałoby się przy tym wymusić wstrzemięźliwość na własnych politykach.

Przez całe lata PiS próbuje zaszkodzić Tuskowi i jest w tym porażająco nieskuteczny. Teraz, gdy Tusk zaszkodził sobie sam, PiS swoją nieadekwatną reakcją bardzo mu pomaga w rozmyciu zachowania, które było naprawdę skandaliczne. Tak się naprawdę nie wygra z Tuskiem, jeśli ten kiedyś zechce wrócić do krajowej polityki. A tym tweetem chyba pokazał, że bardzo chce. ©©

PODSŁUCHANE

Tik pourazowy

Beata, a co tobie tak ta prawa ręka chodzi? Jakoś tak dziwnie?

Jeszcze się pytasz, Jarek?! Od pięciu dni tak mam. Do lekarza nie mam kiedy pójść, jak się dzienniki pojawiają, to muszę ją jakoś tak... o... za kieszeń zaczepiać, żeby widać nie było.

Można jeszcze sobie skoczem przykleić... Ale od czego tak masz?

Z nerwów! Tak mi się zrobiło, jak spotkałam Joachima.

Nie lubisz go? To złoty chłopak jest...

Nie w tym rzecz. Spotkałam go, a on mówi: „Wiesz, Naczelnik się chyba jednak zdecyduje, tak że będziesz mieć dużo wolnego niedługo”. I wtedy to mi się zaczęło.

Naczelnikiem mnie nazwał? Tak!

To dobrze, bardzo to lubię.

No, ale ile można? Ja już sobie tutaj zaczęłam notować: jeśli Jojo prawdę mówił, to to jest twoja ósma zmiana zdania! Ja twarda kobita jestem, ale ile można!

– Oj, Beatka, po pierwsze to nie ósma, ale czternasta, nie o wszystkich wiedziałas. A po drugie, to ja na wariantach pracuję. Jak w szachach, rozumiesz. Aktualnie analizuję wariant numer czterdzieści dwa i jestem przy osiemdziesiątym siódmym ruchu... Ej, co ci jest? Czemu tak tą lewą nogą drygasz?

©© Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Jestem redaktorem gazety, która jest ciągle największym dziennikiem opinii, nie tylko w Polsce, ale w całym regionie. Jeżdżę dużo po kraju, mam spotkania w dużych miastach, ale i w małych. Wczoraj byłem w Ostrołęce, w poprzednim tygodniu byłem w Pile czy w Tarnowskich Górach. Nabite sale...”

ADAM MICHNIK dla „Krytyki Politycznej”

fot. Jerzy Gumowski



Jak byłem młodszy niż dzisiaj mieliśmy antyimperialistyczny „braterski sojusz” z Rosją sowiecką, lecz Historia przekreśliła wajchę o 180° i teraz mamy kontrosyjski sojusz z imperialną Ameryką, którego gwarantem jest prezydent Trump. Amerykański Salon (tamtęjsze lewactwo, bardzo silne medialnie i lobbystycznie) nie bije tu Trumpowi braw, warto wszakże pamiętać, iż każdy prezydent USA, który zrobił dla Polski coś dobrego, obrywał za to diabelnie, exemplum Ronald Reagan (dobroczynca „Solidarności”) czy Woodrow Wilson, któremu jankeskie środowiska „liberalne” (co tam oznacza: lewicowe) długo nie chciały wybaczyć wspierania Polski odradzającej się roku 1918 (przykładem wydana A. D. 1953 przez Uniwersytet Yale praca Louisa Gersona „*Woodrow Wilson and the Rebirth of Poland 1914–1920*”, wedle której Wilson „stał się niestety międzynarodowym adwokatem Polski, gdyż został zmanipulowany przez Paderewskiego i polską mniejszość etniczną w USA”). Trumpa manipulował pewnie Macierewicz, wbrew wysiłkom takich amerykańskich organizacji salonowych jak osławiona Freedom House (to ona wspierała i gościła ceremonialnie szefa KOD-u, Mateusza Kijowskiego), według której PiS jest wredne jako cenzor historiograficzny, bo „partia ta lansuje narrację historyczną pomijając udział Polaków w okrucieństwach II Wojny Światowej”.

Zbrojnym fundamentem naszego obecnego sojuszu z Ameryką są siły militarne Stanów Zjednoczonych, vulgo: potencjał uderzeniowo-obronny USA. Piszę niniejszy felieton piórem sceptyka. Mam bowiem do US Military Forces takie samo zaufanie jak do największej amerykańskiej firmy ubezpieczeniowej AIG (American International Group), która kilka lat temu, podczas kryzysu bankowego, wpadła w duże tarapaty, więc zwróciła się do rządu o ratunek, a kiedy otrzymała wielomilionowe wsparcie, jej urzędniczy wypłacili sobie z niego 160 mln dol. nagród! Historia wojen toczonych przez USA w ostatnim ćwierćwieczu każe mi krytycznie patrzeć na działania amerykańskiej soldateski i kolejnych prezydentów (Bushowie, Clinton, Obama) będących głównodowodzącymi sił zbrojnych i dyrygentami polityki wojennej. Dziś arena kompromitująca tę politykę to Bliski Wschód, choć po drodze była jeszcze Jugosławia, którą Amerykanie zapewniali (1999), że Kosowo pozostanie integralną częścią Serbii, a później nalożeni dywanowymi oderwali Kosowo od Serbii, by dać satysfakcję muzułmanom.

US Aria

Irak to klucz do zrozumienia działań militarnych Amerykanów. Przyczyny ich wejścia tam wielką siłą podawano różne, wszystkie fałszywe, od zemsty za 11 września (zburzenie wieżowców WTC), przez „chemiczno-biologiczną broń masowej zagłady” w rękach Saddama Husajna (nie miał ani grama takich środków), po konieczność dania Irakijczykom demokracji (której ci pragnęli jak zwierzęta mięsożerne pragną konsumować trawę). Wszystkie te przyczyny były tylko pretekstami, o co więc naprawdę chodziło? Stare anglosaskie porzekadło mówi, że „jak nie wiadomo o co chodzi — chodzi o pieniądze”. Husajn chciał przejść na rozliczanie sprzedaży ropy w euro, do czego Ameryka nie mogła dopuścić. To euro stało się „muchą”, o której celnie rzekł żydowski historyk Yuval Noah Harari (jego opinie podziela legion ekspertów): „— *Mucha nie da rady zniszczyć sklepu z porcelaną, nawet filiżanki nie rozbije. Cóż więc robi? Znajduje słonia, wlatuje mu do ucha i przyprowadza go o szaleństwo. Słoń, pelen furii, atakuje sklep. Al-Kaida nie umiała destabilizować Iraku samodzielnie, więc doprowadziła do szalu Amerykanów*”. Ten głu-



Od Jankesa do tałesa



pi szał kosztował Amerykę tysiące zabitych żołnierzy i jeszcze dziś Stany nie wiedzą gdzie się podział sprzęt wojskowy (broń i pojazdy) wartości miliarda dolarów przywieziony do Iraku dla armii irackiej (wciąż toczy się śledztwo). Ja wiem: trafił w ręce bandziorów z IS (Islamic State).

Równie kretynską i propagandowo zakłamaną wojnę toczą Jankesi na terenie Syrii od paru lat. Mirosław Winiarczyk: „*W kontekście tragicznych wydarzeń związanych z najazdem imigrantów na Europę przerażenie budzi ilość półprawd i kłamstw dotyczących sytuacji w ogarniętej wojną Syrii*”. Główne kłamstwo jest źródłowe i brzmi tak: Syrię ogarnęły konwulsje ciężkich bojów, bo naród nie mógł dłużej ścierpieć krwawej dyktatury Baszara al-Asada i wzniecił powstanie. Tymczasem — wbrew temu kłamstwu — zdecydowana większość syryjskiego społeczeństwa nie miała nic przeciwko łagodnej alawickiej władzy i od początku walk złośliwiec destabilizującym państwo „*bojownikom o wolność*” (terminologia lewackich mediów Zachodu), których trzon to różne frakcje dżihadystowskie Al-Kaidy oraz Państwa Islamskiego. Wśród złorzeczących liczną grupę stanowią syryjscy chrześcijanie. Baszar al-Asad był ich protektorem i dobroczyńcą, a terroryści islamscy są ich katanami. Naczelny redaktor periodyku „*Magna Polonia*”, Wojciech Kempa, po wizycie w ogarniętej wojną Syrii rzekł: „— *Gdy rozpoczęła się dżihadystowska rebelia r. 2011,*

momentalnie zaczęły się napady na chrześcijan. A gdy tylko władza prezydenta Asada osłabła — zaczęły się rzezie chrześcijan”.

Dla konserwatystów, prawników, sympatyków Waszyngtonu syryjskie zaangażowanie Ameryki po stronie rebeliantów to coś dołującego, bo jest to ewidentne wspieranie IS, z którym pono Ameryka walczy. Twórca portalu WikiLeaks Julian Assange twierdzi, że istnieją depesze dyplomatyczne, wedle których USA stworzyły i długo wspierały Państwo Islamskie, by móc łatwiej rozgrywać kraje regionu! Jeśli ktoś nie ma zaufania do Assange’a, to może wysłucha chociaż czołowego republikańskiego senatora, Johna McCaina, mówiącego, że antybaszarowscy dżihadysty zostali wyszkoleni i uzbrojeni przez CIA. Dlaczego Jankeści to robią? Po pierwsze dlatego, że wszędzie gdzie mogą kontrują Rosję, zaś Baszar był sojusznikiem Kremla. A po drugie (i być może ważniejsze): gdyż zniszczenie Syrii jest priorytetem Izraela, który nie może siłą okiełznać atomowych ambicji Iranu mającego z Syrią wzajemny układ militarny (produkowane przez Iran syryjskie rakiety średniego zasięgu mogłyby uderzyć na Tel Awiw i Jerozolimę w odwecie za izraelskie uderzenie na Teheran). Stąd żydowski lobby Waszyngtonu rozpalilo wojnę syryjską, wspierając Kalifat przeciwko Damaskowi, i wciąż ze wszech sił pali pod tym kotłem.

Pali też kłamliwą propagandą. Tu hitem medialnym jest „*barbarzyństwo Damasku używającego broni chemicznej*”. Pierwszy raz flekowano tak „*reżim syryjski*” w r. 2013, przez kilka miesięcy, póki szef wywiadu Arabii Saudyjskiej nie przyznał, że saudyjskie „*usługi*” podarowały islamskim rebeliantom — dżihadystom z DAS (Demokratyczna Armia Syrii) broń chemiczną otrzymaną od... USA! Po ostatniej „*zbrodni chemicznej*” na terenie Syrii (kwiecień 2017) prawicowe kręgi zachodnie sugerowały prowokację CIA, a Rachel Marsden, publicystka „*Human Events*”, stwierdziła, że w tej sprawie „*źródła informacji Waszyngtonu niekoniecznie są wiarygodne, gdyż są manipulowane przez George’a Sorosa*”. Już wcześniej piętnujący Asada raport Organization for the Prohibition of Chemical Weapons oparty był na świadectwach, które dostarczyła sponsorowana przez Sorosa belgijska organizacja Chemical Violations Documentation Center of Syria. Oskarżenia chemiczne miota na Asada także jego śmiertelny wróg Ayman Asfari, naftowy oligarcha, który ma mocne wpływy w lewicowych mediach całego globu. ©©

Waldemar Łysiak

PS. Niepokoi mnie też, że będziemy płacić Amerykanom za skroplony gaz o wiele drożej niż za rosyjski, i że Waszyngton sprzeda nam baterie Patriot za co najmniej kilkadziesiąt miliardów złotych, bo pamiętam jak Amerykanie sprzedali nam po 41 mln dol. za sztukę te same rakiety ziemia-powietrze typu JASSM, które Finom sprzedawali po 12 mln! Izraelowi USA dają broń za darmo.



BYĆ jak IGNACY

ROZPALAMY PŁOMIEŃ WIEDZY

NOWE NARZĘDZIA PRACY:

KOMIKS
EDUKACYJNY

SCENARIUSZE
ZAJĘĆ

KARTY PRACY
DLA UCZNIÓW

GRA
PLATFORMOWA

FILMY EDUKACYJNE
Z EKSPERYMENTAMI

FORUM INTERNETOWE
DLA NAUCZYCIELI

W I EDYCJI PROJEKTU
„BYĆ JAK IGNACY”
WZIĘŁO UDZIAŁ 159 SZKÓŁ.

CHCEMY, ABY W TYM ROKU
BYŁO WAS JESZCZE WIĘCEJ!

WEŹ UDZIAŁ W NOWEJ EDYCJI

N A G R O D Y :

GŁÓWNA NAGRODA FINANSOWA
O WARTOŚCI 12 000 ZŁ

16 NAGRÓD FINANSOWYCH
O WARTOŚCI 8 000 ZŁ

NAUCZYCIELE PROWADZĄCY KOŁO
RÓWNIEŻ ZDOBYWAJĄ
NAGRODY FINANSOWE.

NAUKOWCY:

IGNACY ŁUKASIEWICZ

MARIA SKŁODOWSKA-CURIE

MIKOŁAJ KOPERNIK

KAZIMIERZ PRÓSZYŃSKI

STEFAN DRZEWIECKI

ZAREJESTRUJ SZKOŁĘ

NA STRONIE
WWW.BYCJAKIGNACY.PL

ŚLEDŹ NAS

NA PROFILU
FACEBOOK.COM/BYCJAKIGNACY